

56791

I

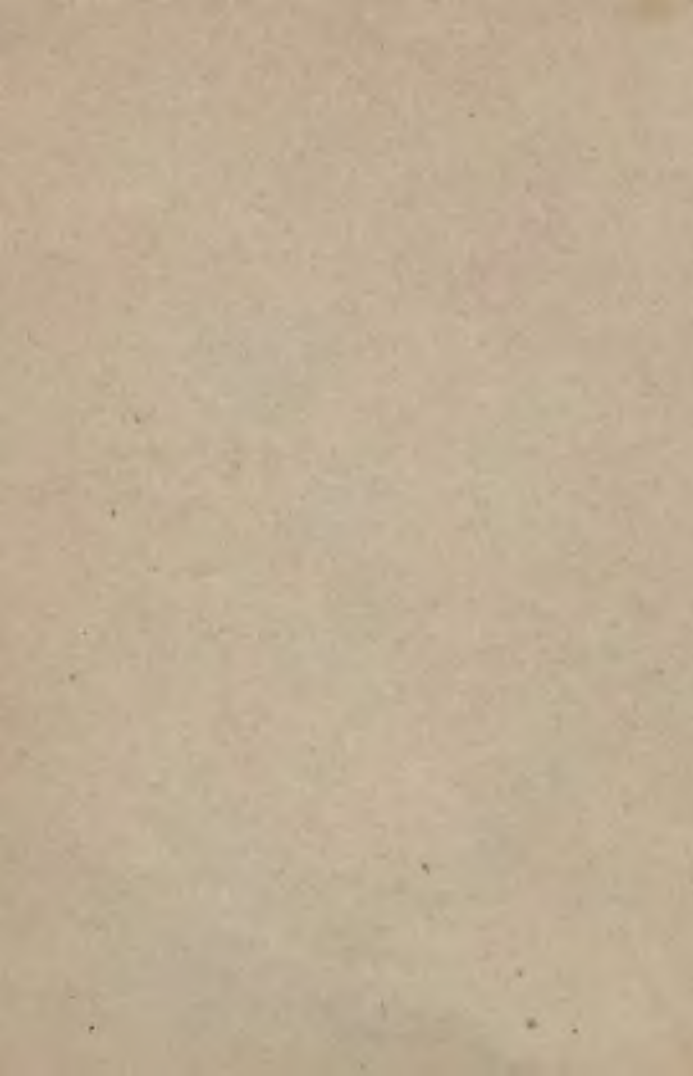
P

Powiesci n° 1728



56791

I



GAWĘDY
I POWIEŚCI

Przełożył J. W. K. S.

WARSZAWA

GAWĘDY I POWIEŚCI.

GAWĘDY I POWIEŚCI

Seweryny z Żochowskich

PRUSZAK.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKLADEM G. SENNEWALDA, KSIĘGARZA.

—
1854.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cen-
zury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exem-
plarzy.

w Warszawie dnia 9 (21) Października 1855 r.

Cenzor, F. Sobieszczański.

56791
I

ZADUSZKI.

I z tego ognia ma się rozejść ciepło
Po wszystkim świecie, gdy boleść przeminie;
I przy tym ciepłym, domowym kominie
Ma się znów ogrzać, co w życiu zakrzepło!

W. P...



UNIVERSITY OF CAMBRIDGE

THE UNIVERSITY OF CAMBRIDGE
FACULTY OF DIVINITY

THE UNIVERSITY OF CAMBRIDGE
FACULTY OF DIVINITY
THE DEPARTMENT OF THEOLOGY
AND RELIGIOUS STUDIES

1998

stu, służył już w Gradowie, naprzód u starosty Rolskiego, przeszłego właściciela wsi, obecnie zaś u jego syna pana Edwarda.

I w téj chwili, powolne kroki starego sługi dały się słyszeć za oknem, następnie zaś w sieni, gdzie zatrzymał się nieco, — aby otrząsnąć śnieg z butów i odzieży: potem otworzył zwołna klamkę i ukazał się w izdebce w towarzystwie starego i wypasionego wyźła.

Okrągłe policzki starca rumiane były jak burak, włosy szpakowate, twarde, jeżyły się krótko przystrzyżone na czuprynie, którejby obfitości, niejednen młodzian śmiało mógł pozazdrościć. Wąs jego niezbyt długi, biały był jak mleko; faworyty częścią białe, częścią szpakowate, trzymały barwę środek pomiędzy wąsem a czupryną; oczy starego były jasno-błękitne, pogodne, dodawały im tylko ostrzejszego wyrazu, brwi mocno nastrzępione i gęste. Zęby, których dwa rzędy za każdym ukazywały się słowem, piękne były i zdrowe, jakby u młodziana. Marszczki w niewielkiej liczbie przecinały twarz gdzieniegdzie, około ust i oczów. W całej postaci starca przebijała wyraźnie poczciwość i wewnętrzne zadowolenie. Odzież na nim prosta lecz chędogą,

składała się z szaraczkowój kapoty, podbitój czarnym, wytartym nieco barankiem, z czapki sukiennój, takimże barankiem obłożonój, z chustki szafirowój w czerwoną kratę, zawiązanój na szyi, zegarka srebrnego, zawieszzonego na stalowym łańcuszku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł stary Bartłomiej wchodząc do izdebki i zamykając drzwi za sobą.

— Na wieki wieków amen, odparła Walentowa. — Cóż to wasan nierychło dziś przychodzi, panie Bartłomieju?

— Ba nie rychło, nie rychło, powtórzył stary dobywając zwolna okrągłej tabakiery, we dworze istnie jak we młynie, gawiedzi huk, coraz to Pan Bóg kogoś nowego prowadzi, a tu nie ma się kim popchnąć na imie Boże:—chłopaki ładaco, jeno im tylko za dziewczętami strzelać oczyma, a do usługi ani weź.—Bartłomiej tu, Bartłomiej tam, to na górę po jabłka, to do piwnicy po wino, to do ekonoma, żeby wydał obrok gościnnym koniom. Ej skaranie Boskie na starość, ani wypocząć kościskom, ani wytchnąć nogom, a toć to już one, nie rok nie dwa, stąpają po téj świętej ziemi!... A cóż jójmość nie zaży-

jesz dziś tabaczki? dodał, podając otwartą tabakierkę Walentowój.

— Ej, kiedy jakaś niekoniecznie dobra, odparła z uśmiechem.

— Gadasz jéjmość, gadasz, prawdziwa albanka, sampantredela skorupa—tak stoi na niej napisane po hiszpańsku.

— Dałbyś mi wasan pokój z hiszpańskiem pi-smem, kiedyć ja Panie odpuść, i po polsku doma czytać zapomniałam. A wasan nie napijesz się kawy, zlałam ci tam trochę w garnuszek, przystawię ot na ogień, i wnet będzie gorąca.

— Chorego pytają, a zdrowemu dają, odparł stary. Walentowa zakrzętała się około kawy, i w mgnieniu oka podała przygrzaną Bartłomiejowi, dodając do niéj starą suchą bułkę.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać, powtórzył Bartłomiej—kosztując łyżeczką.

Walentowa tymczasem zadumała się patrząc w płonący ogień.

— Ej, żeby się to wszystko aby na co przydało, rzekła po chwili kiwając głową, jakby z niedowierzaniem. Pannie Zofii ubiega dziewiętnasty roczek,

jużby jój i czepeczek nie zawadził na głowie, a tu o mężu ani słyhu.

— A małoż się tam koło niejkręciwiercipiętów? rzekł stary. Nie ma podobno ani jednego w całej okolicy, coby nie zawadził o nasze progi.

— I cóż z tego, kiedy to wszystko ani do tańca ani do różańca, przerwała żywo Walentowa, a toć nasza Zosienka jak Bóg Bogiem, czegoś lepszego warta. Dzieweczka co prawda, nie taka urodziwa jak była nieboszka swego czasu, aleć i jój niczego: zdrowa jak rzepka, żwawa jak jaskółka, wysmukła jak topola, a to wszystko, Panie odpuść! co się koło niej uwija, jakieś blade, wymokłe, ni do Boga, ni do ludzi.

— Oj co prawda, to prawda, przerwał Bartłomiej, a potém, alboż to oni, Panie odpuść! do Panny smolą cholewki? Że nie, to nie, jako żywo! Mówiąc między nami, żeby nie te trzy wioski w posagu, i nie sto tysięcy kapitału na hipotece, toby tu i żywa dusza nie zajrzała, i niktby nie spojrział na czarne oczęta Panny Zofii, choćby jeszcze sto razy były piękniejsze.

Walentowa nie odparła ani słowa, westchnęła tylko i skinęła głową.

— Coraz to gorzej na świecie, mówił dalej Bartłomiej, wychylając do dna garnuszek kawy — pieniądz u ludzi coraz ma większe znaczenie, ba! boć też niemało teraz paniczom potrzeba na cugi, liberje, i inne, Panie odpuść, głupstwa. Za moich czasów, szlachetka na jednej wioszczynie, jeździł w konkury bryczką, albo i na szkapce; a co najwięcej jeśli się posunął do karjolki; teraz choć ma długów po same uszy, bez kocza ani rusz! A co mnie najgorzej gniewa, to ci drągale sługusy, co to jak oblecze na grzbiet piaskową albo niebiebieską barwę, a na łeb jak wsadzi kapelusz ze srebrnym galonem, to już zadrze nosa do góry, jakby jaki pan. Tfu do czarta, sześćdziesiąt pięć lat z górą żyję na świecie, a liberja nie powstała na moich plecach. Pamiętam jak dziś, byłem jeszcze niedorostkiem, jak mi mój najpierwszy pan, nieboszczyk Podkomorzy, brat pana starosty, chciał sprawić strzelecką barwę, ale ja nie głupi — dalejże nogi za pas, i nie oparłem się aż w Gradowie. Czy to ja błazen jaki, czy co, żebym nie miał chodzić jak Bóg przykazał, w siwój mojej kapocie? Toć mnie też w niej i włożą do trumny, bom jój się nie przeniwierzył w całym życiu ani jednego razu.

To mówiąc Bartłomiej obejrzał się po sobie z widocznem zadowoleniem.

— Ba! cóż dziwnego że i słudzy szaleją, kiedy już takie dopuszczenie Boskie, że i panom poprzewracało się w głowach, rzekła stara Walentowa zgarniając łyżeczką kożuszek od śmietanki. — Jaki pan taki kram, nie darmo mówi przysłowie. Złe idzie z góry jako żywo. To też niech tam będzie co chce, nie dziwota, że panna Zofia przebierała jak w ulęgałkach, w swoich konkurentach, boć też to wszystko, Panie odpuść, istne ulęgałki, a ona przecież czegoś lepszego warta.

— Ze warta, to prawda, odparł Bartłomiej, ale czy znajdzie to czego warta, oj szeroko o tem Św. Dawid pisał, bo choćbyś szukał i ze świecą, nie znajdziesz pono tego czego nie ma.

— Marne wasze słowa panie Bartłomieju, alboż to nie ma ludzi na świecie? Tak źle nie jest jak żywo! Trafi niebożątka na swego, jak pan Bóg przeznaczy, a że się dotąd nikt taki nie natracił, to nie racya, żeby go już na świecie nie było.

— Świat długi i szeroki, odparł Bartłomiej, może tam gdzie daleko, jest ktoś taki. coby go się i nie odrzekła nasza panna, ale nim słońce wejdzie, ro-

sa oczy wyje, a zanim panna Zofia natrafi na swego, kto wie czy nie posiwieje wprzód niebożątka. Boć też z tych co jak ćma nawiedzają Gradów, to się nic, i psu na buty nie zdało. Weźmy ot zaraz owo hrabiatko, co go to nasza Pani tak rada przyjmuje, to nawet i po ludzku rozmówić się z człowiekiem nie potrafi. Łeb, Panie odpuść, utrefiony jak u pudła, ale w środku pustki, jak w stodole na przednowku. Ten znowu pan Adolf z Gałczyna, toć już ostatkiem goni. Żydzi nie wychodzą z domu, pożyczają i pożyczają na sześć procent miesięcznie, a to wszystko na rachunek przysłego posagu żony. Upadam do nóg za takiego gagatka! W rok niespełna, poszłyby i wioski i kapitał! A ów pan Henryk z Dobiesławic, to znów gracz zawołany, jeno się trzęsie za kartami i hulanką. Koniec końcem, temi wszystkimi konkurentami, wartoby jeno armatę nabić, i wystrzelić na cztery wiatry.

— Wielkieć to przynajmniej szczęście, rzekła Walentowa, że nasza Zosieńka nie taka skora do zakochania—bo jakby jęj który z tych paniczów wpadł w oko, toćby było i po nieboracze.

— Zapewne, zapewne, przerwał Bartłomiej żyjąc tabaczkę.

— I nie dziwota, ciągnęła stara sługa, że niebożatko niechętnie do małżeństwa, alboż to się mało napatrzyło biedy w rodzicielskim domu, i to mówiąc skinęła głową ze znaczeniem.

— Jakto? zapytał ciekawie Bartłomiej, alboż to nieboszczyk nie dobrze żył z żoną, czy co? Że był skąpy, toć o tem ludzie gadali, ale co o ich poźyciu, to każdy mówił, że takiego drugiego nie ma na okolicę.

— Ej, nie ciągnęlibyście mnie za język panie Bartłomieju, nie lubię ja tam gadać o drugich, a nade wszystko o umarłych, gotowi się jeszcze przyśnić człowiekowi, i tyle z tego przyjdzie.

— Moja pani Walentowo, jać się nie dopytuję przez próżną ciekawość, ależ oto, zjadło się zęby na pańskim chlebie, toć się człowiek, istnie jakby pies przywiązał do domu, i do każdego po szczególe. A do tego, ta panna Zofia, to dobre jakby anioł, zawsze da człowiekowi pocziwe słowo, jabym jój własnego serca nie poskąpił, żeby jój się tylko na co przydać mogło.

— Istna nieboszczka przerwała stara, ocierając nieznacznie łzę rogiem od fartuszka, żeby tylko tak marnie nie skończyła jak matka.

— A cóż się to nieboszce stało? umarła w dostatkach, w poważaniu u ludzi, w łasce u Boga.

— Oj, że w łasce u Boga, to nie ma co o tem i mówić, że w poważaniu u ludzi, to także prawda, jak dwa a dwa cztery, ale żeby w dostatkach, to jako żywo nie prawda.

— A przecież stary zostawił trzy wsie, i sto tysięcy kapitału na hipotece.

— Ba i bardzo, cóż mu z tego przyszło, kiedy ani sam nie użył majątku, ani też nikomu przy sobie użyć nie pozwolił. Żebyć to jeszcze, dodała ciszej, zbierał był pieniądze bez obrazy Boskiej i krzywdy bliźniego, toby jeszcze było pół biedy.

— No! już ciż to prawda, odparł Bartłomiej dobywając tabakierę, że o tem wielkiem państwie, ludzie i tak i siak mówili, aleć to przecie, nie ma nic do pożycia z żoną.

— Nie ma nic, nie ma nic! oj marne wasze słowa, panie Bartłomieju, miłoś to żonie, kiedy wie że ludzkie przekleństwo ciąży na jej domu, a co gorsza na potomstwie! bo to już tak od wieków bywało i bywa, że grosz nabyty z cudzą krzywdą nie wyjdzie na dobre, i że Pan Bóg prędzej czy później, wytknie niewinnym dzieciom krzywdy ojców. Bie-

dne Zosisko! mnie się nieraz serce kraje, jak patrzę na nią, widzi mi się że to niewinny baranek skazany na ofiarę.

— No! ale za cóż takiego? powiedzże mi moja pani Walentowo? już lichy pobrało gości, człowiek przecie może chwilkę wytchnąć spokojnie, czemuż sobie i nie pogawędzić?

— Oj długoby o tém wszystkiem mówić, odparła stara. Koniec końcem, moja nieboszczka nie była wcale szczęśliwa, choć ją ludzie mieli za taką. Cierpiało biedactwo, ale nigdy przenigdy para z ust jej nie wyszła, boć też to było dobre i niewinne jak anioł; jak żyję na świecie nie widziałam takiej pani. Mnie się zawsze zdało, że to święta z nieba, co przeszła jak Boskie zjawienie pomiędzy ludźmi, a nie dotknęła stopą ziemi. A jaka była miłosierna! Wiesz co, panie Bartłomieju, że nie raz, niedwa na własne oczy widziałam, jak samój sobie od ust odejmowała strawę, aby tylko posilić biednego. A tu z nieboszczykiem ani weź! skąpił jej nawet na konieczne potrzeby, cóż dopiero dla drugich! Oj, ten człowiek miał serce jakby z kamienia.

— I tożto było zapewne przyczyną niezgody, nie prawdaż? zagadnął Bartłomiej.

— Niezgodyć jak niezgody, bo przez piętnaście lat pożycia, nigdy się pono nie pokłócili, ale to było przyczyną nieszczęścia mojej dobrej pani; ale do tego, co prawda toć się przyczyniło i coś więcej jeszcze.

— I cóż takiego? bo jak widzę, nie trafimy do końca.

— No i cóż mam robić? odparła Walentowa, toć już i wszystko opowiem, jakim na to patrzała. Ale to trzeba zacząć z góry, a ja o wszystkim wiem jak najdokładniej, bom przecie służyła za pokojówkę u nieboszczki, kiedy oto szła za męż. Owóż nasz pan jak wiadomo był wdowcem, ale bezdzietnym, i niebardzo jeszcze w latach, boć miał jeno piętnaście lat więcej od pani. A miał jak dziś pamiętam na opiece bratanka swego pana Kazimierza. Oj, toć to dopiero był chłopiec! wszyscy konkurenci panny Zofii, nie warci za nim i wody nosić. Nie dziwota więc że pan Kazimierz ujął za serduszko pannę Marjanę. Pokochalić się oboje istnie jakby dwoje gołąbków, a jak człek spojrział na nich, toć mu niby serca przyrastało. Nieboszka pani chorążyna, matka mojej pani, a owczesnej panny Marjanny, nie byłaby wcale od tego, ale co pan chorąży, to krzywem okiem

patrzył na pana Kazimierza. Zdawał mu się za młody, i nie dosyć bogaty. Pan Wincenty Rolski tymczasem, a późniejszy nasz pan, umiał jakoś trafić w myśl chorążemu, to też jak tylko pisnął słówko, tak też i dostał pannę Marjanę, choć nieboraczka zalewała się gorzkimi łzami, jak szła do ołtarza. Oj! sądnyż to był dzień ów wesela, nie zapomnę go nigdy, choćbym stolat żyła na świecie! A było to właśnie w owym roku, co się to ta straszliwa różga pojawiła na niebie, na krótko przed wejściem francuzów do kraju. Pan Kazimierz jak jeno zmiarkował na dobre, że nie dostanie panny Marjanny za żonę, tak się też co rychło ubrał w mundur, i drapnął w świat Boży, a całą swoją puściznę jako nieletni, zostawił w ręku wuja. To też nieboszczyk, jak mu posłał raz i drugi po trochu pieniędzy, tak go oto ślicznie wykwitował, że nieborak nigdy już nie trafił do wioski. Ledwo przeledo, że mu się ze wszystkiego okroiło z jakie trzydzieści tysięcy złotych, za co kupił sobie pod Łęczycą małeńki folwarczek Michałówkę, gdzie też i umarł w zeszłym roku, zostawwszy w biedzie żonę z dwojgiem dzieci, boć się w końcu i ożenił powróciwszy z wojaczki.

— A pani, nigdyż go już potem nie widziała? zapytał ciekawie Bartłomiej.

— Nie widziała go z jakie lat cztery, dopóki się nie uspokoiło na świecie, i pan Kazimierz nie powrócił do kraju. Tymczasem urodził się państwu synek starszy o kilka lat od naszej Zosi. Pamiętam jak dziś, jednego wieczoru, pani siedziała sobie w ogrodzie pod lipą, i trzymała dzieciątko na rękę, ja stałam sobie opodal pod drzewem. Wtém psy zaszczekały, coś zaturkotało na dziedzińcu. We dworze nie było nikogo, nieboszczyk pan pojechał do Łowicza na święty Mateusz, bo to było jakoś przed samym świętym Michałem. Zaszleściło coś między drzewami, ja spojrzę na panią, aż tu jakby grom z nieba spadł w nieboraczkę, zbladła jak chusta; obejrzę się, a tu za mną stoi pan Kazimierz, zarówno blady i posiniały: a drżał cały, nie przymierzając, jakby listek osiczyny. Chwilka przeszła, a żadne z nich nie mogło wyrzec i słowa. Wreszcie ochłonawszy z pierwszego pomieszania, pan major, bo tak go potem wszyscy nazywali, zbliżył się do pani, pocałował ją w rękę, przywitał, i zapłakali sobie oboje, boć jakże i zapłakać nie mieli. Krew nie woda, a serce nie kamień, wreszcie, przecieć to i przysło-

wie powiada nie darmo, że stare kochanie nie rdzewieje. Jednak jak Bóg Bogiem, nie dali oni światu najmniejszego zgorzenia, boć się też już odtąd ani razu nie widzieli, a pan Kazimierz ożenił się w drugim zaraz roku w zapusty, i był żonie wiernym, aż do grobowej deski.

— No ale jakież było spotkanie Wujaszka z siostrzanem? przerwał Bartłomiej, zażywając dobry niuch swój albanki.

— Jakie? ot zwyczajnie: nieboszczyk pan przyjechał wieczorem. Nazajutrz zamknął się z panem Kazimierzem w pokoju, jak jął rachować, (istnie jakby żyd co to podwójną kredką znaczy w karczmie pół kwaterki), tak też i wykwitował pana Kazimierza z wioski. Major dla świętej spokojności, wolał poprzestać na małym, aniżeli się processować, zabrał więc swoje trzydzieści tysięcy, co mu je wuj od ręki wyliczył, i już się więcej nie pokazał w jego domu. Słyszałam tylko przez uchylone okno, jak po skończonym obrachunku, przemówił zmienionym głosem: Niech ci Bóg nie pamięta tego, mój wuju, bo-dajby ci w ostatniej godzinie nie stanęła w oczach krzywda sieroty. Świat długi i szeroki, jać na nim nie zginę jako żywo, pan Bóg mnie nie opuści, bo

na świecie, temu tylko ciasno, komu sumienie nie daje spoczynku.

— Oj zapewne, zapewne, przebąknął Bartłomiej

— To też odtąd, dodała Walentowa, nasz pan jakoś stetryczał, zdziwaczał, stronił od ludzi, zamknął się jeno sam w sobie, i co przedtem nie bywało, często gęsto oburknął się na panią, za lada przyczyną. Nic go nie cieszyło ani bawiło, a choć dostatki jak to mówią, i drzwiami i oknami sypały się do domu, przecież pan zawsze jakiś nieswój był i pochmurzony. A i pani też coraz to bardziej niedomagać zaczęła, wiedła istnie jak kwiat, kiedy mu robak załęgnie się w korzeniu. Bóg też jakby za karę, dotknął ich ciężko, a choć jedno tylko zawiniło, przecież oboje cierpieć musieli. Małeńki Jasio umarł w jesieni, i dopiero w cztery lata po jego śmierci przyszła na świat Zosienka. Pan nie rad był z córki, i znów jął dokuczać żonie, że nie miała syna. Oj! odtąd ci to zaczęło się dla biednej pani życie prawdziwie krzyżowe. Bładło niebożątko i chudło, jakby passyjka, a całą jej pociechą była modlitwa i pobożne uczynki. Przeżyła tak z górą lat piętnaście, i pewno jak Bóg Bogiem, wysłużyła sobie w niebie nie-

śmiertelną koronę, boć tu na ziemi, zaznała tylko łyzy i niedolę, a tak umiała wszystko znosić cicho i pokornie, że i anieli pobożniej cierpieć nie umieją. Oj święta to była pani! toć też, jeżeli mówię, co dzień wieczór i rano wieczny odpoczynek za jej duszę, to chyba ze zwyczaju, bo ona zaprawdę nie potrzebuje mojej grzesznej modlitwy.

— No a pan, nie upamiętałże się przed śmiercią? zagadnął Bartłomiej.

— Gdzie tam! co się łyse urodziło, umrze łyse jako żywo, odparła niewiasta. Zresztą kto go tam wie, bo i kto przeniknie myśli człowieka. Pan Bóg zesłał ot na niego śmierć nagłą. ale jak dziś pamiętam, na jaki tydzień przed śmiercią, dziwnie jakoś osowiał, zamknął się w swoim pokoju i jeno pisał a pisał, a nikomu nie dał przystępu do siebie. Coś mu widać szeptało, że rychło przyjdzie na niego ostatnia godzina. Nareszcie jednego dnia z rana, a było to w jare siewy, na przednówku, wyjechał w pole maleńką bryczulką w jednego konia. W niespełna godzinę, przywieźli go do domu tkniętego paralizem. Pani rozesłała na wszystkie strony po doktorów, ale na śmierć nie ma pono lekarstwa. My tymczasem wszyscy ratowali pana jak mogli, złożyliśmy go na

sofie w jego pokoju, bo tam koniecznie ręką wskazywał. Chciał coś mówić, ale nadaremnie bełgotał ustami, już mu odjęło mowę, bił się jeno w piersi, znać że żałował za stare grzechy, a lewą ręką co w niej miał jeszcze trochę władzy, wyciągał bez ustanku ku biurku, co stało pod ścianą, kędy chował wszystkie papiery. Skonał w końcu, pobłogosławiwszy małą Zosieczkę, i nieboszkę panią. Oj płakałyć obiedwie płakały, aż się serce krajało patrząc na nieboraczki.

W téj chwili wichur zawiał silniejszy, i uderzył w okno okienicą, wyrrywając ją z zawias.

— Wszelki Duch Pana Boga chwali! zawołała bledniejąc stara Walentowa.

— No i czegoż się Jójmość tak boisz, rzekł śmiejąc się Bartłomiej, nie ma przecież czego, ot zwyczajnie wiatr, i nic więcéj.

— A dla czegoż tak zawiał dopiero jakem zaczęła mówić o nieboszczyku? Oj niedowiarek z wasana, panie Bartłomieju, próżno jeno ciągniesz za język, a ja zawsze powiadam że z umarłemi zaczynać nie należy.

— Ej, gorszać to sprawa z żywemi, moja pani Walentowo.

— Co nie, to nie; już jabym wołała mieć sprawę z najgorszym człowiekiem, aniżeli z duchem.

— A widziałżeś go kiedy wasani?

— Jeszcze by téż, ale jak Bóg na niebie, umarłabym ze strachu, żeby mi się kiedy miał pokazać.

— Nie bój się wasani, nie zobaczysz go nigdy.

— Ba i bardzo, odparła Walentowa oglągając się z widoczną trwogą, a wiesz przecie wasan, że od śmierci nieboszczyka, coś bez ustanku przeszkadza w Łużewie, w tym samym pokoju kędy skonał.

— Bajdy, bajdy, odparł Bartłomiej, szczury i myszy rozgospodarowały się w pustym domu, i nic więcej.

— A przecież dom nie stał pustkami, jakieśmy tam z nieboszką mieszkali, jednak często gęsto słychać było dziwne jakieś pukanie, jakby kto zamek od biurka odrywał, choć żywój duszy w pokoju nie było.

— Strach ma wielkie oczy, odparł Bartłomiej, już co ja to w ducha nie uwierzę, chyba, że go sam na własne oczy zobaczę.

— Nie wywołuj że go, mój panie Bartłomieju, odparła z trwogą Walentowa.

W tej chwili łoskot dał się słyszyć koło komina, stary trezon, który leżał wyciągnięty przed ogniem, podniósł głowę i zawarczał. Walentowa zerwała się z miejsca; załamała ręce z przerażeniem. Bartłomiej sztuknął w ziemię okutym kijem, hałas niebawem umilkł.

— A cóż? słyszałeś wasan? zagadnęła zcicha stara sługa.

— No i cóż? słyszałem, szczury wyległy się pod podłogą, i nie więcój; trzeba wziąć na noc kota do izby, wnet będzie i po duchu.

— Walentowa nie odrzekła ani słowa, szeptała tylko wieczny odpoczynek pod nosem.

Stróż tymczasem zagrzechotał godzinę dziesiątą. Stary Bartłomiej powstał, i wyszedł życząc dobrej nocy Walentowój, która czempredzėj ogień zarzewiem przesypała, potem ukłękła do pacierza, pomodliła się za dusze zmarłe, nareszcie otuliwszy głowę pierzyną, usnęła smaczno, nie obudziwszy się do następnego poranku, a żaden duch nie przerwał cichego jój spoczynku.

II.

Nazajutrz z rana po owéj rozmowie starego Bartłomieja z Walentową, w pałacu w Gradowie, wszystko do zwykłego budziło się życia. Okienice otwierały się jedna po drugiej, story podnosiły, niekiedy twarz błysła w oknie, jakby dla przekonania, co téż tam słyhać na Bożym świecie, i nikła niezadowolona. bo śnieg jak padał, tak padał, bo wrony jak obsiadły w dniu poprzednim, suche i przypruszone śniegiem gałęzie kasztanów, tak téż i siedziały nie poruszywszy się z miejsca.

Jeszcze gruby mrok panował na dworze, gdy ostatnie okno od brzegu, najwcześniej ze wszystkich,

zajaśniało światłem: było to okno od pokoju Zofii. Stara Walentowa spostrzegłszy że panienska już nie śpi, odstawiła czempredziej z komina, kamienny garnuszek z najlepszą śmietanką, i wraz z imbryczkiem herbaty, poniosła sama do pałacu, dokąd weszła bocznemi drzwiami od szczytu.

— A to wy, kochana moja Walentowa, zawołała Zofia, przybiegając spiesznie do stariej sługi, i obejmując jej szyję z uczuciem: Mój Boże! jak wy też to zawsze o mnie pamiętacie.

— Alboż to i panienska nie pamięta o stariej? a któż to niedawno podarował mi prześliczny czepek z żółtemi wstążkami, co go chowam od święta, a od kogoż to ta suknia, i ta chustka, co je mam na sobie?

— A kto mnie też wypiastował i wychodował taką zdrową i wyrosłą? przerwała z uśmiechem Zofia, a kto mnie strzegł jakby oka w głowie, od pierwszego dzieciństwa? a kto mi wiernym był zawsze, tak w dobrej jak i w złej doli? a kto płakał ze mną i pocieszał mnie po śmierci ukochanej matki? O moja droga! są to rzeczy, których niczem na świecie zapłacić niepodobna, chyba sercem, dodała całując

pocziwą kobietę i ocierając własną chusteczką łzy płynące po jej rumianych policzkach.

— Dosyć już, dosyć panienko, bo mi serce pęknie jako żywo. O mój mocny Boże, a toć to istna nieboszczka!

— Oj! że nie, to nie, przerwała Zofia. Moja matka śliczna była jak anioł, a mnie daleko do tego, i choć mnie serdecznie kochacie, nie możecie być tak zaślepieni, żeby nie przyznać, że mi sobie brzydka co się zowie. Cóż robić? trzeba wszystko przyjąć z woli Pana Boga.

— Co się też to panienczce nie widzi, odparła sługa załamując ręce. Przed trzema laty, zaraz jakoś po śmierci nieboszczki pani, kiedyśmy ot tu przyjechały do Gradowa, toć prawda, że mi sobie nieraz gorzko zapłakała, patrząc na panienkę: tak mi się biedactwo zmizerowało, tak wychudło, poczerniało, że i nie było na co patrzeć, ale co teraz niechby mi kto jeno powiedział, że panienka nie ma ślicznych ocząt i gładkiego liczka, to bym ja mu dała, coby i ruski miesiąc popamiętał.

— Jużciż co prawda to prawda, że mi nie piękna, odparła Zofia wesoło, oczy jeszcze ujdą, aleć przecie i płeć mam śniadą jak cyganka, i rysy nie ko-

niecznie kształtne, a co ręce, to wcale nie do pieśczo-ty. To mówiąc pokazała rękę cokolwiek zanadto zrumienioną. Oj znam ci ja to wszystko dobrze do siebie, dodała po chwili.

— Ale zato brewka jak jaskółcze skrzydło przer-wała Walentowa, a włosy to aż do stóp sięgają jak je panienska rozpuści, a co ząbki, to istne perełki.

— Co tam włosy i zęby, odparła Zofia, toć to najnieatrważsze wdzięki u kobiety.

— A cóż trwałego na tym Bożym świecie pa-nieneczko, wiek wszystko zniszczy jako żywo: i jać to, byłam swego czasu hoża i dziarska jak łania; chłopcy szaleli za mną na złamanie karku, a teraz cóż mi z tego? oj starość, nie radość!

— Macie przynajmniej wspomnienie, moja droga, ale co ja, to i tego sobie nigdy nawet nie powiem, żeby mnie kto kiedykolwiek szczerze i prawdziwie kochał.

— A małoż ich to tu kręci się tych paniczów? zagadnęła Walentowa.

— Moja droga, nie złudzą mnie oni; wiem ja aż nadto dobrze, o co im idzie! toć ja się téż mam na ostrożności.

— Nie mówię już ani słowa o tych co tu bywają odparła sługa, ale czyż to panieneczka, nie trafi już na swego, nietrzeba nigdy wątpić, Pan Bóg miłosierny nad wszystkiemi.

— Prawda, odparła Zofia gorzko; jednym daje to, drugim co innego:—mnie dał majątek, toć już i dosyć na tém, mogę iść za mąż, bylebym tylko chciała. O! ale ja tego nie zrobię—dodała ciszej, nie, jak słońce na niebie! mamże sobie kupować męża, jakby sprzęt albo ubranie? o nie, nigdy! a gdzieby było szczęście? czyby człowiek uczciwy sprzedał się za pieniądze?

— Alboż, moja panieneczko, czyż to już wszyscy tacy źli na świecie? a gdyby się też który na prawdę podobał? a gdyby się szczerze pokochał?

— Gdyby i tak było, odparła Zofia—czy myślicie żebym temu uwierzyła? alboż to oni wszyscy nie udają doskonale uczucia, a jakże tu odkryć prawdziwe, między tylu zmyślonymi? O! wierzcie mi moja droga, mężczyźni wszyscy bez wyjątku budzą we mnie wstręt niewysłowiony, jak was kocham, oni nic a nic nie warcił. Już ja sobie oddawna postanowiłam nigdy nie iść za mąż. Alboż to i tak nie można żyć na świecie?

— No, już ciż zapewne że można, ba! i to prawda, że przynajmniej głowa od frasunku nie zaboli, aleć to jednak ciężko samemu, a jeszcze jak przyjdzie starość, albo i niemoc.

— Będzie przynajmniej spokój, a i to rzecz niemała.

— Ale nie będzie pociechy, odparła Walentowa z westchnieniem.

— Pociechy, przerwała Zofia, jak jest majątek, to się musi znaleźć i pociecha! czyż ja sobie nie mogę stworzyć obowiązków? Wezmę oto na wychowanie kilkoro biednych dzieci, zajmę się nimi, będę gospodarować w polu i w ogrodzie, będę pracować ile mi sił stanie, to i życie popłynie jak woda. Poczekajcie, niechno ja tylko dojdę do téj nieszczęśliwej pełnoletności, już ja sobie poradzę.

— Ma téż panienczka o co Pana Boga prosić! przyjdzie ona sama, ani się człek obejrzy, już ci to pono, nie tak długo na nią czekać.

— Pięknie mi niedługo, jeszcze blisko dwa lata. O mój Boże! aż mnie strach przejmuje, na samą myśl, ile ja to jeszcze muszę wysłuchać niedorzecznych oświadczeń i grzeczności. Wierzcie mi, moja

droga że mi się serce kraje, jak pomyślę że ludzie tacy nikczemni!

— Nie wszyscy, nie wszyscy, moja złota panieneczko, są zli, ale są i dobrzy.

— Ja ich przynajmniej dotąd nie znam. O kobietach nie mówię, to zupełnie co innego, ale téż to są w dzisiejszym czasie, biedne istoty, skazane na ofiarę. Ot i ta Anielcia! czy to nie istny anioł? pokochała nieboraczka całą duszą tego nikczemnego Henryka, z początku zdawało się, że i on ją kocha, że wszystko dla niej poświęci, aż tu nie wyszło pół roku, zjawiła się w okolicy panna Izabella, nie młoda, nie ładna, ale posażna: dalejże Henryk do niej, opuścił biedną Anielkę, dobrze że biedactwo życiem tego nie przypłaciło, a kto wie, może i nie dobrze! bo i cóż warto takie życie, bez wiary, bez złudzenia, a do tego zatrute ciężkim żalem! O mój Boże, mój Boże, i jabym miała im wierzyć!

— A przecież pan Henryk nie ożenił się z panną Izabelą, przerwała Walentowa, i podobno ów o czém inném teraz zamyśla, nie darmo tu wczoraj przyjechał na taką wichurę.

— Oj że darmo to darmo, odrzekła Zofia, ze wszystkich on największe budzi we mnie obrzydze-

nie, chociaż i inni niewiele więcej warci. Każdy z nich albo bez rozumu, albo, co gorzej, bez serca.

— Ej panienczko, są na Bożym świecie tacy, co mają i rozum i serce, ale cóż kiedy tacy, to znowu najczęściej nie mają i złamanego szeląga.

— Czy myślicie żeby mnie to zraziło?

— Zapewne, że nie powinno, byleby człowiek uczciwy; alboż to panienska nie ma dosyć swego? Z łaski Pana Boga wystarczy do śmierci, choćby i na dwoje albo i na więcej.

— Tak, tak, ale skąd pewność, żebym była ocenioną dla siebie samej? O! ciężka, to rzecz majątek, dla tych którzy na czémś inném zakładają szczęście!

W téj chwili dało się słyszeć lekkie stąpanie w przyległym pokoju, i niebawem drzwi się otworzyły, a pani Rolska weszła do pokoju. Walentowa drugimi drzwiami oddaliła się na folwark.

Pani Rolska, była to trzydziesto-kilkoletnia kobieta, wymuszona, wykwintna, światowa, która przeżyła młode lata bez jednej myśli poważniejszej, wśród sztucznej atmosfery, podniecanej wyłącznie próżnością. Był to charakter wprost przeciwny uspo-

sobieniu Zofii, to téż obiedwie, jakkolwiek znosiły się, jak przystało na dobrze wychowane kobiety, przecież nie miały do siebie najmniejszej skłonności.

— Dzień dobry ci Zosiu, rzekła z przymileniem pani Rolska, a wiesz téż kochanie, żeśmy otrzymali list zapraszający na ślub pana Waława Daręby?

— Doprawdy, odparła Zofia z widoczną niechęcią, i ciocia myśli jechać?

— Jakże nie, kochaneczko, byłyby śmiertelne gniewy, zresztą nie mamy powodu odmawiać.

— Tak daleko, w téj porze, ależ to niepodobna, zagadnęła Zofia.

— Wszystko podobna przy dobrej chęci moja Zosiu! Nie bądź tylko leniuszkiem, i porzuć twoje maleńkie dziwactwa. Mój Boże, ja w twoim wieku byłabym jechała z ochotą o dwadzieścia mil za bałem, za zabawą.

— Nie gniewaj się moja dobra ciociu, odparła Zofia z uśmiechem, ale mnie się zdaje doprawdy, że i dziś kochana ciocia daleko odemnie młodsza.

— Pięknie mi młodsza! wiesz przecież jaka różnica w naszych latach.

— Tak, ale czyż to lata tak wiele stanowią? Ten młody, kto ma złudzenia, kto wierzy, dla kogo się świat pięknie jeszcze uśmiecha!

— Cóż cię tak mogło zrazić, moje dziecię? Masz wszystko co potrzeba do szczęścia, i majątek, i urodzenie, i powierzchowność wcale zajmującą.

— O już co to, to sobie żartujesz ciociu!

— Nie kochanie, wszyscy znajdują, żeś bardzo wypiękniała od pewnego czasu. Ja sama choć cię codziennie widzę, spostrzegam jednak wielką zmianę. Zeszczuplałaś, pozbyłaś się tych wiejskich zbytecznych rumieńców, i żebyś się tylko chciała ubrać starannie, pewnobyś zakasowała niejedną z tych panien, co się mają za nieporównanie piękne. Aleś ty zawsze taka zaniedbana, tak nie umiesz korzystać z twych wdzięków, i nie chcesz wystawić ich w lepszym świetle.

— Coby mi z tego przyszło, moja ciociu? Wiem ja aż nadto dobrze, że gdybym była jeszcze sto razy brzydsza niż jestem, to przecież ci panowie, co się tu zjeżdżają, aż nadto uszczęśliwieni byłiby z méj ręki, i z trzech wsi, wraz ze stu tysiącami gotówki! dodają z lekkim przekąsem.

— Ej przesadzasz, przesadzasz kochanko! Już ja zaręczam za Alfreda, że temu bynajmniej nie idzie o twój posag. Naprzód tytuł hrabiego daje mu wstęp do najpiękniejszych domów, a potem, choć sam wprawdzie trochę stracił ojcowskięj schedy, ma jednak widoki na stryja senatora.

— Który się niezawodnie ożeni, przerwała z uśmiechem Zofia. Bawią mnie niezmiernie tego rodzaju rachuby.

— Któż dziś nie rachuje, moja duszo, powinniśmy się z tém oswoić!

— Co do mnie, ja nie mogę; to przechodzi moje siły, moję zdolność, przerwała Zofia z zapalem. Dzieckiem jeszcze będąc, zaledwem się nauczyła dodawać i odejmować, mnożenie już mi było za trudne.

— Żartujesz sobie kochanko! no, ale i cóż będzie z weselem? jakże się myślisz ubrać, przyszłam właśnie naradzić się z tobą. Mnie się zdaje, żeby nam wypadało jechać do Warszawy po stroje.

— Ależ ciociu droga, zlituj się, czy podobna? naprzód czas już za krótki, bo podobno ślub już za tydzień, a potem czy też to warto?

— Już że warto, to warto, moja Zosiu, najgorsza będzie sprawa z mężem, ale muszę ja użyć wszelkich moich sposobów. Podąsa się, posprzecza, i pozwoli na końcu, to jego zwyczaj. Z silną wolą, wszystko przecież pokonać można.

— Prawda, ależ ciociu, czy nie szkoda zużywać ową silną wolę bez potrzeby, i wyczerpywać ją na takie drobnostki. Co do mnie, żebym miała męża, nigdybym go o nic nie prosiła, a zwłaszcza o nic takiego; (przebacz mi ciociu zbyt śmiałe słowa), bałabym się o to, żeby nie stracił dla mnie szacunku. Panowie aż nadto lekceważą nas sami, a my podobno podajemy im broń na siebie. Żeby widzieli w nas więcej mocy duszy, a mniej drobiazgowości, byłiby inni niewątpliwie.

— Dałabyś pokój z morałami, moja ty mała mentorko, mam ja już moją taktykę, wojuję nią już przez lat piętnaście, i udaje mi się doskonale. toć jej już nie porzucę do śmierci.

— I cóż ci z niej przychodzi, moja ciociu?

— To, że zawsze w końcu wychodzę zwyciężko, alboż to mało?

— Gdyby mnie tyle zwycięztwo miało kosztować, rzekła Zofia, tobym go się wyrzekła raz na zawsze.

— Nic, mój aniołku, nie przychodzi bez trudu i mocołu na świecie. Poznasz to sama kiedyś jak pójdziesz za mąż. Ci wszyscy panowie, co to teraz tacy pokorni, potulni, niech tylko raz zostaną mężami, oho! zmieni się zupełnie ich rola.

— Pięknie mnie zachęcasz do małżeństwa ciotciu, dobrze że wiem, nie myślę ja wcale próbować szczęścia!

— Jednakże trudno zawsze zostać panną, coby na to świat powiedział?

— Świat? alboż mi da szczęście i swobodę, gdy je stracę w niedobranem małżeństwie?

— Nie, zapewne, ależ świat wiele wynagrodzi. Mów ty co chcesz, miło to przecież być poszukiwaną w towarzystwie, zwracać na siebie oczy wszystkich, a do tego jeszcze, mieć tytuł jaki taki, być naprzykład hrabiną! to jakoś zaraz inaczej brzmi mój aniołku, i rzuca dziwny urok! Ty tego nie pojmujesz jeszcze kochanie, ale pojmiesz to, jak będziesz żoną Alfreda. Co do mnie, mam o tém wyobrażenie, bo i ja byłam niegdyś hrabianką!

To mówiąc westchnęła lekko, na miłe wspomnienie.

— Kiedyś mogło to mieć znaczenie, ale dziś rzecz się zupełnie zmieniła.

— Zdaje ci się kochanko, jednakże tak nie jest, nie wszyscy mają takie przewrócone główki jak ty, moja Zosiu. Ależ powiedz mi, z kąd ci to przyszło? już chyba z książek. Nie chcesz nigdy czytać dzieł mego wyboru, sama sobie wyszukujesz jakieś niedo-warzone polskie banialuki. Wierz mi kochanko, że się tym sposobem bynajmniej nie wykształcisz. Jakieś idee niby postępowe, weszły dziś w modę, to też każdy z tych panów literatów rzuca je na papier, ot tak sobie z fantazyi, dla zyskania popularności; ale żebyśmy tylko zajrzeli w ich życie, kto wie czyby się coś innego nie pokazało, i czyli też ci, co najgłośniej sarkają na panów, nie starają się najgorliwiej o ich względy.

— Co nam do tego, moja ciociu, niech sobie postępują jak chcą, my mamy tylko prawo sądzić ich z tego co piszą. W tém to podobno największy tryumf prawdy, że nikt nie śmie głośno, przeciwko niej przemówić, a choć każdy błądzi, bo słaby, to przecież mało kto ma tyle bezwstydu, żeby rozszerzał na piśmie przewrotne zasady i zdania.

— O! już to ty masz upрек, nie łatwo cię przekonąć! No ależ pójdź ze mną, we dwie prędziej sobie poradzimy z mężem.

— Moja ciociu, nie osobliwego znajdziesz we mnie adwokata, raz że nie mam przekonania o słuszności sprawy, a potem podróż do Warszawy i bal, niebardzo to przynęcająca dla mnie nagroda!

— Dziwaczka z ciebie wielka, chcesz się koniecznie odróżniać od drugich, i dlatego przybrałaś taką rolę.

— Ja żadnej roli nie odgrywam, odparła Zofia z godnością, moją w tém winą, że mnie Pan Bóg nie stworzył piękną, i ztąd zapewne nie dał zamiłowania świata i zabawy?

— Zawsze swoje i swoje, przerwała ciotka, kto z tobą dojdzie do końca?

Rozmowa ta rozpoczęta w pokoju Zofii, toczyła się między dwiema kobietami, podczas gdy przechodziły trzymając się pod ręce, długi szereg mniej więcej dobrych pokoi. Im bardziej oddalały się od skromnego pokoiku Zofii, tém zbytek był widoczniejszym, tém większa wykwinność uderzała oczy. Gabinecik zwłaszcza pani domu, zbiorem był małych arcydzieł, więcej jednak przemysłu niż sztuki. Było w nim

wprawdzie parę obrazów olejnych nowój francuskiej szkoły, i kilka sztychów angielskich, ale za to porozstawiane fraszki niesłychanej ceny, na etażerkach, stolikach i konsolach, nadawały mu raczej pozór pysznego sklepu. Przedmioty te, zamiast coby miały służyć ku wygodzie, nagromadzone w zbytnej ilości, zawadzały tylko jedne drugim i zabierały bezużytecznie miejsce.

Przebiegłszy ów budoar, wysłany cały miękkim kobiercem, i salon mozaikowany, pełen brązów i okazałych sprzętów, pani Rolska z Zofią weszły do jadalnej sali. Tam, na wielkim stole przyrządzone było obfite i wykwintne śniadanie. Pan Rolski chodził po pokoju, oczekując na herbatę.

— Słuchaj-no, mój Edwardzie, rzekła żona z przymleniem, uradziłyśmy oto z Zosią, że nam koniesznie trzeba jechać do Warszawy.

— Ależ bójcie się Boga, to niepodobna! czas taki nieznośny, jeszcze która z was zachoruje. Napisz do kogo ze znajomych, to ci przyśle pocztą co potrzeba.

— Dziwny jesteś, mój drogi, tobie się wszystko tak łatwém wydaje! czy to się można zupełnie spu-

ścić na kogo, kiedy idzie zwłaszcza o kupienie balowej toalety?

— Wielkie rzeczy! toć te panie warszawianki, muszą się przynajmniej na tém znać dokładnie, bo zresztą i na czemżeby się znały? A potem wszakże ci wielkich sprawunków, zapewne nie potrzeba, sukien masz dostatkem, na czepkach ci także nie zbywa, a za drobnostką, wartoż jechać do Warszawy, na taki czas i słotę?

— Ależ mój mężu, zastanów się, czybym téż mogła na taką fetę, pokazać się w znanéj już sukni, a nowéj zupełnie nie mam ani jednéj, zwłaszcza takiej któraby uszła na dzień ślubu. Zresztą czyż ty nie wiesz, że się zabawa w dniu jednym nie skończy? Będzie obiad nazajutrz, i śniadanie tańczące na trzeci dzień u państwa młodych. Spodziewam się że mi przecie nie dasz wystąpić nieprzyzwoicie między drugimi.

— Ależ bój się Boga żonko, ja nie mam pieniędzy, jak cię kocham, a tu jak widzę zanosi się na wielkie rzeczy. Za pszenicę jeszcze wszystkiego nie odebrałem, buraki się nie urodziły, muszę znaczną ich liczbę skupować u sąsiadów, a każdemu trzeba płacić gotówką. Głowa aż pęka człowiekowi.

— Mój kochany, pracujesz i pracujesz, zakładasz gorzelnie, cukrownie, i Bóg wie nie co, a zamiast przysparzania majątku, coraz bardziej narzekasz na brak pieniędzy.

— Cóż dziwnego? odparł pan Rolski, kiedy w domu coraz większe wydatki, coraz większe zbytki. Czyż podobna wystarczyć na wszystkie twoje wymysły i wymagania? Samo wychowanie dzieci, już mnie kosztuje do piętnastu tysięcy rocznie.

— Na to przynajmniej nie żałuj mój kochany. Chciałżebyś, żeby nic nie umiały?

-- Mogłyby być dobrze wychowane, bez angielek i francuzów.

— To mi się podoba, radabym wiedzieć, jakieby też to było wychowanie?

— Kto wie, czy nie lepsze! w miejsce paplotania kilkoma językami, nauczyłyby się myśleć jednym wprawdzie, ale porządnie

— Coby na to ludzie powiedzieli, żeby dzieci nasze nie umiały po angielsku? rzekła z uśmiechem pani Rolska.

— Tyś sama nie umiała, i nic, a nic na tém nie straciłaś.

— O! i bardzo wiele, kto wie, ale dajmy temu pokój. No i cóż będzie z wyjazdem naszym do Warszawy? dodała podnosząc głos nieznacznie. Chciałabym wyjechać jutro rano.

— Ja koni dać nie myślę, odparł mąż, ruszając ramionami. Klacz naręczna okulawiała na prawą nogę, lejcowa nie wyleczona jeszcze z zołzów.

— To pojedę pocztą, mniejsza zresztą jak, bylebym tylko jechała.

— A ja pieniędzy nie dam, bo jak mówiłem, nie mam ich teraz w domu.

— O mój Boże, mój Boże, zawołała z uniesieniem pani Rolska, biedne my nieszczęśliwe kobiety. Czuć że się ma majątek, a nie móż nim rozrzadzić, o to okropnie, okropnie! Zosiu, Zosiu, masz słusność że się wyrzekasz małżeństwa!

Ale Zofii nie było już w pokoju, uciekła widząc że się zanosi na małżeńską scenę.

— Mądre prawo, odparł zimno pan Rolski, gdyby nie to, roztrwonilybyście wasze posagi na stroje i zbytki, a dzieci poszłyby z torbami z rodzicielskich wiosek.

— O! i ja mam znosić tyle zniewag i poniżenia, zawołała żona rumieniąc się od gniewu, dosyć już

tego! O mój ojcze, moja matko! dodała padając na krzesło, czyżście się spodziewali, że wasze dziecko tyle kiedyś znosić będzie, wy coście tak piękną marzyli dla mnie przyszłość! To mówiąc zapłakała głośno.

Pan Rolski powstał z krzesła, nie dokończywszy śniadania, i chodził szybkim krokiem po pokoju, wypuszczając z ust kłęby dymu.

— Porzuć-że tę nieszczęśliwą fajkę, nie masz względu na moje delikatne nerwy, zawołała żona. O! wy mężczyźni, na nic względu nie macie, ma słuszność Zosia, że się zraza iść za mąż, lepiej być starą panną, lepiej wystawić się na śmiech i żarty, aniżeli wpaść w wasze szpony. I płakała coraz głośniej.

Pan Rolski zdawał się miękczyć coraz bardziej, patrząc na łzy żony. Ona wiedziała o tém dobrze, to też coraz dzielniej używała swój broni.

— Ależ żonko, żoneczko, rzekł zbliżając się do jej krzesła, porzuciwszy poprzednio fajkę, zastanów się; ja cię obrazić nie chciałem.

— O tak, nie chciałeś to prawda, ty nigdy obrażać nie chcesz, a jednak zabijasz mnie twem obejściem, nie masz względu na piętnastoletnie pożycie, w ciągu którego stargałam zdrowie i siły. Nie masz

względu na matkę twoich czworga dzieci, które może niedługo zostaną sierotami. O mój Boże, mój Boże!

I znów zasłoniła oczy chustką ocierając łzy płynące obficie po licu.

— Ależ kochanie, ja tylko żartowałem, pojedziesz do Warszawy, jutro, dziś nawet, jeżeli chcesz koniecznie.

— Nie chcę już jechać, co mi po wszystkim, co mi po weselu. Niech się szczęśliwi bawią i cieszą, ja o tém ani myślę.

— Ale pojedziesz, Kamilko, pojedziesz jak mnie kochasz.

— Nie, nie pojedę, daję na to słowo, przecież mnie do tego nie przymusisz.

— Nie przymuszę, ale uproszę, nieprawdaż? rzekł całując żonę w czoło i rękę, którą go zlekka odepchnąć usiłowała.

— O! nie uprosisz, już zapóźno, trzeba było przystać natychmiast.

— Już ci dam tysiąc złotych na stroje, właśnie odłożyłem je na podatek, ale mniejsza o to, kiedy żonce potrzeba.

— Tysiąc złotych, odparła z uśmiechem, miałabym téż z czém jechać do Warszawy, sama droga będzie kosztowała przynajmniej połowę, licząc w to trzy dni pobytu w miejscu, bo przecież prędkiej roboty nie wykończą. A potem suknia na dzień ślubu z dodatkami, wyniesie najmniej pięćset złotych, cóż mi zostanie na resztę? a tu jeszcze tylu innych rzeczy potrzeba!

— No, to i cóż mam robić? dodam ci jeszcze sześćset złotych, jedź tylko, mój aniołku.

— To mało, jak cię kocham wy mężczyźni nie znacie się na niczém, tylko na waszych burakach i kartoflach.

— No to wieleżbyś chciała?

— Przynajmniej trzy tysiące.

— Aj, aj, czy to podobna, mój Boże byłoby za to przynajmniej sześćset korcy buraków.

— Toć ja ich téż nie żądam, bo już jechać nie myślę, odpowiadam tylko na twoje pytanie.

— Ależ pojedziesz, pojedziesz, musisz mi tylko cośkolwiek odstąpić, już gotówem dać dwa tysiące.

— Dziękuję za nie, wolę nie. Czyżbyś chciał żebym wystąpiła, jak jaka szlachcianka na jednej wio-

sce, wobec całego sąsiedztwa? Co do mnie obejdę się bez balu, a nie skompromituję się pewnie w oczach tyłu!

To mówiąc powstała, otarła oczy, i chciała wyjść z pokoju. Mąż zatrzymał ją w progu.

— No już dam ci ile żądasz, tylko się nie gniewaj i nie psuj łzami twoich pięknych ocząt. Oj kobiety, kobiety! czego wy z nami nie dokażecie!

— Oj mężczyźni, mężczyźni, co wy nas też darmo nie nadręczycie, odparła żona, grożąc mężowi drobnym i ładnym paluszkiem.

I oboje uścisnęli się czule, jakby nic nigdy nie zmąciło małżeńskiej harmonii.

Pan Rolski wyszedł na chwilę do swego pokoju, i przyniósł trzy tysiące papierowemi rublami, pani Rolska tymczasem dobywała ze stolika perły i brylanty, przyglądając im się, czy nie potrzebują oczyszczenia i naprawy.

Oczy jój były jeszcze cokolwiek zrumienione od łez, policzki nabrzękłe, ale radość jaśniała już w oku, jak promień słońca za chmurą po niedawnéj burzy.

Po nowém uściśnieniu i pieszczocie, pan Rolski wyszedł, chcąc wydać rozkaz, aby konie i powóz wyszykowane były do drogi w dniu następnym, pani

Rolska pobiegła do Zofii, niosąc w ręku zdobyte szturmem trzy tysiące.

— Aha! widzisz Zosiu, mam pieniądze, zawołała z radością, pojedziemy jutro oświcie, dziś Alfred będzie tu na herbacie, szepnę mu, to i on pojedzie do Warszawy.

— Ależ po co, droga ciociu?

— Po co? będzie nam towarzyszył po sklepach, pójdzie z nami na teatr i na koncert do resursy, widzisz aniołku, że to zawsze jakoś lepiej i przyzwoiciiej kiedy młody człowiek towarzyszy, a do tego jeszcze hrabia, to rzuca pewien urok!

— Oj ciociu, ciociu, miałam ja słusność, kiedy powiedziałam, żeś ty daleko młodsza odemnie.

— A ty dziwaczka, i nic więcej, no ależ jaką suknię myślisz sobie sprawić?

— Jaką taką, mnie nic a nic na tém nie zależy, byleby tylko niebardzo drogą, bo ja na takie rzeczy okrutnie żałuję pieniędzy.

— Oho! nic nie pomoże, musisz kupić coś bardzo wykwintnego, słyszałam że Schlenker sprowadził z Paryża jakieś suknie tuzinami, haftowane złotem i jedwabiami. Co do mnie, kupię sobie materję pompadour, jużem téż bardzo dawno wzdychała do

niej. O! mój Boże, co to za szczęście, że się przecie wydarzyła sposobność! to mówiąc klaskała w białe i pulchne ręce z dziwnym wyrazem zadowolenia.

Zofia nie odrzekła ani słowa, zasmuciła się tylko widocznie.

— No, gotujże się do drogi, rzekła ciotka, ja z mojej strony będę się też wybierać. Trzeba się ze wszystkiem załatwić z rana, bo wieczorem jak wiesz, będziemy mieli gości.

I wyszła z młodzieńczym pośpiechem, nucąc arją z Córki Regimentu. Przebiegła lekką stopką z lekkim i rozradowanym sercem, długi szereg pokoi.

Zofia tymczasem usiadła przed maleńkim stolikiem do pisania, wzięła książkę do ręki, ale położyła ją wkrótce, znać że dziwne myśli plątały się jej po głowie i rozrywały uwagę.

— O matko! pomyślała w głębi duszy (poglądając na portret zawieszony przed stolikiem, wystawiający młodą i piękną kobietę), czemuż cię już nie ma? ty jedna byłabyś mnie pojęła! Ty ukoilabyś tę dziwną tęsknotę bez powodu, która ciśnie mi serce, a której nie ukoil ani bal, ani zabawa. Mój Boże, boleśnie to być między ludźmi niepojętą, obcą, a jednak cierpieć nieustannie nad ich słabością i poniżeniem!

To mówiąc otarła nieznacznie łzę i zabrała się do pisania.

Na drugi dzień o świcie, jeszcze szary mrok rozpościerał się po niebie, kiedy piękna karetą zaprzężona w czwórkę gniadych Meklemburskich koni, zaszła z trzaskiem na dziedziniec. W pałacu panował gwar niezwykły: służący kręcili się ze świecami w ręku, w różnych kierunkach; wynosili pudła, kufry i tłomoki. Nakoniec, kiedy już wszystko było zapakowane, ukazała się w sieni pani Rolska, wsparta na ramieniu męża, który trzymał w ustach fajkę. Znać że nerwy żony wzmocniły się od dnia poprzedniego, bo jój dym tytoniu, nic a nic już nie szkodził, pocałowała nawet bez odrazy, okopcone wąsy pana Edwarda, i nie skrzywiła się nawet. Za nią wsiadła do karety Zofia, blada jakaś i smutna, pożegnawszy poprzednio Walentową, która z uczuciem ucałowała jój rękę. Powóz ruszył, psy zaszczekały, a pan Rolski tylko pozostał na ganku, skłonił głowę w milczeniu, i westchnął, może za żoną, a może też i za trzema tysiącami, które już w myśli, przeznaczył był na kupno sześciuset korcy buraków.

Nasunął nakoniec czapkę na uszy, zarzucił płaszcz na szlafrok, i udał się ku murowanej cukrowni przez ogród, pomimo śniegu i zawieruchy.

Walentowa tymczasem poszła na folwark, do swojej małej izdebki, za nią udał się niebawem i Bartłomiej.

— No otóż i pojechali, rzekł stary, siadając przy ogniu na zydelku, i przyrzucając parę drewek na komin, chwałaż Bogu, będzie przynajmniej parę dni spoczynku.

— No, ale po cóż im gonić wiatr po świecie na taką zadymkę? odparła Walentowa. Oj, siedzieć było lepiej w domu, żal się Boże jeno ludzisków i koni, boć co w karecie, to jak u Pana Boga za piecem. Żeby jeszcze były jakie ważne sprawy, ale Panie odpuść, dla marniej sukni, albo czepka, co to i plunąć nie warto, byłby oto ktokolwiek bądź kupić, i obyłoby się bez tylu korowodów.

— Ba, wyperswadujże jejmość! jak sobie co niewiasta w głowie ułoży, to jej i sam djabeł nie przeprze.

— Ej gadacie mój panie Bartłomiej, nie wszystkie kobiety takie. Ot i nasza panna Zofia, toć także nie co innego, a jednak byłaby się drogo okupiła

reby nie jechać aż się niebodze; łyzy kręciły w oczach wczoraj wieczór, jakem poszła do jej pokoju. Zmar-twiła się nadewszystko nieboraczka, jak się dowie-działa, że i młody hrabia pojedzie.

— A on tam poco? zapytał stary zażywając ta-bakę.

— Albo ja wiem? odparła Walentowa: zwyczaj-nie, to sprawa pani. Oj młodo w głowie, młodo, choć czterdziestka za pasem. Wstyd, matce dzieciom, niewieście statecznej, tak nie mieć jeszcze zastano-wienia.

— Wolno pani, jako pani, odparł śmiejąc się Walenty. Alboż to jest czas zastanowić się, kiedy życie płynie jakby woda. Oj niechby jeno przyszło jedno i drugie nieszczęście, albo bieda, toćby zaraz ogorzały piórka po jednemu.

— Zapewne, zapewne, przerwała stara. Ale jak przyjdzie kiedyś zdać Panu Bogu rachunek z zmar-nowanego życia, toć będzie i wstyd i bieda!

— Nie daremnie to, rzekł Bartłomiej, ksiądz pro-boszcz mówił w zeszłą niedzielę na ambonie, że snadniej wielbłąd przesunie się przez ucho od igły, aniżeli bogacz wejdzie do królestwa niebieskiego.

— Oj, mądre to słowa zaprawdę rzekła Walen-

towa, to my też aby nie narzekajmy na nasz stan ubożuchny, boć nam Pan Jezus z lichwą zapłaci, nasze biedy i utrapienia. A cóż, Panie Bartłomieju, nie napijesz się wasan kawy, mam ci tam jeszcze trochę w garnuszku za chwilę przygrzeję.

— A toć ja nie od tego, spiesz się tylko jójmość, bo muszę iść do pałacu, dać śniadanie tym włóczęgom z za morza, co to Panie odpuść, nie umieją się z człowiekiem rozmówić po ludzku. Oj! żal mi tylko tych niebożąt dziecisków, boć się to temu darmo poprzewraca w głowinach. Cóż robić? dopuszczenie znać Boskie!

— Oj że dopuszczenie, to dopuszczenie, kiedy Pan Bóg chce ukarać, toć najpierw rozum odbierze.

— A i nasze biedne panosko, rzekł Bartłomiej, żal mi okrutnie nieboraka. Pracuje jak parobek, ani dośpi, ani doje, tylko że dalej a dalej, z wózka na wózek, z konia na konia, to na folwarki, to do cukrowni, co to za życie takie? lada biedak użyje przecież czegoś lepszego:

— Toć też jego wina, że sobie zrazu nie umiał z jójmością lepiej począć. Krzyknie, burknie, to prawda, a pani zawsze co chce robi.

— Niech sobie tam robią jak chcą, rzekł Bartłomiej dopijając resztę kawy, co nam tam wglądać w ich czynności. Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi, nie darmo mówi przysłowie. No! Bóg zapłać, moja Pani Walentowo, dodał powstając z zydła, człek pokrzepił stare kości, a teraz dalejże do roboty.

I wyszedł z izdebki. Walentowa została sama, i dumiała siedząc przy kominie, zgarniając łyżką kozuszkę od śmietanki.

III.

W tymże samym czasie, podczas gdy Pan Rolski dreptał, zrzędził i zbierał pieniądze, aby mieć czem dogadzać rozlicznym wymysłom żony, podczas gdy Pani Rolska zwiedzała w Warszawie sklepy i magazyny, gdy się ukazywała świetna i strojna na teatrze i koncercie, w towarzystwie hrabiego Alfreda i znużonej Zofii, — w małej wiosce Michałowce, o milę od Łęczycy, inne zupełnie myśli zajmowały cichych mieszkańców, skromnego drewnianego dworku, z którymi wypada nam się już zapoznać.

Pani Kazimierzowa Brodzicowa, zwana powszechnie panią Majorową, wdowa po Majorze, o którym

wiemy już cośkolwiek, z opowiadania starój Walentowój, zostawała jeszcze w posiadaniu Michałówki, po śmierci nieboszczyka, który umarł przed trzema laty. Pan Kazimierz był zacnym i uczciwym człowiekiem, ale czyli to z dopuszczenia Boskiego, czyli też z innój przyczyny, w ciągu całego życia, nic mu się nigdy nie wiodło. Jakkolwiek był zawołanym gospodarzem, rola przecież, choć lepiej u niego niżeli u sąsiadów uprawna, nie wydawała bujnego plonu, dobytek upadał rok rocznie, choroba w domu była nieustająca, drobne dziatki wymierały jedno po drugim, tak że z licznój rodziny, zostało zaledwie po śmierci ojca, dwóch dorastających synów. Mimo to wszystko, tak Pan Kazimierz, jako też i sama jego żona, nie upadali bynajmniej na duchu, pod pociśkiem tylu rozlicznych ciosów. Pobożni, pracowici, po każdój nowój klęsce garnęli się do pracy, z wznowionym zapałem i odwagą, walcząc wytrwale z nieszczęściem, i szukając pociechy w wzajemnej miłości i zgodzie.

Pożycie małżonków, mogło być służyć za wzór w całej okolicy, jakkolwiek wiadomo było powszechnie, że nie miłość gorąca związała ich przed laty nierozzerwanym węzłem. Pan Kazimierz żeniąc się

z swoją Justysią, sercem i duszą, pamiętał jeszcze piękną chorążankę. Wiedziała o tém Justyna, ale cicha i bogobojna, przyjęła na siebie bez wachania ciężki obowiązek, nie kochanej z zapalem żony. Uczyniła to, raz na żądanie matki, której major przypadł dziwnie do serca, a która czując że jej lata nie długie, pragnęła zostawić córkę pod opieką zacnego i uczciwego człowieka, wreszcie uczyniła to z własnego przekonania. Pan Kazimierz od pierwszego poznania, obudził w niej dziwne współczucie. Widząc go smutnym i cierpiącym, chciała zostać jego opiekuńczym aniołem, i z poświęceniem, do jakiego tylko kochająca kobieta jest zdolną, zapragnęła oddać mu życie, nie żądając w zamian nic więcej, oprócz przyjaźni, oprócz zaufania, oprócz tkliwej i bacznój opieki.

Pierwsze lata małżeństwa nie przeszły zapewne bez cichych łez kobiety, ale te Bóg tylko mógł policzyć, ludzie ich nie widzieli, nie widział ich Kazimierz. Justyna zbyt była dumną, aby czynić mężowi jakiegokolwiek wymówki, jeżeli niekiedy spostrzegła smutek na jego czole. Zresztą Kazimierz, nie dawał nigdy słusznego powodu do wymówek żonie, a trudnoż kobiecie, skarżyć się i utyskiwać, je-

żeli nie czuje się dostatecznie kochaną! Pani Kazimierzowa więc polykała w milczeniu łyżę gorzkie, gdy tymczasem z jej czoła, nigdy ani na chwilę, nie schodziła pogoda. Modliła się pobożnie, krzątała około domu i dzieci, przewidywała myśl i życzenia męża, a gdy widziała go smutnym, schodziła mu z oczów, i powierzała tylko Bogu swoje zgryzoty i boleści. Tak przeminęło lat parę. Tymczasem zwolna, major przywiązywał się coraz więcej do żony i rodziny. Czas wpływem swoim tajemniczym, goił rany, w zniekanem i zawiedzionem jego sercu. Zwiększająca się rodzina, łączyła go coraz nowemi węzły z dobrą i powolną mu Justyną. Przywiązanie kobiety stałe, nieodmienne, gorące, jej wyłączne poświęcenie, topiły zwolna chłód pierwszych lat pożycia, tak że w przeciągu lat kilku, Kazimierz odzyskał dawną swobodę umysłu, i czuł się niemal szczęśliwym, a Justyna nie posiadała się z radości, i tylko Opatrzność, prowadząc wszystko tajemniczymi ścieżkami, do odwiecznych swych celów, mąciła niekiedy ich pokój, zsyłając na nich raz poraz ciężkie próby, które oni mężnie i wytrwale znosili.

Przed trzema laty właśnie, umarł był major, po długiej i ciężkiej chorobie, która do reszty wyczer-

pała szczupłe domowe zasoby, i zmusiła nawet do zaciągnięcia znacznych długów. Pozostała wdowa nie miała nawet czasu zapłakać swobodnie na świeżym grobie ukochanego męża. Wierzycciele jedni po drugich zgłaszali się po odebranie należytości. Dokończenie nauk chłopców wymagało coraz to nowych nakładów. Jeden z nich Antoni, wysłanym był od trzech lat na daleki uniwersytet, drugi Feliks, ukończywszy kurs nauk w Marymoncie, był właśnie na praktyce przy jednem z słynniejszych gospodarstw w kraju. Nieszczęśliwa małka płakała więc samotnie, opędzając się wszelkimi siłami wierzyccielom, i myśląc ze strachem o pełnoletności synów, która niebawem nastąpić miała, w czasie albowiem ojcowskiej śmierci obadwaj bliźnięta skończyli byli ośmnasty rok życia. Biedna majorowa nie śmiała nawet spojrzeć w przyszłość, przewidując w niej tylko niedolę.

Dnie jednak płynęły jeden za drugim: minął rok po śmierci majora. Nadeszło lato. Antoni wrócił z uniwersytetu, skończywszy najdokładniej nauki, Feliks otrzymał patentą, złożony na nowo egzamin, po dwuletniej praktyce. Obadwaj synowie naradziwszy się ostatecznie z matką, umyślili pozostać

stać w rodzicielskim domu, aż do dnia, w którym razem skończą rok dwudziesty pierwszy.

Nadszedł nareszcie listopad, a z nim dzień oczekiwany niecierpliwie przez chłopców, z nie zrównaną trwogą przez biedną ich matkę. Majorowa zwołała radę familijną. Po złożonych rachunkach z opieki, i obliczeniu dokładném długów, okazało się, że niepodobna było utrzymać się dłużej przy wiosce. Znalazł się też wkrótce i kupiec, jeden z wierzycieli, który miał najznacniejszą sumę na hipotece. Interes zakończył się w kilku słowach: pan K... wszedł natychmiast w posiadanie Michałówki, zostawiając majorowej dworek i ogród, dopóki sobie nie upatrzy schronienia, zakreślając czas najdalszy, do następnego Św. Jana. Z całego majątku pozostało zaledwie dziesięć tysięcy złotych na Michałowce, i trochę nędznego dobytku.

Gdy się rada familijna rozjechała, biedna majorowa załamała ręce z boleścią, obeszła wszystkie kąty nie swojego już domku, w którym tyle lat przeżyła, jeżeli nie w wymarzoném szczęściu, to przynajmniej w zgodzie, miłości i pokoju. Zapłakała rzewnie, przycisnęła synów do piersi, a potem schroniwszy się, jak zwykle w każdej przykrój chwili, do

swój małej sypialni, upadła na kolana przed obrazem Zbawiciela, i u stóp jego złożyła całe brzemie boleści, jakie gniotło macierzyńskie jej serce.

Obadwaj bracia tymczasem naradzali się wzajemnie, jakby się przyczynić do osłodzenia i ulżenia losu nieszczęśliwej matce. Serca obudwóch dziwnie były ściśnięte, na czole ich przecież błyszczała siła woli, a w oku zapał niezrównany.

— Co do mnie, będę urzędnikiem, rzekł Antoni, już to dla mnie najwłaściwsza droga. Ojciec nieboszczyk miał znajomych w sądownictwie, oni mi zechcą dopomóc. Dzięki rodzicom, że nam przynajmniej nie szczydzili nic na wychowanie. Nie zginiemy na świecie, wierz mi, kochany Feliksie.

— Ja o tém nie wątpię Antosiu, żal mi tylko matki, że zostanie sama jedna na stare lata, ależ tu nie ma rady. Choćbym wziął razem z nią małą dzierżawkę za pozostałe pieniądze, to i cóż z tego? wystarczyłoby zaledwie na życie, a tu i tobie z początku zwłaszcza, trzeba cośkolwiek udzielać.

— Bądź o inie spokojny Felusiu, ja od was nie potrzebować nie będę.

— Jakże się obejdiesz, mój drogi? już ciż od razu nie dostaniesz tyle, żeby ci mogło wystarczyć, a do tego jeszcze w mieście.

— Będę dawał korepetycyę, będę przepisywał, a kto wie, może mi się zdarzy miejsce przy jakiej redakcji, już ja sobie muszę dać radę.

— Gdyby i tak wreszcie, niechże oto przyjdzie choroba na biedną matkę, o co nietrudno podobno przy jej znękaniu, to jakże sobie poradzimy, jeżeli ja z mojej strony cośkolwiek nie zarobię? przykładałem się jak wiesz wyłącznie do cukrownictwa, obznajmiłem się już ile tyle z przedmiotem, mógłbym dostać parę tysięcy rocznie, trzeba więc koniecznie porzucić biedną matkę, i szukać chleba na swoje rękę. Ciężka to wprawdzie ofiara, ale i cóż poradzić? albo to życie łatwe?

— Oj że nie, to nie, mój drogi.

Tak rozmawiali chodząc po małym ogródku, i trzymając się pod rękę. Wtém umilkli obadwaj, stanęli w miejscu, jakby jedną natchnieni myślą, spojrzeli dokoła, i łzy spłynęły im po ogorzałym licu.

— Pamiętasz Antosiu, rzekł Feliks wskazując ręką na prawo, tu pod tą lipą siadywał zawsze poczciwy ojciec z książką. Głos młodziana dziwnie był zmieniony gdy wymawiał te słowa.

— Pamiętam, pamiętam, odparł Antoni, a tu w owej altanie z dzikiego wina, dobra nasza matka uczyła nas pacierza.

— A tam pod dzwonnniczką, rzekł Feliks wskazując ręką na pole, po za którym szarzała w oddaleniu wioska, jest grób drogiego ojca. O! mój Boże, mój Boże, i my mamy na zawsze porzucić naszą ukochaną Michałówkę, gdzieśmy tak byli szczęśliwi!

— O! to okropnie, okropnie! odparł Antoni.

— A co nas czeka na świecie między obcymi? Zawód, upokorzenie, boleść, rzekł Feliks gorzko.

— Praca i mozół, dodał brat, taka to kolej życia, trzeba się uzbroić Feliksie.

— Prawda, ależ to ciężko! A tu tak było dobrze i cicho, życie w dzieciństwie płynęło jak ta woda.

To mówiąc wskazał na maleńką stróżkę wijącą się po za ogrodem, w cieniu gęstej olszyny.

— Każda woda u źródła czysta i spokojna, odparł Antoni, dalej dopiero burzy się i mąci, jak trafi na zapory i kamienie, a tych też podobno nigdy nie braknie w życiu!

— O mój Boże! rzekł Feliks, mnie strach bierze jak spojrzę przed siebie, w obszar pusty i czarny, co się przedemną roztacza, gdy tymczasem tu tak było jasno i spokojnie. Pamiętasz braciszku, jak my grzywali w piłkę w téj ulicy, z téj oto gruszki trzęśliś-

my małgorzatki, tam pilnowaliśmy gniazdek ptasich, żeby ich chłopcy wiejskie nie niszczyły. Pamiętasz jak na mamy imieniny stroiliśmy altankę w wieńce, jak potrzęsaliśmy tatarakiem i kwiatami ulicę, którą iść miała? O mój Boże, mój Boże! i to wszystko przeszło jak sen?

— Tak wszystko na świecie przechodzi, odparł Antoni z wyrazem poddania.

— I może już nigdy, ciągnął Feliks półgłosem, nie zajrzemy tu, do owego cichego gniazdka, gdzie nam tak pogodnie zabłysło życie! Obcy deptać będzie tę ziemię, którą tylekroć deptały poczciwe stopy rodziców, obcy karmić się będzie owocem tych drzew, które sadił i szczepił ojciec czcigodną ręką. A my siostry, cośmy tu wzrosli, tu poraz pierwszy spojrzeli na świat Boży, wyrzuceni z pod rodzicielskiej strzechy, poniewierać się będziemy po cudzych kątach, w biedzie i tułactwie, daleko od ojcowskiego grobu, i od tych miejsc, z których każde jest wspomnieniem! Bracie! uściśnijmy się, podajmy sobie ręce tu wobec przeszłości, przysięgnijmy sobie, że każdy z nas pozostanie wiernym cnotliwej pamięci ojca, że żaden nie splami poczciwego imienia, które otrzymał w puściznie.

Na te słowa Feliks rzucił się w objęcia Antoniego i zapłakał głośno.

— O tak! żaden, żaden, zawołał Antoni, może też kiedyś Bóg nam pozwoli powrócić tu i odwiedzić grób ojcowski z pociechą w duszy, z sumieniem lekkim i czystym. Bracie, nie traćmy otuchy, liczymy na nasze siły, Bóg nam dopomoże, a ojciec czuwać będzie nad nami!

Oko Feliksa błysło z po za łez niezrównanym ogniem.

— Pójdźmy do matki, rzekł po chwili, pocieszymy ją biedną, już i tak niedługo z nią bądziemy. I raz jeszcze rzucili okiem po owym ogródku, który w téj chwili przedstawiał im zupełny obraz zniszczenia, jak to zazwyczaj w listopadzie. Spojrzeli jednocześnie na dąb stary, rozłożysty, który stał przy parkanie. Na wierzchołku jego sterczało puste bocianie gniazdo, czarne konary dębu огоłocone z liścia, odbijały ponuro na mglistem tle nieba, wicher świstał przeraźliwie, śnieg z deszczem padać właśnie poczynął, ptastwo zimowe krążyło tylko kracząc na słołę.

Dreszcz zimny przejął mimowoli obudwóch.

— Takie to będzie życie nasze między obcymi, chłodne, ponure, puste.

— Tak bracie, odparł Feliks, ależ dwie gwiazdy świecić nam będą: w przeszłości wspomnienie, a w przyszłości nadzieja!

I podniósł głowę z młodzieńczym zapałem, odgarnął jasne włosy z czoła, jakby chciał zeń spędzić troskę i smutne myśli.

Wszedłszy do pokoju, zastali już matkę krzątającą się przy kominku. Oczy jej czerwone jeszcze były od łez, pierś mimowoli podnosiła się kiedy niekiedy westchnieniem, ale oko zdało się być pogodne, na ustach spoczywał uśmiech.

Obadwaj synowie upadli do stóp matczynych. Ona po kolei przyciskała każdego z nich do piersi.

— O moje dzieci ukochane! rzekła z głębokim uczuciem, bluźniłabym ciężko, gdybym narzekać miała. Bóg zesłał mi w was pociechę i nagrodę za trudy i boleści, jakich mi nie szczędził w ciągu życia. Przyjmuje wszystko z pokorą z Jego ręki, i stokroćbym więcej przyjęła bez sarkania, boć nie ma nademnie szczęśliwszej matki na świecie.

— Bądź o nas spokojna matko, zawołał Feliks

z niezwykłą żywością, twoja miłość, wspomnienie ojca, wasze nauki i rady, któreśmy tu złożyli, to mówiąc wskazał na serce, uchronią nas od upadku. Będziemy godni was obojga, godni twojej miłości i błogosławieństwa.

— Nie wątpię o tém moje dzieci, głos jakiś mówi mi w duszy, że my jeszcze będziemy szczęśliwi, co więcej, że wrócimy do téj Michałówki, gdzie nam, kiedyś tak dobrze było i swobodnie.

Antoni skinął głową z powątpiewaniem.

— Zresztą, dodała matka zmienionym głosem, niech tylko nasze serca zawsze hędą tak jak teraz zjednoczone, nasze dusze wewnątrznie zadowolone, toć nam wszędzie dobrze będzie na świecie!

— O! ale nie tak podobno jak tu, pomyślał Feliks, a w oku jego błysła łza, nie rzekł jednak ani słowa, nie chcąc zasmucać bardziej matki.

Mrok tymczasem szary zapadł na niebie, majorowa przyrzuciła kilka suchych drewek na komin, i zasiadła koło niego wraz z synami.

— I cóżeś wymyślił mój Felusiu, zagadnęła nakoniec, bo co o Antosiu, toć już rzecz wiadoma.

— Właśnie droga matko, chciałem zasięgnąć

twój rady, odparł Feliks. Postanowiłem oddać się wyłącznie cukrownictwu, idzie tylko o to gdzie się udać? Krewny naszego ojca, pan Edward Rolski, ma w Gradowie cukrownią, i dowiedziałem się z pewnością, że jest przy niej wakujące miejsce.

— Moje dziecko, odparła matka, lepiej to zawsze podobno mieć sprawę z obcemi. U swoich prędzój człowiek może doznać upokorzenia. Edward Rolski, człowiek bogaty a próżny, gotów niechętném okiem patrzeć na ubogiego krewnego.

— Przecież moja matko, Feliks nic od niego potrzebować nie będzie, zagadnął Antoni.

— Prawda i to, ale może się wstydzić pokrewieństwa z biedniejszym od siebie.

— To ja mu go téż przypominać nie myślę, rzekł Feliks z godnością. Zresztą nie lękam się wcale upokorzenia: kto się sam szanuje, tego i drudzy uszanować potrafią, to rzecz niezaprzeczona, prawda matematyczna.

— Masz słuszność moje dziecko, przecież wołałabym zawsze, żebyś mógł się udać gdzieindziej. Tyle jest przecież innych cukrowni w Gostynińskim.

— Nigdzie nie ma wolnego miejsca matko. Młodzież garnie się do cukrownictwa całą duszą, to też bardzo trudno się umieścić.

— Czyń więc jak ci się podoba, zostawiam ci zupełną wolę w tym względzie. Wreszcie, o ile wiem od nieboszczyka męża, Edward człowiek dobry, nikomu się nie narazi, trochę podobno za słaby dla żony, zanadto pozwala na jej pańskie wymysły, alec to nikomu podobno nie szkodzi, tylko jemu samemu.

— I ja toż samo słyszałem, odparł Feliks, a więc kiedy się zgadzasz matko, interes prawie skończony. Pojadę jutro rano do Gradowa, a jeżeli mi się uda znaleźć tam miejsce, jak mnie już zapewniono, powrócę tu na parę dni, wybiorę się ze wszystkim, i dalej w świat szukać chleba na swoje rękę. Zobaczysz mamó że mi się powiedzie, nie wątpię o tém bynajmniej.

— Szczęśliwi wy młodzi, rzekła smutno matka, wy młodzi nie wątpicie o niczém.

— Matko! Bóg przecie wspiera poczciwe chęci, o tém święcie jestem przekonany.

— I masz słusność synu.

W téj chwili szmer powstał na dziedzińcu i w sie-

ni. Antoni otworzył drzwi, i niebawem wprowadził do pokoju starego sołtysa Pawła.

Paweł skłonił się poważnie siwą baranią czapką, związaną na dwa czerwone węzły. Był to starzec krzepki i urodziwy, włosy jego siwe jak mléko, przystrzyżone krótko ponad czołem, spadały długo na ramiona i plecy. W jasnym jego oku spoczywał wyraz łagodny, rysy szlachetne były i wydatne, a uczucie wewnętrznej godności rozlane było w całej starca postawie. Major nieboszczyk lubił i szanował poczciwego Pawła, chętnie nie raz rozmawiał z nim o dawnych czasach, często zasięgał doświadczonej jego rady w gospodarstwie, to też Paweł wywdzięczał się jak mógł dobremu Panu, i całym sercem przywiązał się do niego i do całej rodziny.

Pani Majorowa ujęła szorstką rękę zacnego włościanina, i pomimo jego oporu i zdrażania się, posadziła go na stołku przy kominie.

— Co tam powiecie mój poczciwy gospodarzu? zapytała po chwili.

— Ot, nic dobrego proszę Wielmożnej pani, prawdaż to co ludzie gadają, że Michałówka przeszła już w cudze ręce?

— Prawda, prawda mój Pawle, cóż robić? nie było innéj rady.

— Zrządzenie Boskie, zrządzenie Boskie, powtórzył stary, skłaniając smutno głowę. Miły Boże, któżby się tego spodział? Nieboszczyk pracował w pocie czoła, nie pokrzywdził nikogo w całym życiu, a przecież Pan Jezus nie pożałował krzyża, i wygania oto dziatwę z gniazda, co je ojciec pocziwą ulepił ręką.

To mówiąc Paweł otarł łzę połą od sukmany. Nikt nie odrzekł ani słowa.

— Miły Boże, mówił dalej sołtys, jać to na własnem ręku nosilem, (to mówiąc wskazał na braci), jać w każdą niedzielę i święto nie zabaczyłem polecieć tego w opiekę Panu Jezusowi i Matce Najświętszej, a jednak, musi biedactwo iść w poniewierkę pomiędzy obcych i wycierać cudze kąty.

— Cóż robić, mój pocziwy Pawle, rzekła majorowa zmienionym głosem, Pan Bóg zsyła niekiedy próby na tych których miłuje.

— Bogać nie, odparł Paweł, ale święta sprawiedliwość dzieje się zawsze na ziemi. Pan Bóg nie pokrzywdzi nigdy potomstwa człeka pocziwego. Bądź-

cie państwo dobrej myśli, Pan Jezus wam jeszcze dopomoże, i sprowadzi was znowu do téj Michałówki. Możeć w tém już niedoczekanie moje, bo siła lat cięży mi na barkach, pamiętam już dawne rzeczy, a przecież oczy moje nie widziały nigdy, żeby ręka Pańska długo cisnęła niewinnego. Pan Bóg poprobuje nieraz, co prawda, ale za to z lichwą odmierzy co odebrał, byle tylko człek nie upadał na sercu, i chronił je od wszelakiéj skazy.

Feliks ujął rękę starca i uścisnął ją w milczeniu, Antoni poszedł za jego przykładem.

— Pawle, rzekła majorowa z rozrzewnieniem, pobłogosławcie biednych chłopców, wyście byli najlepszym przyjacielem ich ojca.

— Oj! jako żywo, wierny mu byłem do grobowej deski, a kochałem nieboszczyka, istnie jakby rodzzonego brata, choć to był pan, a ja sobie biedny chłop, aleć serce Ignie jakoś do serca jakby smoła!

I stary sołtys podniósł rękę do góry, Feliks i Antoni przystąpili doń z poszanowaniem.

— Niech Pan Jezus i Matka Najświętsza strzegą was w każdej godzinie, rzekł uroczyście, niech was

chronią od wszelkiej zmy tak na ciele, jako i na duszy. Niech ręka Pańska mnoży dostatek w domu waszym, a pociechę w pocziwych sercach waszych, niech was prowadzi zarówno w dobrej i złej doli, i doprowadzi do szczęścia na ziemi, a do zbawienia w niebie. Amen.

Feliks i Antoni padli w objęcia gospodarza, płacząc rzewnie; on ich z uczuciem przycisnął do piersi.

— Oto puścizna po zacnym i cnotliwym ojcu, rzekła matka zmienionym głosem. Dziękujcie Bogu dzieci, nie odebraliście w spadku obszernych włości, ale za to odbieracie w dziedzictwie miłość i błogosławieństwo pocziwych, na które ojciec wasz zarobił zacnem i nieskażonem życiem.

I uścisnęła z wdzięcznością rękę starca.

Paweł powstał chcąc się oddalić, ale majorowa zatrzymała go jeszcze, poczęstowała herbatą z arakiem; rozmowa przybrała inny kierunek, a jakkolwiek smutek krążył wśród zgromadzonych, przecież w głębi serca, każdy żywił mimowolną otuchę.

W godzinę potem oddalił się Paweł, pożegnaw-

szy panią i paniczów. Długo jeszcze, długo matka z synami gawędziła przy kominie, układając na przyszłość rozliczne plany.

Nazajutrz o świcie Feliks wyjechał do Gradowa.

IV.

Pan Edward Rolski siedział wieczorem w swoim pokoju zajęty rachunkami gospodarskimi. Wtém zaturkotało coś na bruku, psy zaszczekały, stary Bartłomiej otworzył drzwi ostrożnie.

— Ktoś przyjechał: czy nie pani? zapytał pan Rolski, wyjmując z ust fajkę.

— Nie, proszę pana, to jakiś młody panicz, powiada że ma interes do Wielmożnego pana.

— Czy nieznajomy?

— Nigdy go na oczy nie widziałem.

— Oho, pewnie znowu konkurent zamawia się za jakimś interesem. Czy licho nadało z temi panami, człowiek nie ma chwili spoczynku.

— Ej nie, proszę Wielmożnego Pana, on nie wygląda jakoś na to. Naprzód ci panowie jeżdżą powozami w cztery konie, a liberja, Panie odpuść, aż się świeci od galonów; a ten nieborak przywlokł się bryczyną, w parę szkapów, ale co z miny to jakoś zakrawa na panicza, jeno że coś mu z oczu lepiej patrzy jak drugim.

— Poproś go tu natychmiast.

Bartłomiej wyszedł spełnić rozkaz Pana, i powrócił za chwilę, wskazując drogę Feliksowi.

Młodzian skłonił się z godnością, Pan Rolski powstał na jego powitanie.

— Przebacz Pan, że się sam ośmielam przedstawić, jestem Feliks Brodziej.

— Czy nie syn Kazimierza z Michałówki? zapytał gospodarz z zajęciem.

— Nie inaczéj.

Pan Rolski w miejsce odpowiedzi, uściśnął młodziana z uczuciem.

— Twój ojciec, rzekł, był bliskim moim krewnym, poczciwy to był i zacny człowiek. Oddalił się wprawdzie od nas, straciliśmy nawzajem wszelkie stosunki, przecież pamiętam go doskonale, i rad jestem serdecznie z poznania jego syna. Mów

śmiało panie Feliksie, w czym ci mogę być pomocnym?

Feliks ośmielony tak serdecznem przyjęciem, opowiedział wszystko dokładnie, i objawił szczerą chęć umieszczenia się w cukrowni.

— Przynależem już wprawdzie wakującą posadę, odparł Pan Rolski, ale to nic nie znaczy, krewny i syn przyjaciela, powinien mieć pierwszeństwo, wymówię się zrećźnie, co mi tém łatwiej przyjdzie, że się jeszcze do niczego nie zobowiązałem.

Feliks ujął z poszanowaniem rękę krewnego. Pan Rolski zadzwonił, Bartłomiěj ukazał się we drzwiach.

— Niech ekonom umieści konie pana Brodzica, a ty przyrządź gościnny pokój natychmiast, i złóż w nim pańskie rzeczy.

Bartłomiěj wyszedł dopełnić polecenia.

— A ty, mój Panie Feliksie, uważaj się w moim domu jak u siebie, bardzo cię o to proszę. Spodziewam się że zabawisz kilka dni w Gradowie, trzeba żebyś się naprzód rozpatrzył i oswoił z miejscowością, zanim się sprowadzisz na dłużej.

— Przebacz Pan, że nie mogę, radbym jaknajspieszniej uwiadomić moją matkę o tak łaskawem przyjęciu, i zaspokoić ją co do mojej przyszłości.

— Masz słusznosc' mój kochany, matka przede-
wszystkiem, gdzie ona jest, czy zdrowa?

Feliks opowiedział wszystkie wiadome nam szcze-
góły, Pan Rolski słuchał go z zajęciem.

— Dobrze, dobrze, mój drogi, że się garniesz
do pracy, rzekł nakoniec, Bóg ci dopomoże. Co do
brata twego, chętnie mu podam rękę, mam znajomo-
ści w Warszawie, przemówię za nim przy pierwszej
sposobności.

Feliks podziękował szczerze.

Wtém dało się słyszeć kłaśnięcie z bicza i głośny
turkot na dziedzińcu.

— Otoż i żona przyjechała z Warszawy, rzekł
Pan Rolski powstając spiesźnie z miejsca.

— Przebacz Pan, że go pożegnać muszę, zaga-
dnął Feliks podając mu rękę.

— A to czemu? żartujesz sobie mój kochany.

— Nie chcę być na przeszkodzie, a potém nie
wypada mi się przedstawiać po podróznemu.

— Nie bądźże dzieckiem, już ja wszystko biore
na siebie.

I Pan Rolski pociągnął za rękę Feliksa, wyszedł
wraz z nim przed ganek, i podał rękę wysiadającej
z karety żonie. Dzieci wybiegły powitać matkę.

Pani Rolska uścisnęła dzieci i męża, a przymróżywszy oczy z pogardliwą minką, spojrzała z góry na Feliksa.

— To mój bliski krewny, Pan Feliks Brodziec rzekł mąż przedstawiając żonie młodziana.

I wszyscy weszli do sali jadalnej, gdzie zastali przyrządzony samowar i filiżanki rozstawione na stole. Zofia rozebrała się naprędce z podróżnego płaszcza i kapelusza, i zajęła się z pośpiechem robieniem herbaty, co stanowiło jęj wyłączny wydział gospodarski.

— Dobrze że też już jesteście, rzekł Pan Rolski, bo od czterech dni, nie pilem pocziwój herbaty. Walentowa dogadzała mi wprawdzie jak mogła, ale ona biedaczka wcale się na tem nie zna.

— I ja też nie mniej się cieszę z powrotu, rzekła z uśmiechem Zofia.

— Czy cię tak znudziła Warszawa?

— Okropnie Wujaszku, co to jest nie mieć chwili spoczynku! Życie jakieś dziwne, gorączkowe, zerwane, o! już ja się nigdy nie zdam do takiego!

— Zwyczajnie dziwaczka z Zosi, przerwała Pani Rolska. Czy uwierzysz mój mężu, że się koniecznie uparła na swoim, i kupiła suknię tarletanową

na wesele, za pięćdziesiąt złotych! Nadaremnie pracowaliśmy nad nią oboje z Alfredem, nie można jej było przekonać.

— O! już to z kobietami ciężka sprawa, rzekł Pan Rolski z uśmiechem, jak sobie co która ułoży, to musi dopiąć swego. Żeby jeszcze wszystkie tak jak Zosia, chciały w tym względzie tylko użyć uporu i moralnej siły.

— A niechże Bóg broni, odparła żona, gorzej-
byście podobno na tém wyszli, niżeli wam się zdaje.

— A to dlaczego? jabym się o to nie gniewał, żebyś ją chciała naśladować.

— Kto wie, gdybyśmy wszystkie tak myślały, toby podobno mało która z nas poszła za mąż.

Zosia zapłonęła się lekko.

— Ej nie sądzę tak źle o Zosi, rzekł Pan Rolski, poszłaby i ona, gdyby jej się kto prawdziwie podobał.

— Tak, mój Edwardzie, ale gdzie tu szukać takiego, już kiedy usiłowania Alfreda daremne, to i nikt nie trafi z nią do ładu.

Zofia tymczasem nalewała herbatę w wielkie filiżanki, i podawała każdemu z osobna.

Po herbacie przeszli wszyscy do salonu. Pani Rolska udała się do swego pokoju, i dobywała z kufra i pudełek, przy pomocy panny służącej, nowo sprawione stroje. Dzieci obstały ją do koła. Miss Loewen angielfka guwernatka, oglądała ciekawie każdy szczegół.

Zofia pozostała w salonie z panem Rolskim i Feliksem.

— Nie wiedziałaś Zosiu, że zastaniesz tu bliskiego krewnego, rzekł Pan Edward. Dziadek Pana Feliksa, był stryjecznym bratem twego ojca.

Feliks skłonił się nieco pomieszany. Wiedział on dobrze o zajściu ojca z opiekunem. Wprawdzie, zanadto był rozsądnym, aby miał obwiniać dzieci o rodzicielskie błędy, przecież nieśmiałym był, bo się lękał, czyli sprawy ojca nie doszły czasem do uszu córki. Gdyby tak było, położenie młodej dziedziczki względem syna pokrzywdzonego, mogłoby być przykrem i drażliwym. Zofia przecież nie domyślała się niczego, to też na widok młodziana, nie utraciła bynajmniej zwykłej swobody, owszem, podała mu rękę z współczuciem.

— Cieszę się szczerze z tak miłej znajomości, rzekła, uśmiechając się wdzięcznie.

— Bardziej się ucieszysz, rzekł pan Rolski, gdy ci powiem, że Pan Feliks zostanie z nami na długo. Wraca jutro wprawdzie do matki, ale w przyszłym tygodniu przybędzie tu na stałe mieszkanie.

Przelotny rumieniec zabłysnął na licu Zofii.

— Czy tak? zapytała nieśmiała.

— Tak, Pani, odparł Feliks, będę pracował w tutajszej cukrowni. Otrzymałem z łaski pana Rolskiego miejsce, którego usilnie pragnąłem.

Pan Edward w tej chwili oddalił się do przyległego pokoju, gdzie żona rozkładała przywiezione stroje.

— Przykre będzie rozłączenie dla pańskiej matki, zagadnęła Zofia.

— Zapewne, odparł Feliks, ale to już nie po raz pierwszy rozłączamy się na długo. Człowiek z największą przykrością oswoić się musi, skoro konieczność tego wymaga.

— Konieczność, powtórzyła Zofia, bolesne to słowo! w niem rozwiązanie całej zagadki życia, to owa zaporą, o którą rozbijają się wszelkie marzenia i nadzieje!

— Prawda, odparł Feliks, człowiek roi, przewiduje, cieszy się i smuci, a wyższa wola, czyli ko-

nieczność, prowadzi go do swoich wyłącznych celów. O! ależ i matka moja, dodał, umie się godzić z koniecznością, zresztą nawykła już oddawna, nie mieć nas obok siebie. Pierwszy to raz od dziesięciu lat spędziliśmy kilka miesięcy wszyscy razem.

— Ależ i przez kilka miesięcy można nawyknąć do szczęścia, rzekła Zofia. Dopóki nam ciemno, to i oko nasze oswoi się z ciemnością; ale jak słońce choć raz zabłyśnie, toć potem żal, gdy już nie świeci.

— Oj żal, żal niewątpliwie; cóż kiedy w życiu więcej cienia, niż światła!

— Pan tak młody, a jednak świat niebardzo ci się już jasnym wydaje? zagadnęła z współczuciem Zofia.

— Bom przez pół sierota, odparł Feliks. Straciłem drogiego ojca, a jego pamięć nigdy się zupełnie nie zagładzi.

— Jam biedniejsza, odparła, bo nie mam ani ojca, ani matki, ani rodzeństwa. Szczęśliwszyś pan odemnie.

I umilkli oboje. Zofia otarła nieznacznie łzę, która spłynęła z jej oka, i potoczyła się zwolna po śniadem licu. Feliks przystonił oczy, w których nagle zabłyśły dwie łzy, jakby gwiazdy.

— A tożecie zakupiły jak widzę pół Warszawy, rzekł z uśmiechem pan Rolski, wchodząc do pokoju. Żona moja myśli podobno założyć magazyn strojów w Gradowie. Wszystkie stoły, komody i łóżka założone fiokami. Kobiety! kobiety! co też to u was w głowie!

— Ej wujaszku, odparła Zofia przybierając sztucznie uśmiech wesoły, nie narzekaj lepiej na kobiece drobiazgowości; toż to jedyna brzoń jaką wam na siebie w ręce podajemy. Niechhyśmy się tylko wyemancypowały w tym względzie, tobyście sobie rady z nami nie dali.

— A to dlaczego?

— Bo pókiśmy słabe, musimy ulegać mimowoli, ale jakhyśmy wzrosły w siłę, tobyśmy także miały słuszne prawo wiele od was wymagać.

— Alboż wy i tak nie wymagacie? rzekł pan Rolski, alboż my i tak nie czynimy dla was wszystkiego?

— Tak, ale się za to mścicie żarcikami i przyśmiewkami, a nasza wina, że na nie zasługujemy. Przyjdzie jednak czas, a ja o tém nie wątpię, że kobieta zajmie właściwe stanowisko w społeczeństwie, ale wtedy i panowie muszą się trochę odmienić, muszą

się wyrzec wielu rzeczy, muszą nas uczyć i uszanować jak należy, a przede wszystkim, muszą się starać, aby być nas godnemi.

— Moja Zosiu, to co mówisz, to zwyczajna teoria, słowa próżne, dym; jak która z was pokocha, toć jej się zawsze zdaje, że ten kogo kocha, godnym jest jej miłości i ręki, a najczęściej pozna dopiero prawdę, kiedy się nie czas już wycofać.

— A od czegoż rozum i rozsądek wujaszku?

— A serce, moja Zosiu?

— Gdyby to tylko kobiety kochały sercem, odparła Zofia, to jeszcze byłoby pół biedy; serce rzadko kiedy zawodzi, bo ma pewien takt, pewne przecucie prawdy, i tam się tylko akłania, z kąd murzettelne zabłyśnie współczucie. Ale głowa, ale chorobliwa wyobraźnia! oj tu podobno leży przyczyna zlego; a toż przecie w naszej mocy, nie dać jej się obłąkać, ale całą siłą trzymać ją na wodzy.

Feliks uśmiechnął się nieznacznie, nie mieszając się bynajmniej do rozmowy. Przeglądał tylko tymczasem okładki książek, przywiezionych świeżo z Warszawy, które przed chwilą stary Bartłomiej położył był na stole.

— Alboż to mała pastwa dla wyobraźni? rzekł pan Rolski wskazując na stos książek, jest czem za-
prawdę wysadzić minę w powietrze, jeżeli są do te-
go zapasy palnych materyałów, a na tych podobno
nie zbywa kobiecym główkom.

— Mylisz się wujaszku, nasze głowy są spokojne,
jak nasze chłodne i blade niebo. O! i nasze polskie
książki, wolne także zupełnie od sztucznych unie-
sień. Zagrzeją one serce, ale nie zapalą wyobraźni.
Niechże się tylko pojawi jaki chorobliwy utwór, toć
go natychmiast potępi opinia ogółu, i nigdy żaden
autor nie zyskał u nas sławy na fałszywej drodze.
My nie szukamy efektów ani błyskotek, nam trzeba
prawdy, tylko prawdy.

— Oj nie wszystkim, nie wszystkim, odparł pan
Rolski skłaniając głowę.

— To téż ci którym to nie wystarcza, odparła
Zofia, mają dostatkem obcych płodów. Tam nie
brak szumu i huku, a jeżeli rzeczy mało, to słów
przynajmniej nie braknie. Jest czém zabałamucić
głowę, obląkać serce, a nawet zamącić pokój całego
życia!

— Mężu, mężu, zawołał srebrny głosik pani
Rolskiej z przyległego pokoju, przywiozłam ci téż do

czytania coś zupełnie nowego: Żyda tułacza Eugenia Sue; widzisz że mnie nie same tylko stroje w głowie, jak mnie wiecznie o to posądzasz.

Feliks uśmiechnął się nieznacznie. Pan Rolski powstał i odebrał z rąk żony kilkanaście książeczek małej objętości.

Bartłomiej wszedł z oznajmieniem, że wieczerza gotowa, wszyscy powstali i udali się do jadalnej sali, a po wieczerzy, jako strudzeni drogą, rozeszli się wcześniej niż zwykle na spoczynek.

Zofia wróciwszy do swjej sypialnej komnatki, zastała tam już siedzącą przy kominku, starą Walentową. Wierna sługa z uczuciem ucałowała jej rękę.

— Przywiozłam wam téż na święta upominek z Warszawy, rzekła Zofia, dobywając z pudełka czepek z pąsowemi wstążkami.

— O mój mocny Boże, odparła Walentowa, a toć to panienska gotowa myśleć, że ja tu przyszłam umyślnie, spodziewając się datku. Jako żywo nie, mnie jeno pilno było powitać co rychléj moje ja-gódkę.

— Wierzę wam, wierzę zupełnie, moja droga;

znam oddawna wasze poczciwe serce, wiem że mnie szczerze kochacie.

— A któżby to nie kochał takiego anioła? ale powiedz-że mi panieneczko, co tu porabia ten młody panicz? A toć to podobno syn starego majora.

— Czyście wy znali jego ojca?

— A Bogać nie miałam znać, odparła stara ze znaczeniem, takusienki był jak i syn; podobni do siebie, istnie dwie krople wody. Jakiem oto spojrzała na tego młodego pana kiedy zsiadał z bryki, taki mnie porwał strach, żem omało nie spadła ze schodów, zdało mi się że to nieboszczyk pan Kazimierz. Wszelki duch Pana Boga chwali, rzekłam sama do siebie, i przeżegnałam się cichaczem. Cóż tu dopiero, jak panicz zagadnął mnie, czy zastał pana w domu, tak téż pomyślałam sobie: jużciż to nie duch, kiedy przemawia ludzkimi słowy. Dopieroż oto, dowiaduję się od Bartłomieja, że to syn nieboszczyka. Ale powiedz-że mi panieneczko, po co on tu przyjechał?

— Ma podobno uczyć się cukrownictwa w tutejszej fabryce, odrzekła Zofia.

— Miły Boże! jak téż to przyszło na poniewier-

kę szlacheckiemu dziecku! żeby téż to był nieboszczyk przewidział, umarłby pewnie ze zgryzoty.

— I cóż w tém złego, moja droga, żadna praca nie poniża człowieka; próżnowanie tylko wstydem jest i hańbą.

— Tak ci to mówią, moja panienczko, a przecież inaczej się dzieje. A ci panicze, co się to tu zjeżdżają w cugi i liberje, albo oni co robią? trwonią oto zwyczajnie, co ich ojcowie zebrali w pocie czoła, i to cała ich sprawa.

— Alboż to ludzie? odparła Zofia z złośliwym uśmiechem.

— Prawda, to panowie! rzekła Walentowa skłaniając głowę. No, aleć i ten młody panicz także pańskie dziecko?

— Ale go hieda nauczyła być człowiekiem.

— Czy to on taki biedny? Miły Boże, a ojciec miał przecie jaką taką chudobę! choć mu jój ludzie naruszyli co prawda, toć przecie tyle jeszcze zostało, że powróciwszy z wojaczki kupił sobie wiosczynę pod Łęczycą.

— A kto mu naruszył jego własność? zagadnęła Zofia, uderzona słowy Walentowój, wiedziała bowiem, że ojciec był niegdyś opiekunem Kazimierza.

— Albo ja tam wiem panienczko? otzwyczajnie, ludzie gadali i ja téż powtarzam za nimi, a mnie co tam wchodzić w pańskie sprawy?

— Wy musicie coś wiedzieć; służyliście od tak dawna w naszym domu, powiedzcie mi wszystko, moja droga.

— Nie wiem, nie wiem nic panienko; otóż to tak, człowiek paple, paple i wypaple czasem niepotrzebne słowo, co to jak mówi przysłowie, wyleci z ust ptaszkiem, aleć go już napowrót nie złapie.

— Wy musicie coś wiedzieć, zapytała Zofia niepokojnie, powiedzcie mi, kto ukrzywdził pana Kazimierza? powiedzcie, jak mnie kochacie.

— O! jużci że kocham to prawda, jak Bóg na niebie, ależ panienczko, ja nic nie wiem jako żywo. Nie prosz mnie darmo jagódka, bo to nic nie pomoże.

Zofia nie badała dłużej: z oporu Walentowój, domyśliła się w części prawdy. Wewnętrzna duma, cześć dla pamięci ojca, w jakiej wychowana była od kolebki nie dozwalała córce pytać o resztę. Zamyśliła się tylko, wsparła głowę na rękę i dumiała głęboko.

Po chwili oddaliła się stara sługa. Zofia udała się

na spoczynek, ale sen nie zaraz skleił jęj powieki. Myślała o Feliksie, o jego ojcu, o tych którzy go pokrzywdzili, i dziwny odmęt powstał w jęj biednej głowie, a zpośród niego wypłynęła prawda gorzka, dręcząca a bolesna. Usnęła nakoniec nad ranem.

Nazajutrz o świcie, stara Walentowa zadziwiona że światło nie błysło jak zazwyczaj w okienku jęj panny, weszła ostrożnie, zagadnęła pokojówkę Dorotkę, a dowiedziawszy że śpi jeszcze, zbliżyła się zwolna na palcach do łózka.

Zofia spała, osłonięta jakby obłokiem białą firanką spuszczoną na łózko. Długie przymknięte rzęsy pięknie odbijały na śniadych i bezbarwnych policzkach, a pierś była spieszniej niż zazwyczaj.

— Jęj coś jest, pomyślała Walentowa, oj stara gaduło, rzekła do siebie, trzymać tobie było język za zębami. Mądrej głowie, dość na słowie jako żywo, gotowe jeszcze zachorować biedactwo, a człowiek nie będzie miał sam w sobie pokoju.

Zofia tymczasem ocknęła się ze snu, przetarła oczy, spojrzała w okno.

— O mój Boże! już tak późno, a ja zasnęłam, rzekła niezadowolona.

— Nie dziwota, panienczka zdrożona, odparła Walentowa:

— Prawda i to. To mówiąc Zofia wstała spieszenie, zarzuciła ranną odzież naprędcę, i uklękła do pacierza.

— Czy ciocia śpi jeszcze? zapytała skończywszy modlitwę.

— Alboż to pani kiedy wstaje przed dziewiątą? śpić jeszcze w najlepsze, ale pan za to woła czémprędzej o śniadanie; pan Feliks, boć już wiem, że tak młodemu paniczowi na imie, chce zaraz jechać do domu. Stary Bartłomiej spieszy się z kawą nieprzyzierając jakby mucha w ukropie.

Zofia zajęła się czémprędzej ubraniem. Staranniej niż zwykle, pogładziła czarne i śklniące włosy, twarz ochłodziła zimną wodą, włożyła czarny jedwabny szlafroczek, i dłużej niż zwykle przeglądała się w zwierciadle, czyli jój ubiór przypada do twarzy, czy suknia kształtnie odznacza zdatną jój kibić.

Wybiegła nareszcie z pośpiechem, przeszła długi szereg pokoi, raz jeszcze rzuciła okiem w wielkie zwierciadło stojące w budoarze, i weszła do jadalnej sali, gdzie przy nakrytym stole siedział już pan Rolski z Feliksem.

— Cóżes mi tak dziś zasnęła, moja Zosiu? zagadnął opiekun, to ci się zwykle nie zdarza.

— Ot tak, zwyczajnie z drogi, mój wuju.

— Naléjże nam kawy; czekaliśmy na ciebie, bo jakoś z ładnych rączek, to wszystko lepiej smakuje.

Zofia nalała dwie filiżanki: jedną z nich podała wujowi, drugą Feliksowi.

— Śnieg coś sypie a sypie, rzekł pan Rolski, jakże to będzie z balem? droga się na nic popsuje do jutra.

— Niechby się i popsuła, wcalebym się o to nie gniewała, odparła z uśmiechem Zofia.

— Ale jabym się gniewał, rzekł wuj, bo choćby na złamanie karku, to żona jechać będzie chciała, zwłaszcza teraz jak pompadury przyjechały z Warszawy, a moje biedne gniade, muszą za wszystko odpowiadać. Oj Felksie, poznasz ty dopiero co to bieda, jak się ożenisz nieboraku.

Młodzian zarumienił się jak piwonia, stary Bartłomiej krzając się za stołem skinął nieznacznie głową.

— Pan Feliks zna dobrze kobiety, rzekła zapłonią Zofia; ma przecież matkę.

— O tak! świętą i czcigodną matkę, dodał młodzian z stłumionym zapalem i spojrzał przelotnie na Zofię.

Wejrzenie obojga spotkało się nawzajem i lica ich żywiej jeszcze niż przed chwilą skraśniały.

Po śniadaniu Feliks pożegnał pana Rolskiego, podał rękę młodej krewnej, i skoczył spiesznie na bryczkę, która z głośnym turkotem ruszyła z miejsca.

Zofia stanęła w oknie, i patrzyła dopóki ślad jej nie zniknął za parkanem.

Około południa wstała pani Rolska i zajęła się zaraz przymierzaniem strojów i czepeczków. Suknia z atlasu pompadour, perłowego koloru, leżała jakby ulana, przecież maleńki fałdek powstawał poniżej ramienia: panna służąca musiała się więc zabrać do poprawy. Sama pani tymczasem jakkolwiek zwykle leniwa, pakowała ostrożnie w walizy i pudła, kwiaty, wstążki i inne drobnostki.

Zofia wezwana do pomocy, pomagała zrazu jakkolwiek niechętnie, nakoniec znudzona, wróciła do swego pokoju, wzięła książkę ze stolika, ale czytanie nie szło, myśli jakieś dotąd nieznanne, krążyły po głó-

wie dziewczęcia. Dzień wydawał ję się dłuższym niż zwykle, lubo dnie listopadowe nie grzeszą długością, a Zofia nigdy dotąd nie zwykła była narzekać na zbytek czasu. To spojrzęła przez okno w niebo i gniewały ją otłowiane obłoki zasłaniające grubym tumanem jego błękit; to zapuściła wzrok w oddalony las dębowy, i żal ję było że go z poza mgły dostrzedz nie mogła jak zawsze; to wpadła ję w oko suknia z tarletanu, rozpostarta na sofie, a obok nię wianek z różowego groszku; spojrzęła pogardliwie, ramiona wzniosła w górę i zasępiło się widocznie gładkie ję czoło, a łza zawisła na długiej powiece. Po raz pierwszy w życiu, Zofia nie była w zgodzie sama z sobą, ale zarazem snadno wytłumaczyła sobie powód dręcącego ją niepokoju. Podejrzenie zaszczone w ję duszy wczorajszemi słowy staręj sługi, było w ję przekonaniu wyłączną jego przyczynę.

Wieczorem przybyła z ojcem do Gradowa młoda Aniela, taż sama którą jak wiemy, zawiódł niegdys pan Henryk. Była to szczerą przyjaciółką Zofii. Kochały się obiedwie serdecznie od dzieciństwa.

— Zosiu, moja Zosiu! mówiło dziewczę witając przyjaciółkę, czy ty wiesz, że i ja biedna muszę je-

chać na wesele? nawet słabość mamy nie uważaia mnie od tego.

— Żałuję cię szczerze kochanie, lubo dla siebie samój wolę że przynajmniej pojedziemy razem, nie tak mi będzie nieznośnie.

— Wyobraź sobie, moja Zosiu, przerwała Aniela, ojciec się gniewał, mama prosiła, cóż robić? trzeba było uledez koniecznie. Przybyłam więc tutaj i jutro mamy jechać razem z wami.

— A matka twoja, czy jechać nie może?

— Wiesz jaka słabowita, teraz nawet więcej cierpi niż zwykle, a ja mimo to muszę się bawić, muszę tańcować. O, to okropnie moja Zosiu!

— Prawda kochanie, odparła Zofia, pojmuje ja zabawę i taniec, ale tylko jako wypływ wewnętrznej radości i wesela; ale tak skakać z obowiązku, czy jest ochota czy nie, to i śmiesznie i nieznośnie.

— A jednak skakać będziemy, odparła z smutnym uśmiechem Aniela. Wiesz co, kochana Zosiu? że życie nas dziewcząt, to pasmo fałszu i kłamstwa; trzeba się stroić, wdzięczyć i uśmiechać, kiedy serce pęka z bólu; trzeba zawsze ukrywać własną myśl, własne uczucie, bo inaczej obwinionoby nas o brak wy-

ehowania. A cóż to innego, jeżeli nie haniebne kłamstwo?

— A przecież, odparła Zofia, powtarzając od kolebki, że niewolno zmyślać nawet w żarcie. Cóż z tego, kiedy w życiu czego innego świat wymaga! I dziwią się potem że kobiety fałszywe!

— Oj życie, życie! rzekła smutno Aniela, to istna komedja, tylko że wcale nie wesoła!

— A jednak są tacy, co im wesoło, odparła Zofia. Patrz tylko na ciotkę jak rozpromieniona i szczęśliwa.

— Ja jój tam nie zazdroszczę moja Zosiu, są pewne szczęścia na ziemi, od których wolę moje łzy i cierpienie.

— Wierzę ci, zgadzam się nawet z tobą, jednak połowa większa ludzi zgodziłaby się na to nie chciała. Przypatrz się tylko tym, co gonią za lada urojeniem, co szukają ustawicznego odurzenia, ciągłych rozrywek, a liczba ich pokaże się znaczna!

— Może oni lepiej pojęli życie, a jednak jabym nie rada być w ich miejscu, odparła smutno Aniela.

— Ani ja także.

— To nam też źle na ziemi, i nigdy podobno nie będzie zupełnie dobrze.

— A wiesz Anielciu dlaczego? bośmy przyszły na świat nie w porę, kobiety z naszym pojęciem mają w sobie niewątpliwie wielki zasób szczęścia, trzeba tylko, żeby je zrozumiano i oceniono.

— Tak, ależ o tém daremnie marzyć w dzisiejszym czasie, odparła z westchnieniem Aniela.

— Kto to zresztą wie, alboż to nie ma i mężczyzn, którzy także wiek swój wyprzedzili?

— Pierwszy raz w życiu słyszę cię podobnie mówiącą. Zosiu na Boga, co ci się stało? ty taka zawsze niedowierzająca, choć cię dotąd nikt tak jak mnie nie zdradził i nie zawiódł.

I Aniela zasmuciła się widocznie.

— Ja też to tylko powiedziałam nawiasem, jako przypuszczenie, w które hynajmniej nie wierzę, rzekła śmiejąc się Zofia.

— A ja gotowam już była pomyśleć, żeś poznała kogoś w Warszawie, co ci natchnął inne wyobrażenia.

— Oj że nie, to nie, jak cię kocham. Żebyś też ty wiedziała kochanko, co ja miałam biedy z ciotką! Pyszniła się z tém niedowarzoném hrabiątkiem, jakby było z czém, musiałyśmy to włóczyć z sobą na teatru i koncerta. Co do mnie, ledwie żółtaczki nie

dostałam z ciągłego drażnienia. Wyobraź sobie że mu ciotka dodaje nadziei, i ośmiela go widocznie, a on jęj wierzy, choć ja z mojęj strony nie szczęde mu przycinków. Boli mnie to wprawdzie, bo przecież wiesz, że nie mam złego serca, ale cóż robić, radabym już raz odczepić go od siebie.

— A mama znowu choruje na to, że ja nie idę za mąż, odparła Aniela; daremnie powtarzam jęj że mnie to nic a nic nie obchodzi, zaklinam żeby się nie troszczyła. Nic a nic nie pomaga. I teraz oto wysyła mnie na wesele, bo sobie ułożyła, że ja tam znajdę męża. Oj Zosiu, tyleż to podobno swobody na świecie, ile jęj się użyje w rodzicielskim domu! A potém, która z nas przystępuje do ołtarza z wiarą i złudzeniem, to i szczęśliwa choć na chwilę, ale ja tak ciężko zawiedziona, tak złamana w pierwszém uczuciu, mamże się jeszcze narażać na nowe próby, nie, nigdy!

— Powiedz mi Anielciu, zagadnęła Zofia, jakieś ty mogła tak bardzo się przywiązać do tego niegodnego Henryka?

— Jak? albo ja wiem? ot zwyczajnie kochałam mój ideał, com go sobie tu stworzyła. (To mówiąc wskazała na głowę).

— Ej, bo téż ty miałaś zawsze trochę zapaloną główkę.

— Prawda wyegzaltowałam ją sobie czytaniem bez wyboru, na co mama ze zbytniem pozwałała pobłażaniem. Wyobraziłam sobie, że koniecznie muszę być bohaterką jakiegoś wielkiego romansu, że mnie w życiu czeka coś nadzwyczajnego, a tymczasem spotkał mnie wypadek najzwyczajniejszy w świecie. Mój bohater z nudów, nie mając co robić na wsi, bawił się przez zimę moją miłością, zrobił sobie igraszkę z moich świętych uczuć, a potem..... porzucił dla innéj, jak mu się naprzykrzyło.

— Biednaż ty Anielciu, rzekła Zofia z głębo-
kiem współczuciem.

— Wierz mi, Zosiu, odparła Aniela z stłumionym zapalem, są nieszczęścia które nie budzą nawet własnego naszego politowania, któremi gardzimy, a które przecież zwichnęły nam całą przyszłość, bo odebrały wiarę w siebie, w ludzi, w uczucie, a moje właśnie należy do tych liczby. To téż dla tego tak mi gorzko, tak pusto, tak ciemno, a jednak trzeba skakać jak zagrają i uśmiechać się, i ustroić w różową sukienkę i kwiaty!

To mówiąc Aniela, zapłakała wsparta na ramieniu Zofii.

— Uspokój się aniolku, rzekła Zofia, ocierając chusteczką łzy płynące po twarzy dziewczęcia, nie długo już trzeba nam iść na herbatę, siódma wybiła przed chwilą.

Aniela powstała, wychuchała oczy, i poszły obie dwie do jadalnej sali.

Pani Rolska tymczasem upakowała już stroje, pan Rolski z panem sędzią, ojcem Anieli, rozprawiali o cukrowni i utyskiwali nawzajem na nieszczęśliwy sprzęt buraków, z powodu nieustannej suszy. Wieczór zszedł jak inne, odziesiątej wszyscy rozeszli się, każdy do siebie. Aniela nocowała w pokoju Zosi, i nim zasnęły, długo gwarzyły jeszcze obiedwie o smutném i fałszywém stanowisku kobiet; pani Rolska zasnęła z myślą o pompadurówój sukni, i o fioku z różami, pan Rolski o cukrowni, słowem każdy o tém co go najżywiej w ciągu dnia zajmowało. Wicher dmąc z łoskotem na dworze, przygwizdywał owym sennym marzeniom!

V.

Wybiła godzina trzecia z południa, na prostym ściennym zegarze w Michałowce. Majorowa siedziała pod oknem wychodzącem na dziedziniec, i szła z pośpiechem. To spojrzała na świat Boży, z widoczną niecierpliwością i oczekiwaniem, to uniosła okularów, przysłaniających jęj oczy, i otarła nieznacznie łzę zcicha zpod nich spływającą. Przy drugiem oknie, siedział Antoni z książką w ręku i czytał uważnie.

— Mój Boże, już trzecia, powinienby powrócić, zagadnęła matka. Cztery dni minęło jak wyjechał z domu, przecież to Gradów nie Ukraina.

— Droga zła moja mamo, odparł spokojnie Antoni, dzień krótki, wieczór ciemny, jechać niepodo-

bną. Zresztą, dobry to znak że go nie widać; muszą mu być radzi, kiedy go nie puszczają.

— W każdym razie, rzekła matka, spieszyć się powinien. Wie on dobrze, z jaką oczekuję go niespokojnością, raz żebym chciała jak najrychlej przycisnąć go do serca, o boć już niedługo téj uciechy! a potem ciekawam bardzo skutku jego podróży.

— Dowiesz się mamó natychmiast, bo też coś zaturkotało na drodze od strony wioski. Otóż i bryczka w opłotkach.

Na te słowa majorowa powstała spiesznie od roboty, i wybiegła przed ganek z młodzieńczą żywością. Antoni poszedł za nią.

Feliks zeskoczył z bryczki, ucałował rękę matki, która go tkliwie przycisnęła do piersi, powitał brata.

Weszli wszyscy do pokoju, i obstąpili komin dookoła.

— A cóż moje dziecko? zagadnęła matka.

— Dobrze mamó, tak dobrze, jakem się nawet nie spodziewał.

— Byćże to może? Boże, dzięki ci!

— O! zapewne że dzięki! Twoje to modlitwy mamó, wyprosiły u Boga tak pożądaný skutek.

— A więc przyrzekł ci miejsce?

— Przyrzekł, i nie tylko to, ale przyjął jak krewnego, z wylaniem, serdecznie.

— Ej Felusiu, nie dowierzaj tylko zanadto! Pańska to może fantazja, raz cię głaszcze, pieści, miejsca ci znaleźć nie może, a drugi raz, kto wie czy cię i pozna?

— Nie mam, dobry to jak widać człowiek, prosty, szczery, ale biedny, nie chciałbym ja być w jego miejscu, choćby mi darował cały Gradów, z cukrownią w dodatku.

— A to dla czego?

— Bo ma żonę wykwintną, spazmatyczkę, jednym słowem niecznośną. Świętą ma cierpliwość pan Rolski, że z nią piętnaście lat żyje, jabym nie wyżył ani godziny.

— O! już to ty, zawsze surowy jesteś w sądzieńiu kobiet, przerwał z uśmiechem Antoni. Nie umiesz im nic przebaczyć, wymagasz jakichś nadzwyczajności, których podobno niema na świecie.

— Mój kochany, odparł Feliks płonąc się lekko, gdybyś poznał pannę Zofią, powiedziałbyś sam, że wszystko znaleźć się może, choć zapewne że nie często.

— Ktoż to jest, ta panna Zofia? zagadnęła majorowa ciekawie.

— Nasza bliska krewna, córka nieboszczyka Wincentego Rolskiego.

— Wincentego! przerwała matka z widocznym wstrętem, a blade jój oblicze zbladło bardziej jeszcze.

— Tak, Wincentego mam, to anioł doprawdy, dobra, pełna prostoty, słowem odmienna od wszystkich panien, jakie w życiu mojem widziałem.

— A wiesz ty o tem, że ojciec jój pokrzywdził, i zgubił twego ojca?

— Wiem, ale i cóż ona temu winna?

— Zapewne że nic, a czy piękna? bo matka jój piękna była jak anioł. To mówiąc majorowa westchnęła, uczucie kobiece odezwało się w niej mimowoli.

— Nie piękna, odparł Feliks, ale więcej niż to miła, powabna, a nadewszystko dobra, pełna serca, co przebija w każdym jój ruchu, w każdym spojrzeniu.

— Matka jój zacna była kobieta, mówił mi o niej wasz ojciec, ale biedna, ale nieszczęśliwa. Życie jój było istnem męczeństwem.

— I Zofia nie będzie także szczęśliwą, dodał Feliks smutno, z takim usposobieniem trudno znaleźć pomyślność na ziemi.

Rozmowa inny wzięła obrot. Majorowa długo naradzała się wspólnie z synami, o ich bliskim oddaleniu, a na jęj pełnej wyrazu twarzy, znać było widoczny niepokój.

Kilka dni następnych zbiegło na przygotowaniach do wyjazdu braci. Antoni miał jeszcze parę tygodni pozostać w domu, aby nie dać odrazu uczuć matce podwójnego osierocenia. Nadszedł nakoniec dzień odjazdu Feliksa.

Majorowa wstała przededniem, własną ręką upakowała skromny tłumoczek syna. Z macierzyńską troskliwością myślała o wszystkim, przykładała co chwila coś nowego do zebranych już rzeczy, dziwny ból ścisnął jęj serce, oko błyszczało łzą nieustanną.

Feliks ostatnięj nocy wcale oka nie zmrużył, wstał zarówno z matką, na parę godzin przed świtem, przebiegał wszystkie kąty skromnego dworku, w którym spędził wiek młody, a który miał już na zawsze opuścić. Pięknym wydawał mu się ów pokój z wielkim kominem wrogu, przy którym zwykłe było niegdyś rodziców siedzenie. Rzucił tęsknem

okiem na wybielone wapnem ściany, zdobne w wizerunki kilku słynnych mężów zeszłego wieku, na ów zegar z wagami, który wybił tyle szczęśliwych godzin młodzieńczego jego życia, na proste brzo-zowe sprzęty, wybite czarną, dobrze wytartą włosiennicą, i na stół okrągły stojący w pośrodku, na którym tylekroć pożywał prostą strawę, w kółku cichój rodziny. Każda rzecz nabierała dlań dziwnego uroku, w chwili gdy ją na zawsze porzucić wypadało. Zajrzał do matczynój sypialni: ukorzył się w milczeniu przed prostym obrazem Najświętszój Panny Częstochowskiój, która przez tyle lat strzegła cichego snu rodziców, i przed Chrystusem na krzyżu, przed którym dobra matka, tyle gorzkich łez wylała w cichości osamotnionego ducha! Ztamtąd udał się znów do skromnój izdebki, którą zajmował wraz z bratem. Był to niegdyś pokój ojcowski. Wszystko w nim jeszcze pozostało tak jak dawniej, za życia nieboszczyka. Dobra matka nie przestawiła w nim, ani jednego sprzętu, chcąc zachować tém przytomniejszą pamięć zmarłego męża. W prostój olszowej szafie, leżały w nieładzie ulubione książki majora. Na ścianie, nad twardą sofką, rozwieszone były w wzorowym porządku, przybory myśliwskie

i torba, wyhaftowana niegdyś jeszcze ręką nadobnej Justyny, i róg dó prochu, oprawny w srebro, i mianierka do wódki, opleciona trzcina. Wśród owych drobnostek, przytwierdzone były do ściany dwie flinty, dubeltówka i pojedynka, których major używał zwykle w polu. Obok tego były jeszcze nagromadzone inne przybory, przypominające dawniejsze nierównie czasy, czasy wojaczki, i poniewierki po świecie, czasy błogiój i szczęśliwój młodości!

Rzuciwszy po raz ostatni okiem na to wszystko, Feliks zapłakał rzewnie: głośnie łkanie wydarło mu się z piersi. Usłyszała je matka krzątająca się w przyległym pokoju.

— Mój synu, miej odwagę, rzekła drżąca i blada, przyciskając głowę jego do piersi. Wezwij Boga na pomoc! i ja cierpię, a jednak poddaję się z pokorą, bo i cóż czynić?...

I umilkła, a łzy gorące gradem spadły na głowę Feliksa.

— O matko, matko! ależ to ciężko żyć na ziemi, i zaprzecić się przeszłości! i zerwać z nią na zawsze! Jak ptak wylecieć z gniazda, i rzucić się wśród obcych, w świat chłodny, nieznany!

— Prawda, prawda że ciężko! ale cóż czynić? taka znać wola Boga! Zresztą, wszędzie są ludzie na świecie, miéj tylko sam serce, a znajdziesz serca, co cie pojmą i ocenią.

— O ja nie wątpię o tém, matko! Toć i tam gdzie jadę, są ludzie zacni i uczciwi.

Majorowa milczała. Chciała wyraźnie coś mówić, ale trudno jéj było wyrzec pierwsze słowo.

— Synu! rzekła nakoniec zcicha, ja się szczerze lękam o ciebie, a serce matki nigdy podobno daremnie nie ostrzega.

Feliks zapłonił się nagle.

— A to o co, matko? wyjąknął zcicha.

— Lękam się o twój wewnętrzny spokój, drzę o ciebie, żeby cię uczucie daleko nie uniosło. Serce tkliwe i szlachetne jak twoje, narażone są na tysiączne próby i udręczenia, nieznanne pospolitym ludziom.

Feliks milczał, a twarz jego zbladła widocznie.

— O! toby było nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! dodała matka. Synu! strzeż własnego serca, pracuj nad sobą całą siłą! Szanuj twoje ubóstwo, które na ciebie trudniejsze wkłada warunki, niżeli dostatki i najświetniejsze położenie. Zachowaj go-

dność wewnętrzną w złej doli, bądź dumnym w biedzie twojej. Naśladuj ojca we wszystkim, pamiętaj że duch jego patrzy na ciebie, ściga każdy twój czyn, każdą myśl; pamiętaj że zacny ojciec wolałby widzieć cię w nędzy i niedostatku, niż zamożnego z cudzej łaski.

Umilkła: Feliks drżący i blady nie odparł ani słowa.

— Rozumiesz mnie synu? zapytała matka po chwili.

— Rozumiem i pojmuję, zawołał nakoniec z zapalem, obejmując macierzyńskie kolana. Matko, przysięgam ci, ja będę godnym ciebie, godnym pamięci ojca, pobłogosław mi.

Ona przeżegnała go krzyżem świętym.

Feliks powstał, raz jeszcze pożegnał matkę, uściśnął brata, obejrzał się dokoła, i wsiadł na bryczkę, która właśnie zatrzymała się przed gankiem; przed sienią czekał nań stary Paweł w towarzystwie innych młodszych włościan niegdyś towarzyszków lat jego dziecinnych.

Odjechał. Matka powiodła za nim okiem i raz jeszcze ostatni skreśliła w powietrzu znak krzyża

świętego za odjeżdżającym, a oczy zalane łzami, wzniosła z ufnością w niebo, na którym zabłysnął w tej chwili błądy promień zimowego słońca.

VI.

Nazajutrz przed wieczorem bryczka Feliksa stanęła znów na obszernym dziedzińcu w Gradowie. Stary Bartłomiej wraz ze Stanisławem parobkiem z Michałówki, który przywiózł młodziana, wydobywali z niej tłumoczki i zawiniątka składali wszystkie do skromnej izdebki w oficynie, z której jedyne okienko wychodziło wprost na okna pałacu, tylko że gęsto rozsądzone przed niem krzewy bzu, herberysu, i czeremchy, zasłaniały widok cokolwiek. Feliks z pośpiechem otworzył klamkę, powiódł okiem po pustych ścianach, pomalowanych popielato, które rozjaśniał nieco płonący na kominie ogień, rozniecony

staraniem Bartłomieja. W głębi stało skromne żelazne łóżko, na które złożono pościel młodzią i pokryto ją kołdrą wełnianą błękitną, matczynéj roboty. Pod oknem niewielki stoliczek do pisania, krzesło przed stolikiem, drugie koło komina, pułki przybite do ściany, kuferek w kącie, oto i cały sprzęt który miał służyć do codziennego życia Feliksa. Jedyny tylko zbytek w izdebce, stanowiła stara firanka z frendzlami, zawieszona w oknie ręką poczciwéj Walentowéj, która choć tym sposobem chciała uczcić pańskie dziecko.

Stary Bartłomiéj poznośiwszy rzeczy do izdebki, i ułożywszy je w porządku, wrócił do pałacu. Stanisław wrócił do stajni oprzątnąć konie z drogi, Feliks pozostał sam jeden, spojrzął oknem na dziedziniec, na pałac, pusto w nim było i głucho! państwo Rolscy nie powrócili jeszcze z weselnych obrzędów. Okna przymknięte były wewnątrzniemi okienicami, stary zabój spał w budce przy pałacu uwiązany na grubym żelaznym łańcuchu.

Feliks westchnął gorzko i zabrał się do rozpakowania swoich skromnych manatków. Wydobył naprzód z kufierka książki i papiery, porozkładał je na stoliku i pułkach. Na samym wierzchu, pomiędzy

rzeczami spostrzegł obraz Najświętszój Panny, który dobra matka wsunęła na ostatku, chcąc synowi sprawić miłą niespodziankę. Na jego widok łaza zabłysła w błękitném oku młodziana, ujął obraz z uczuciem, przycisnął do ust i zawiesił go na ścianie ponad łóżkiem. Urządziwszy wszystko jako tako, usiadł przy kominku i dumał.

Lekkie stukanie dało się słyszeć we drzwiach.

— Czy wolno? odezwał się głos kobiety.

— Wolno, wolno, odparł młodzieniec.

— Stara Walentowa, przybrana w czepek, z żółtą wstążką otworzyła drzwi ostrożnie.

— Przepraszam panicza za moję śmiałość rzekła całując Feliksa w rękę, aleć to ja tak dobrze jak znajoma. Pamiętam ci ja pańskiego ojca, jak bywał jeszcze u nieboszczyków chorążtwa, a istnie wyglądał tak jak panicz, jakby z niego żywcem zdjął skórę.

— O! tożto zapewne pani Walentowa, a dawna panna Barbara, zagadnął młodzian z współczuciem, biorąc po przyjacielsku rękę starój, i podając jēj krzesło zprzed stolika.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, a zkadzie panicz wie o wszystkiém.

— Nie raz ojciec nieboszczyk wspominał o panie Barbarze, i zwykł ją był wystawiać wszystkim dziewczętom w domu jako wzór porządku i pracy.

— Kochany pocziwy pan Kazimierz, a raczć z przeproszeniem pańskim, pan major. Miły Boże! toć on nieborak pamiętał o mnie! I ja téż wcale o nim nie zapomniałam. Zawsze w zaduszki nie wymawiając, daję na przypominki za jego pocziwą duszę, która tam już zapewne używa w Bogu wiekui-stój szczęśliwości. Oj, należyć mu to, należy, bo téż nieborak niemało wycierpiał za żywota. O! aleć już wszystko przeszło, a choćby mu się i najlepší w życiu powodziło, toćby i tak minęło jako żywo, a w grobie to każdemu jednako, czy to panu, czy la-da jakiemu biedakowi! wszystkim przynajmniej chłodno, cicho i spokojnie!

— Zapewne, zapewne, odparł Feliks, ludzie daremnie biedzą się z życiem, daremnie gonią za Bóg wie nie czém, kiedyć wszystkich koniec jednaki.

— Mój Boże! mój Boże! panicz taki oto młody, a już tak mądrze mówi. To istnie tak jak nasza panna Zofia! adyc to niebożatko, ledwie że od ziemi odrosło jak umarła nieboszczka pani, a już temu zawsze mądre słowa były na ustach.

Feliks zapłonił się nieznacznie.

— Ależ pani Walentowo, siadajże przy kominku rzekł wskazując jój przystawione dopiero krzesło, pogawędzimy sobie trochę.

— Niechże sobie panicz nie żartuje ze staréj, czyżbym ja sobie pozwoliła takiéj poufałości. Oj nie darmoć to Basia zjadła zęby na pańskim chlebie!

— A ja ręczę, rzekł Feliks, że pani Walentowa nie zdrażasz się i siadasz kiedy cię o to prosi panna Zofia.

— Oj panna Zofia to co innego, znam ją od ma-
leńkiego, wypiastowałam ją na ręku, a potém to ta-
kie dobre, istny anioł! kubek w kubek nieboszczka
pani.

— Daleko mnie wprowadzie do dobroci panny
Zofii, odparł Feliks, ależ i ja nie taki zły jak się wy-
daje. Siadajże, siadaj, moja pani Walentowo.

— No, toć i usiądę, cóż mam robić! Niech ci
o to Pan Bóg nagrodzi mój paniczu, że masz uwa-
żanie dla starych. Oj błogosławieństwo Boskie bę-
dzie z tobą, jak słońce na niebie.

I usiadła przy kominku, nogi oparła na trzonie,
a parę suchych drewek przyrzuciła na ogień.

— Miły Boże! rzekła po chwili, rzucając okiem

do koła, serceć się człowiekowi raduje, że taki młody panicz, nie zapomina o Najświętszej Pannie. To też jako żywo i ta Matka nasza nie zabaczy go w miłosierdziu swoim. Kto z Bogiem, Bóg z nim, nie darmo mówi przysłowie! Ale mój złoty paniczu, ja tu gawędzę zwyczajnie jak stara, a panicz zziębnięty i głodny. Zaraz ja tu przyślę Bartłomieja z kawą i sucharkami. A możeś panicz nie jadł i obiadu, jak się to zdarza w drodze. Powiedz tylko śmiało, a wszystko się znajdzie, jest i kapłonek zabity, toć snadno wsadzić na rożen i upiec w mgnieniu oka.

— Dziękuję, dziękuję z serca, moja pani Walentowo, nie jestem wcale głodny, jadłem obiad w Łowiczu.

— Oj jak markotno na sercu, toć człek i nie myśli o strawie, ale jednak posilić się potrzeba. Już to co od kawy, to się nie wymówisz paniczu.

I stara sługa nie zważając na słowa odmówne Feliksa, powstała i wyszła do swęj izdebki, od której ją tylko przedzielała sionka.

— Miała matka słuszność, pomyślał Feliks, wszędzie na świecie są poczciwe serca, byleśmy je tylko poznać i ocenić umieli.

· Rozgrzawszy się cokolwiek kawą, Feliks poszedł

z odwiedzinami do pana Dauvais Francuza, głównego dyrektora cukrowni. Już się był z nim zaznajomił za ostatniej bytności w Gradowie za pośrednictwem pana Rolskiego. Pan Dauvais miał żonę polkę i córkę pannę Florentynę, pół polkę, pół cudzoziemkę, zalotną jak Francuzeczka, żywą jak skra, rządzącą w domu, ojcem, matką i wszystkiemi.

Zastał panienkę samą: siedziała w oknie, z Lelią w ręku w illustrowanem wydaniu. Ubrana była starannie i wykwiśnie, opięta na cztery szpilki, ściśnięta. Spostrzegłszy Feliksa, rzuciła nań kilkakrotnie bystrem oczkiem, uśmiechnęła się zalotnie, poprosiła siedzieć wskazując krzesło obok siebie.

— Czy pan Dauvais jest w domu? zapytał Feliks.

— Jest w téj chwili w cukrowni, odparło dziewczę, urządza właśnie nowe prassy, które tylko co przywieziono z Warszawy; ale niech pan raczy zaczekać, nadejdzie niebawem.

— To ja go znajdę w cukrowni, odparł Feliks kłaniając się grzecznie.

Panna Florentyna ułożyła obojętną minkę. Feliks oddalił się tymczasem.

Florentyna była piękna, bardzo piękna, i wiedziała o tém dobrze. Popsuta i rozpieszczona od dzieciństwa, wymagała nieustannych hołdów. Główka jój zabałamucona czytaniem bez wyboru, marzyła nie stworzone rzeczy. Wszelkie pochwały i uwielbienia jakimi ją obsypywano dotąd, gdziekolwiek się ukazała, zbyt jój łatwo przychodziły, aby do nich miała przywiązywać jaką taką wagę. Pierwszy raz może w życiu spostrzegła, że wdzięki jój nie sprawiły dostatecznego wrażenia, ubodło ją to niesłychanie, tém bardziej, że od samego rana oczekiwała niecierpliwie zapowiedzianego przybycia Feliksa. Dla niego ubrała się staranniej niż zwykle, dla niego zawiązała nową różową wstążkę na szyi, dla niego nakoniec zerwała kwitnącą różyczkę z doniczki, i zatknęła ją z niechcenia w czarne jak kruk włosy. A to wszystko daremnie! miało więc nad czém zboleć serce, a raczój miłość własna zepsutój dziewczynki. To téż panna Florentyna poprzysięgła sobie, że się pomści za pierwszą sposobnością, i zabrała się znów do czytania Lelii.

Pierwszy wieczór w Gradowie długi listopadowy, smutno zszedł Feliksowi. Daremnie panna Florentyna spodziewała się że ojciec, któremu wyraźne

w tym względzie objawiła życzenie, ściągnie młodziana na herbatę. Feliks odmówił stanowczo, tłumacząc się że ma do pisania listy. Walentowa zająrzała do niego przeze drzwi nieśmiało, a widząc że pisze, nie śmiała mu przeszkadzać. Po wieczery dopiero, gdy Feliks zasiadł dumając przy kominku, poczciwa sługa weszła do pokoju, trzymając w ręku kilka książek oprawnych w świeże papierowe okładki.

— Przyniosłam ci to paniczowi, rzekła, dla zabicia nudów. Wzięłam owe książki ze stolika panny Zofii; niedawno je o to przywiozła z Warszawy. Jać się na tém nie znam, ale musić to być coś ciekawego, bo przez dwie nocy, toć nieboraczka nic prawie nie spała, tylko czytała a czytała. Do drugiej po północy światło błyskało w jój okienku.

— Dziękuję serdecznie, moja pani Walentowo, rzekł Feliks biorąc książki, ale czy się aby panna Zofia gniewać nie będzie, że się tak rządzymy, bez jój wiedzy i woli.

— Bądź panicz jeno spokojny, już ja wszystko bioreę na siebie. To taki anioł, a potém i za cóżby się gniewać miała?

To mówiąc Walentowa usunęła się z pokoju, życząc dobrej nocy Feliksowi. On otworzył jedne

z książek: był to Swinx, który tylko właśnie co za-
błysnął na literackim świecie. Czytał chciwie godzin
kilka, zasnął nakoniec z ciężkiem sercem i rozmarzo-
ną głową.

Dzień następny spłynął jak i poprzedni. Feliks
przepędził go po większej części w cukrowni, poma-
gając gorliwie do ustawienia hydraulicznej prassy.
Wieczorem dnia tego przybyli państwo Rolscy, ale
ponieważ godzina była spóźnioną, Feliks nie pokazał
im się wcale.

Nazajutrz z rana, pan Rolski pospieszył czémprę-
dziej do cukrowni obejrzyć prassy, zastał tam już Fe-
liksa, powitał go z szczerem współczuciem.

Zofia o szóstej z rana była już na nogach; wy-
słuchiwała z zajęciem opowiadań stariej Walentowej
o przybyciu Feliksa, nim się obudziła spiąca w tymże
pokoju Aniela.

— Oj panienko! panienko! to nie taki panicz jak
inni! mówiła stara sługa. Jaki pobożny! toć to obraz
Najświętszej Panny zawiesił sobie nad łóżkiem, a tak
umie jakoś człowieka ująć za serce i ośmielić, że się
zdaje, jakby go się znało od niepamiętnych czasów.
Kiedy ja też z nim wczoraj zasiadłam i gawędziłam
sobie o różnych różnościach, jakby z równym, a toć

to przecie pańskie dziecko, a ja stara haba, com się styrała na pańskiej służbie. Niech mu tam Pan Jezus da wszystko najlepsze, boć sobie na to zasługuje jako żywo. Zaraz to można przez skórę przeczuć człeka co ma serce, a takich to teraz coraz mniej zaprawdę na tym Bożym świecie!

Zofia nie przerywała gawędy stariej sługi, rada słuchała pochwał dawanych Feliksowi tak prostemi, ale zarazem tak wiele mówiącemi słowy. Walentowa wreszcie nagadawszy się do woli, wyszła z pokoju, i zwolna powróciła do swjej izdebki. Zofia tymczasem zajęła się ubraniem: włożyła czarny szlafrocze sukieny który jej dziwnie przypadał do cokolwiek mężkiej i ogorzałej twarzy, na szyję w miejscu haftów i koronek włożyła prosty kołnierzyk z cienkiego płótna, gładki i biały jak śnieg, podwiązała go szafirową chusteczką: włosy czarne skłniające przygładziła ponad czołem z niezwykłym staraniem, główkę kształtną okrążyła podwójnym wieńcem pięknych, równych i miękkich jak jedwab włosów, a ubrawszy się, spojrzała kilkakrotnie w zwierciadło, z wewnętrznym zadowoleniem, przekonana że jej do twarzy.

— Zosiu, jużes to wstała? ozwała się Aniela bu-

dząc się ze snu. Oho! tyś już ubrana jak widzę. Co cię tak rano wypędziło z łóżka po tyłodniowym niewyuczasiu?

— Nawykłam wstawać o téj godzinie, odparła Zofia, toż dłużej spać mi niepodobna.

— Jakżeś ty dziś ładna, moja Zosiu, wiesz co że ci co dzień przybywa powabów; nie darmo to tak pan Adam zajął się tobą na weselu.

— Dałabyś sobie pokój z zartami, odparła Zofia.

— Zobaczysz że tylko patrzeć jak on zawita do Gradowa.

— A przecież ma narzeczoną w Warszawie.

— Co to u nich znaczy? choć przyrzekł, to nie dotrzyma. Kto mu co za to zrobi? Panna nie ma ojca ani brata, toby go jedno może wstrzymało.

— Niechby jeno przyjechał, odparła Zofia, znalazłabym ja sposób, żeby nie miał chęci zajrzeć powtórnie.

— O! już to ty umiesz doskonale zrazić jedném słówkiem! ale czy uwierzysz, że ci zaczynają z tego względu czynić zarzuty. Miałam ci to powiedzieć, ale dotąd nie było jakoś pory. Wysłuchałam w Załękach dwóch panów rozprawiających o tobie, nazwali cię ostrą, nieprzystępną, złośliwą, dumną, i już sama

nawet nie pamiętam jaką. Udałam naturalnie że nie słyszę, bo i cóż było robić?

— Ciekawam bardzo, którzy mnie téż tak osądzili? zagadnęła Zofia.

— O! co tego, to już powiedzieć nie mogę.

— Znajomi czy nieznajomi?

— No, już ciż znajomi, inni z kądżeby o tem wiedzieli. To tylko dodam, że ten, który najwięcej dowodził, nieraz ci w oczy prawil grzeczności i pochlebstwa.

— Mniejsza o to, odparła Zofia chłodno, otóż widzisz moja Anielciu rowy dowód ich charakteru, którego siłą tak się przechwalać umieją, i jakże tu nie być dumną i pogardliwą? Rozumiem że kobiety były niegdyś ciche i potulne, bo się téż miały przed kim korzyć! warto było uchylić głowę, ale teraz! o to rzecz zupełnie inna, odwróciła się karta.

— Przecież oni tego przyznać nie mogą, muszą więc na nas składać całą winę, jakże chcesz inaczej? rzekła Aniela.

— Prawda, składanie winy na kogoś, to także dowód słabości. Człowiek tylko z pewną moralną siłą uderzy się śmiało w piersi, i powie: moja, wina! słaby potępi drugiego, aby siebie ocalić.

— Już my ich podobno nie poprawimy, rzekła smutno Aniela.

— Kto wie, żebyśmy się tylko wszystkie wzięły za ręce, odparła Zofia.

— Właśnie o to idzie, że to nigdy nie nastąpi, a wiesz dobrze, że ci wszyscy którzy pierwsi dźwigają jakąkolwiek idee padają jój ofiarą, bo ich świat pojąć nie umie.

— Coż na tém stracimy, odparła z złośliwym uśmiechem Zofia, w najgorszym razie, nie pójdziemy za mąż. Wielkie pytanie, czy na tem tak bardzo źle wyjdziemy.

— Ale nas obmówią, spotwarzą.

— Co to, to prawda, w tem dziś mężczyźni odebrali niewątpliwie palmę pierwszeństwa, którą świat oddawna przysądził kobietom, w tym względzie są niewątpliwie na drodze postępu. Wierz mi Anielciu, żebym wolała powierzyć tajemnicę dziesięciu kobietom, aniżeli jednemu mężczyźnie, choć dawniej podobno inny był stosunek, jak mówi tradycja.

Tak rozmawiając, Zofia haftowała przy stoliku. Aniela tymczasem kończyła się ubierać. W chwilę potem poszły obiedwie trzymając się pod ręce, na

śniadanie do jadalnej sali, gdzie zastały pana Rolskiego i Sędziego, chodzących z fajką po pokoju.

— No Anielciu, czyś już gotowa, bo jedziemy zaraz po kawie, zagadnął ojciec.

— Mój sędzio, odparł gospodarz domu, wyperwadujże sobie odjazd. Już ja cię dziś nie puszczę, jak cię kocham.

— Ależ panie Edwardzie, żona słaba.

— Siostra jest przecież przy niej, a potem cóż to za słabość, co trwa od lat kilku, a jednak niczem złem nie grozi?

— To prawda, jednak wypada wracać, zresztą mam pilne interesa w domu.

— Rób co chcesz, ja cię dziś nie puszczę, muszę ci pokazać moje hydrauliczne prassy świeżo sprowadzone z Warszawy.

— Ciekawym ich bardzo, odparł sędzia zażywając tabakę, no to już zresztą zostanę na obiedzie, ale co dłużej, to mnie już nie zatrzymasz. Muszę być na noc w domu.

— Potem o tém pomówimy, rzekł pan Rolski. Niech tylko żona wstanie, pójdziemy wszyscy razem do cukrowni obejrzyć nowe urządzenie.

Leciuchny rumieniec przebiegł po licu Zofii, podczas gdy nalewała kawę w filiżanki.

Wszyscy jeszcze zgromadzeni byli w sali jadalnej, gdy się ukazała świeża i rumiana ze snu pani Rolska. Ubrana była w jasny różnobarwny fularowy szlafroczek, i czepeczek negliżowy z różowemi wstążkami, który dobrze przypadłał do jój białej i okrągłej twarzy.

— Cóż tak rano? zagadnął z uśmiechem pan Rolski, a to coś osobliwego doprawdy.

— Powiadano mi że się wybieracie do cukrowni, pospieszyłam się więc, chcąc także należyć do partyi.

— Pójdziemy zaraz po śniadaniu, odparł mąż. Słońce zabłysło, trzeba z niego korzystać, bo pewno będzie znowu słońca, nie darmo ptastwo snuje się dookoła.

Po kawie panie zarzuciły płaszczyki i udały się przez ogród do cukrowni. Sędzia podał rękę gospodyni. Pan Rolski prowadził Anielę, Zofia sama postępowała za niemi.

Za ogrodem wznosił się wielki trzypiętrowy gmach, zhudowany z umysłu na fabrykę cukru. Z wysokiego komina wybuchał gruby tuman czarnego dymu, którym wiatr miotał na wszystkie strony.

Pan Rolski wprowadził panie do fabryki. Pani Rolska stąpała ostrożnie wśród mnóstwa kadzi, rur, i naczyń miedzianych rozlicznego kształtu. W miejscu gdzie spływał syrop, stał Feliks w szarej płóciennój bluzie, z termometrem w ręku. Spostrzegłszy wchodzące panie, zapłonął się lekko, zdjął amarantową czapeczkę z głowy, skłonił się z poszanowaniem.

— Pan Rolski przedstawił młodego krewnego sędziemu i Anieli.

— Feliksie rzekł, zaprowadźże tymczasem panie na górę, tyś już obznajmiony z miejscowością. Ja mam pomówić parę słów z panem Dauvais.

To mówiąc zbliżył się do francuza, który zajęty był właśnie wprowadzeniem w ruch hydraulicznój prassy.

Sędzia szedł naprzód prowadząc pod rękę panią Rolską, po wązkich i niewygodnych wschodach. Aniela zatrzymała się na dole, oparta na ramieniu pana Rolskiego, Zofia postępowała za ciotką, Feliks podał jój rękę.

— Przebacz Pani, rzekł, że się ośmielam zbliżyć do niój w takim ubraniu, ależ wschody tak prostopadle, że niepodobna iść samój.

— Nie uważaj pan na takie formułki, odparła Zofia z uśmiechem. Więcej ja cenię bluzę pracującego człowieka, aniżeli najwykwintniejszy frak paryzki na próżniaku, a żółte rękawiczki mniej u mnie mają ceny, od ręki szorstkiej i opierzechlłej od pracy.

To mówiąc spojrzała na niego, a oko jej ciemne, spotkało się mimo woli z błękitném okiem młodziana. I milczeli oboje. Feliks tłumaczył z roztargnieniem, uzytek i przeznaczenie rozlicznych rur i machin, Zofia oglądała wszystko z równą nieuwagą.

W tej chwili wszedł na górę pan Rolski, prowadząc Anielę, w towarzystwie dwóch czy trzech praktykantów w bluzach.

— Prześliczny zakład, rzekł sędzia. Wiesz co panie Edwardzie, że takiej cukrowni nie ma w okolicy, a i w kraju niewiele znajdzie równie dokładnie urządzonych.

— Zejdź tylko na dół kochany sędziulku, odparł z uśmiechem pan Rolski, a zobaczysz tam coś nierównie piękniejszego.

— Hydrauliczną prassę? zagadnął sędzia.

— Ej, co innego zupełnie.

Młodzież uśmiechnęła się i spojrzała po sobie.

— Cóż takiego? pytał ciekawie sędzia.

— Pannę Florentynę, prześliczną francuzeczkę, córkę naszego dyrektora, odparł pan Rolski. Przyszła w téj chwili z matką. Ej, strzeż się Feliksie, bo to istna czarodziejka. Ci panowie już wszyscy potracili głowy, dodał wskazując na młodzież.

— Młodzi praktykanci porumienili się po uszy, i znów spojrzeli po sobie.

Przykre jakieś, niewytłumaczone uczucie obudziło się w duszy Zofii. Lica jój zwykle blade, bardziej jeszcze pobladły.

Obejrzawszy co było do widzenia na górze, przebiegłszy kilka sal założonych głowami cukru, ustawionemi rzędem w formach miedzianych, towarzystwo całe zeszło na dół, gdzie właśnie dla okazania siły pary, włożono w prassę w miejsce buraków, kłoc dębowy, który w mgnieniu oka roztrzaskał się na części, i zamienił w miazgę. Sędzia przyglądał się ciekawie hydraulicznej prassie, panie jednak ciekawiej jeszcze patrzyły na piękną Florentynę, która stała właśnie obok ojca, przybrana w zieloną sukienkę, świeża jak kwiat, a u datna jak młoda sarenka.

Zofia westchnęła, po raz pierwszy może w życiu pożałowała w głębi duszy, że i jój pan Bóg nie stworzył tak piękną.

Pani Rolska powitała uprzejmie Florentynę i jej rodziców, oraz prosiła aby chcieli ją częściej odwiedzać w długie zimowe wieczory. Pan dyrektor przyrzekł uroczyście uczynić zadosyć jej woli.

Towarzystwo nasze w końcu opuściło fabrykę, i znów przez ogród udało się zwolna ku pałacowi. Zofia z Anielą poszły naprzód prowadząc się pod rękę.

— Wiesz co Zosiu, że ten pan Feliks, ma w całej postawie coś niepospolitego, mówiła Anieli. Nie piękny wprawdzie, ale i w oku i na czole odbija myśl wyższa, co przyznaj sama, nie często się dziś zdarza.

— Zapewne, przebaknęła Zofia.

— I w głowie ma widać wcale dobrze, przecież to czasem z kilku słów można odgadnąć człowieka. Uważałam co mówił do ciebie o sfinxie.

— A czytałaś ty sfinxa? zagadnęła Zofia, chcąc zwrócić rozmowę do innego przedmiotu.

— Dotąd nie, ale mam nadzieję, że mi go pożyczysz.

— Dobrze, jak tylko odbiorę od pana Feliksa.

— Ale wiesz co, że ta panna Florentyna istotnie piękna, tylko znać, że strasznie żywa i zalotna. Szko-

daby go było żeby się w nią pokochał, rzekła Anie-la po chwili, a nie braknie mu do tego sposobności. Uważałam jak strzelała na niego okiem. Zresztą, młody, niedoświadczony, może się łatwo dać ułudzić.

Zofia nie odrzekła ani słowa, ale serce jej było podwójnie, a dziwne jakieś uczucie ścisnęło jej pierś dziewczą.

Sędzia dał się w końcu namówić, i nie wyjechał w dniu tym z Gradowa. Wieczorem pan dyrektor cukrowni przyszedł z żoną i córką do pałacu. Panna Florentyna ubrana była w błękitną bareżową sukienkę, szalik biały z leciuchnej tkaniny, owinięty podwójnie do koła szyi otaczał ją jakby obłokiem. Zpoza owej mgły z gazy, występowała twarz świeża jak pączek, prześliczne czarne włosy otaczały wiankiem drobną i kształtną główkę, oczy czarne, ocienione długimi rzęsy, rzucały błyskawice za każdym przelotnym spojrzeniem, usteczka koralowe otwierając się co chwila do uśmiechu, odkrywały dwa rzędy białych jak perły ząbków.

Młodzi i starzy, to słówkiem, to spojrzeniem, oddawali cześć młodej piękności. Florentyna przyjmowała obojętnie hołdy, znać że do nich aż nazbyt już

nawykła. Młodzież z cukrowni, zaproszona przez gospodarza, patrzyła w oblicze dziewczęcia, jak w cudowny obrazek, jeden tylko Feliks, obojętnie przeglądał książki i ryciny leżące na stole. Korciło to Florentynę, której głównie szło o zwrócenie jego uwagi, bo i któż nie wie, że każdy ceni najwięcej to, co mu niełatwo przychodzi!

Zofia nie była tak wesołą i swobodną jak zwykle, daremnie pracowała nad sobą wszelką siłą. Nikt tego może nie spostrzegł, przecież ona sama nie była wcale zadowoloną z usposobienia własnej duszy.

Wieczorem przybył hrabia Alfred. I on także zachwycony był niemniej wdziękiem Florentyny, przecież nie odstępował Zofii, co ją szczerze gniewało.

Na prośbę gospodyni, Florentyna siadła do fortepianu, i zaśpiewała aryę z Córki Regimentu. Głos jej był miły, dźwięczny. Gdy skończyła śpiewać, wszyscy przyklasknęli głośno. Feliks tylko słuchał obojętnie.

— Panie nie śpiewają? zapytał Zofią i Anielę.

— Anielcia trochę, odparła Zofia, co do mnie, nie mam ani głosu, ani ucha.

— Szkoda że pani nie chcesz sobie zadać trochę pracy, rzekł młody hrabia, bo o zdolności wcale nie wątpię. Kto ma tyle artystycznego pojęcia, tyle uczucia jak pani, musiałby je niewątpliwie przelać w sztukę, gdyby się jój poświęcił.

— Zkądże pan wiesz że ja mam tak wiele uczucia? zapytała z uśmiechem.

— Tak sądzę, mimo że ludzie inaczej utrzymują.

— Ludzie, odparła Aniela, co oni mogą wiedzieć?

— Vox populi, vox Dei, przerwał hrabia. Podług mnie, dodał, każda z pań śpiewać powinna, bo nic podobno tak nie ujmuje i nie chwyta za serce, jak głos piękny i dźwięczny. Śpiewem zawrócić można i najzimniejszą głowę, rozplomienić i najchłodniejsze serce.

— O! żeby tylko dlatego, toby podobno nie warto było śpiewać! rzekła Zofia. Co do mnie, pojmuję śpiew, ale tylko jako mimowolny wpływ uczucia, jako potrzebę duszy, która pragnie przyoblec w pieśń własną tęsknotę lub radość. Tak śpiewa skowronek, gdy mu słońce zaświeci po zimowych słotach, tak śpiewa lud nasz, gdy chce wylać z głębi serca pocie-

chę lub smutek, takbym śpiewała i ja, gdybym umiała, ale śpiewałabym tylko dla Boga, dla siebie i dla tych, którzyby mnie duchem pojęli. Ale śpiewać dla wszystkich dla zyskania oklasku, a co gorsza, używać śpiewu jako zaczepnej broni dla podbicia serc! tego nie rozumiem wcale, to istna zniewaga sztuki!

— Nie wszystkie jednak panie podzielą to zdanie, odparł Alfred. Mało która z pań zrzekłaby się przywileju podbijania serc, tak łatwym i niewinnym sposobem, jeżeli tylko otrzymała dar z nieba.

— To też w tém całe nieszczęście, odparła Zofia, że ludzie tak w życiu, jak w sztuce poniewierają Boże dary. Próżność obraca na swą korzyść wszystko to, co Bóg zsyła na pociechę w ich ziemskiej tułaczce. Tak się dzieje z pięknnością, z rozumem, ze sztuką wszelkiego rodzaju. Ludzie uczynili z życia pole popisu, na którym próżność tylko zbiera plony. Aleć to wszystko puste kłosa, niema tam ani drobnego ziarnka prawdy!

— Pani chcesz koniecznie prawdy w życiu, rzekł hrabia, gdy tymczasem ludzie już podobno nigdy zupełnie do niej nie wrócą. Zanadto ich oświata od niej oddaliła.

— To są niedojrzałe owoce pół-oświaty, odparła Zofia. Prawdziwe światło wróci znów zbłąkanych na prostą drogę, boć światło jest prawdą.

— Nim to nastąpi, rzekł Feliks, długo jeszcze podobno ludzie błądzić będą po manowcach!

— Zapewne, odparła Zofia, fałszywe ścieżki tak wiele mają ponęty! Zresztą łatwo mnie tak mówić, która nie mam ani wdzięków ani talentu; gdybym je miała, używałabym ich może, tak jak i drugie, bo oklaski i pochwały obląkałyby zapewne mój umysł od dzieciństwa, a podniecona próżność, wzbronilaby mi poglądu w głąb własnej duszy.

Feliks z głębokiem współczuciem spojrział na Zofię, która w tej chwili piękną była zapałem, piękną duszą objawiającą się w jej obliczu. Ona spotkała jego wejrzenie jasne, promienne, i piers jej zadrżała dziwném, nieznaném dotąd uczuciem, jakby ją anioł unióśł na skrzydłach w obłoki.

Hrabia nie wiedział sam co powiedzieć, rozmowa wzięła kierunek do którego on wznieść się może nie potrafił; korzystając więc z sposobności usunął się zrećznie, a słysząc jak pani Rolska prosiła Florentynę o jedną jeszcze arją, przyłączył swoje prośby i nalegał wspólnie z gospodynią domu.

Panna Florentyna zdrażała się niezadowolona, że Feliks mało zwracał uwagi na jej śpiew, o którym tak wysokie miała wyobrażenie.

— Coby to było za niebo na ziemi, rzekł Feliks do Zofii, gdyby wszyscy byli tego zdania, co pani.

— Przecież ja tak mało wymagam, tylko prawdziwy, odparła.

— Tak, ale chcąc do niej trafić, rzekł młodzian, trzeba się łamać z kłamstwem i fałszem, które jak chwast obrosły ziemię do koła.

— A Bóg ją stworzył tak zieloną, tak kwiecistą, rzekła, cóż kiedy ludzie wszystko popsuli, i coraz gorzej psują. Gdzie dziś prawda? nie ma jej w życiu, nie ma w sztuce, wszędzie tylko słowa, chęć popisu, błyskotki, tumany, dym. Stroimy się zarówno w atłasy, w koronki, w rozum, w poezję, w uczucie, ależ to wszystko dla ludzi, dla otrzymania pochwały, dla wzbudzenia podziwu. Dla siebie, dla życia nic nam nie zostaje, to też nic dziwnego że uczuwamy czerstwość i nudę.

— Widziałem ja jednak prawdę w życiu, rzekł Feliks, widziałem ją w chacie, pomiędzy prostaczkami, widziałem ją w cichym domku przy ognisku, wśród kochającej się i szczęśliwej sobą rodziny.

— Ja nie wątpię o tém, że jest, odparła Zofia, szkoda tylko że ją nie częściej napotkać można, a zwłaszcza szkoda, że ludzie olśnieni zwodnym blaskiem, nie zadają sobie dosyć pracy, aby dojrzyć ową cichą gwiazdkę na niebie.

Panna Florentyna po długim zdrażaniu zaśpiewała znów arją z Lunatyczki. Wszyscy umilkli, i słuchali śpiewu, z mniej więcej natężoną uwagą. Feliks stał nieco opodal za krzesłem Zofii i nie spuścił z niej oka. Hrabia Alfred, mimo że nie zaniedbał dawniejszych widoków, zajął się chwilowo piękną Florentyną, i przez resztę wieczoru prowadził z nią francuzką rozmowę. Chciał tym sposobem dokuczyć Zofii i podrażnić jej miłość własną, ale mu się nie udało. Zofia zadowolona, że się pozbyła jego zdawkowych grzeczności i nadszłości, odetchnęła swobodniej. Florentyna z swój strony widząc że nadaremne pociski jej oczu odbijają się jak o stal, o zimne serce Feliksa, pocieszała się chwilowo zalotami hrabiego, nie składając przecież broni na zawsze, i czekając stosownej sposobności.

Zakończył się wieczór. Každy niemal rad był z siebie i zadowolony z zabawy. Zofia tylko dziwnie była

niespokojna; Feliks także spać nie mógł, przyszedł mu na myśl słowa matki: poprzysiągł sobie stanowczo, że będzie wiernym przyrzeczeniu, uczynionemu w chwili odjazdu.

VII.

Minął rok cały. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. W małej kolonii pod Skierniewicami, w drewnianym, krytym słomą dworku, siedziała w oknie majorowa i wyglądała ciekawie na droge od miasteczka. Było to właśnie w wigilię wigilii.

— Moj Boże! już tak późno, a ich niema i niema, mówiła sama do siebie, a już to przeszło pół roku, jak ich oczy moje nie widziały. Oj, biada nam matkom, dodała; póki to od ziemi nie odrósnie, toć też tyle naszej pociechy! potem świat oderwie od domu, od matki; a żebyć przynajmniej zapłacił choć inną monetą to wszystko co odbiera! ale gdzie tam

gdzie? oj życie, życie! wieczny niepokój, tęsknota, i nic więcej.

I powstała z krzesła, włożyła parę drewek na komin, przystawiła dwa imbryczki kawy, i tyleż garnuszków ze śmietanką.

— Niechajże się aby posilą i rozgrzeją z drogi, rzekła sama do siebie, bo tylko co ich nie widać.

Jakoż niezadługo bryczka ukazała się naprzód w opłotkach, i zaszła na dziedziniec z głośnym turkotem. Majorowa wybiegła przed ganek z młodzieńczą żywością, a Feliks i Antoni, zeskoczywszy z bryki żwawo, tulili się naprzemiany w objęciach pocziwój matki.

Serdeczna radość jaśniała na obliczu majorowej, cicha łza spłynęła z jej oka, na widok ukochanych synów. Tysiące zapytań nastąpiło po sobie, połowa z nich zostało bez odpowiedzi.

— Toście się zjechali w Łowiczu? zagadnęła matka.

— A tak, odparł Feliks. Ja właśnie popasałem w oberży, gdy wtém gwiznęła lokomotywa. Pobiegłem co żywo na kolój, i pierwszą osobą którą spostrzegłem, był Antoś, wyobraź sobie mamó, wysa-

dzający z wagonu śliczną panienkę, która doprawdy wcale nie krzywem patrzała na niego okiem.

— A która, wystaw sobie matko, znała już doskonale Feliksa, przerwał Antoni, bo się z nim przywitała po przyjacielsku, co ja mówię, jakby siostra z bratem.

— Ha! kto to wie? rzekł Feliks, dla czegożby ona kiedyś nie mogła być siostrą moją?

— Pleciesz, pleciesz, oj ty pusta głowo, rzekł uśmiechając się Antoni.

— I któż to była ta panienka? zapytała majorowa ciekawie.

— Panna Aniela Zagórska znajoma i przyjaciółka panny Zofii, odparł Feliks zapłoniony.

— Jechała właśnie z ojcem z Warszawy, dodał Antoni. Prowadziliśmy w drodze ogólną rozmowę we troje, z której dowiedziałem się, że panienka nie tylko miła i ładna, ale i wykształcona, a co więcej dobra. Z jakim ona też to staraniem wiozła różne lekarstwa i przysmaki dla słabiej matki! jak się bała żeby się cośkolwiek nie uszkodziło! Aż biedaczka łązy miała w oczach mówiąc o długoletnich jej cierpieniach.

— Zapewne że dobra panienka, rzekł Feliks, wi-

dywałem ją bardzo często w Gradowie, zwłaszcza zeszłej zimy. Teraz mało się oddala z domu, bo słabość sędziny stała się od pewnego czasu bardziej zagrażającą i podobno lekarze nie obiecują jej życia dłużej jak do marca.

— Biedna, biedna! przerwał Antoni z westchnieniem.

— O! już to jeżeli tylko matka umrze, to ona pewno nie rozłączy się z panną Zofią, mówił Feliks, kochają się jakby rodzone siostry.

— Przecież i panna Zofia może iść za mąż, ma podobno tylu starających się o swą rękę, zagadnął Antoni.

— Tak, odparł Feliks widocznie zmieszany, nie sądzę jednak żeby jej się który z nich prawdziwie podobał.

— Czy tak trudna w wyborze czy też starający się niegodni podobania? zapytał Antoni.

— I jedno i drugie odparł Feliks.

— Oj! podobno to ma być przewrócona głowa, przerwał brat. Pan Henryk N... przedstawił mi ją w dosyć niekorzystnym świetle. Mówił naprzód, że nie piękna, że dziwaczka, emancypowana, słowem,

ubolewał szczerze nad losem tego który kiedyś będzie jęj mężem.

— On to śmiał powiedziéć! zawołał Feliks bład od gniewu, nikizemny! żebyu go tylko zobaczył! nie, ja mu tego nie daruję.

— Nie unos się braciszku! Co to za gorączka, moja mamó?

Majorowa westchnęła i smutnie skinęła głową.

— O! to nietrzeba być gorączką, żeby się oburzyć na taką niegodziwość. Wiesz Antosiu, za co się mści ten nikizemnik? Oto za to, że go nie chciała, bo się o nią oświadczał jeszcze w lecie i dostał odkosza.

— Doprawdy? to ja nic a nic o tém nie wiedziałem. Henryk zarzekał się żeby broń Boże nie chciał nigdy takiej żony.

— Toć to nie pierwsza nikizemność Henryka, przerwał Feliks. Wiesz ty co on zrobił parę lat temu? Oto bawiąc przez jesień u stryja swego w Gostyńskim, z nudów zaczął coraz częściej odwiedzać dom państwa Zagórskich rodziców Anieli. Pnienka ładna, miła, wpadła mu w oko, ale ani mu się śniło o żenieniu, bo miał zawsze daleko świeżniejsze widoki. Tymczasem dopóty przyrzekał, uwo-

dził jedwabnemi słówkami, aż się biedaczce głowa zupełnie zawróciła.

— O! to nikczemnie, nikczemnie, przerwał Antoni z oburzeniem, igrać z uczuciem niewinnej istoty, rozbudzić w spokojnej duszy, świat marzenia i ułud, a potem zawieść i zdradzić! Na to nietylko mieć sumienia!

— A przecież połowa młodzieży, tak dziś postępuje: przerwał Feliks.

— Jest to zbrodnia na którą ludzkie prawa nie obmyśliły dotąd kary, ale przecież nie mniej zbrodnią jest wobec Boga, i prędzej później ściągnie zawsze na siebie sprawiedliwą pomstę.

— Niewątpliwie, moje dzieci, przerwała matka krzątając się około kawy, którą podała z komina mała Dorotka.

— Biedna Aniela, dodał Feliks, za ledwie życiem nie przypłaciła lekkomyślności Henryka; i gdyby nie choroba matki, która ją gwałtem dźwignęła ze stanu dziwnej bezwładności tak fizycznej jak i umysłowej, kto wie co by z nią było.

— Biedna, biedna, powtórzył smutno Antoni.

— Odebrać komu pierwszą wiarę, mówił z zapalem Feliks, zranić ciężko ufające i niedoświadczono-

ne serce, stracić młodą wyobraźnię ze szczytu marzeń w kał rzeczywistości, dopóki siły ducha zbyt słabe aby pojęły życie bez ułudy: to niegodnie, na to trzeba być nikczemnym! lepiejby może odebrać życie w jednej chwili, niżeli zatruć je na zawsze.

— Zapewne, odparł Antoni, niekiedy takie skrzywienie pozostawia wpływ na całą przyszłość.

— I dziwił się tu tym, które nie śmieją ufać i wierzyć, zawiedzione jeżeli nie własnem, to drugich doświadczeniem, rzekł Feliks.

— Ztąd to zapewne pochodzi i ta niewiara panny Zofii w świat i ludzi, na którą oburzał się Henryk.

— Niewątpliwie, łatwo to pojąć, wie ona aż nadto dobrze, że ci wszyscy którzy się tak gorliwie ubiegają o jej rękę, czynią to jedynie w chęci pozyskania jej posagu. To téż odplaca im najzupełniejszą pogardą, i cała jej wina że jej nie umie i nie chce zataić. Tym sposobem naraziła sobie nie jednego, wystawiła się na obmowę i najzłośliwszą potwarz, ztąd zyskała nazwę emancypowanej i dziwaczki.

— Czy ona doprawdy taka brzydka, jak powiadał Henryk? zapytał Antoni.

— Ona brzydka! powtórzył Feliks. Nie bracie, ona nawet piękna, ale aby ją ocenić, tak ze strony duchowój, jako i powierzchownój, trzeba umieć na nią patrzeć. Kto żąda tylko formy, ten jój wiele zapewne zarzuci, ale kto szuka piękności wyższój, kto szuka życia w spojrzeniu, w uśmiechu, w każdym ruchu, ten powie że ona piękna, bardzo piękna!

Antoni umiechnął się nieznacznie na słowa brata wyrzeczone z tłumionym daremnie zapalem; odgadł z nich tajemnice jego serca, nie rzekł jednak ani słowa, szanując jego uczucie, i nie chcąc go znieważać płochym żartem.

Matka skinęła znowu głową, a lica jój pobladły widocznie.

— Powiedz mi Felusiu, zagadnął Antoni, czy i Aniela przejęła trochę emancypacyi od Zofii?

— To inny zupełnie charakter, mój bracie, zresztą odmienne ich położenie w świecie. Aniela nie bogata, jest ich kilkoro dzieci, a potem już z natury cicha, łagodna, napozór niby powolna, choć w uczuciu gwałtowna, a nawet egzaltowana.

— Mój Boże! przerwał Antoni, i taką istotę zawieść i zdradzić, to prawdziwe świętokradztwo!

— Aniela jest ocalona, rzekł Feliks, nieszczęście rzeczywiste uleczyło ją z chorobliwego marzenia, i jakkolwiek postradała dawną łatwowierność, przecież nie sądzę, żeby już nikt nigdy nie obudził jój wiary. Ostrożniejszą będzie zapewne i słusznie, nie zawierzy od razu tak jak dawniej, ale zawierzy w końcu, jeżeli rozum wraz z sercem przekona ją, że zawierzyć warto.

Antoni zamyślił się i ścigał okiem płomień na kominie, który to buchnął silniej rozsypując się w iskry, to zdał się słabnąć, konać, przecież nie dogasał zupełnie.

Majorowa nie mogła oderwać oka z ukochanych synów, śledziła baczenie, czyli czas nie wywarł na nich szkodliwego wpływu. Postać Antoniego zadowolila zupełnie macierzyńskie jój wymagania, Feliks tylko zdawał jój się być zmienionym. Zrazu nie dostrzegła tego. Rumieńce młodziana, wyciśnięte zimnym grudniowym wiatrem, radość jaśniejąca w oku przy powitaniu, nadawały mu pozór zdrowia, gorąca kawa dopełniła złudzenia. Zwolna jednak sztuczne rumieńce nikły, oko zapadało, chorobliwa żółtość rozpostarła się na czole, a na ustach spoczywał uśmiech bolesny i cierpiący.

— Felusiu, tyś słaby, rzekła matka troskliwie patrząc nań długo niespokojnem okiem.

— Nic, matko jedyna, nic mi nie jest, zaręczam ci.

— O! moje dziecko, nie zwiedziesz ty macierzyńskiego oka, ty cierpisz kochanie, widzę to, a raczej odgaduję.

— Mylisz się matko.

I biedna z trwogą wewnętrzną przycisnęła głowę syna do drżącój piersi. Feliks ucałował jęj suchą i pomarszczoną rękę z głębokiem uczuciem, a ła gorąca padła na nią.

— Feliksie, tu niema obcych, to brat twój, a ja, a ja matka, rzekła tłumionym od łez głosem zaklinam cię, powiedz, co tobie?

Feliks milczał, głos zamarł w jego piersi.

— Wiem co ci jest, przeczuwam to raczej! Mój Boże! i tę jeszcze próbę zsyłasz na mnie. Stało się wszystko, com przewidywała, czegom się lękała jak śmierci. Biedne ty dziecko, biedne!

Feliks stłumił gwałtem łkanie, które mimowoli wydierało mu się z piersi, uklęknął przed matką, objął z uszanowaniem jęj kolana.

— Matko! bądź spokojna, nic nie stracone! ona nie wie, że ją kocham.

— Ale ją kochasz, ale cierpisz, ale cierpieć będziesz.

— Będę cierpiał, ale kochać jęj nie przestanę, bo to nad moje siły.

— Mój Boże! co ci zawiniło to biedne dziecko, że je tak ciężko karzesz, zawołała matka zalewając się łzami.

— Matko! i ty to zwiesz karę Bożą! ja ją kocham, jestem kochany od nięj! o! to szczęście, szczęście prawdziwe!

— Ależ ty się nigdy z nią połączyć nie możesz, to niepodobna.

— Wiem o tém, i nie pragnę tego, a przynajmniej wcale do tego nie dążę.

— I cóż ci przyjdzie z tęg miłości?

— Alboż to nie dosyć kochać i być kochanym, a do tego kochanym od nięj!

— Moje dziecko! mówisz bez zastanowienia, zwyczajnie jak młody. To zwicznie całą twą przyszłość.

— To mnie podniesie matko, to mnie dźwignie, to mnie zrobi człowiekiem!

— Każda inna miłość, byleby prawdziwa sprawiłaby to samo, rzekła matka, a do tego znalazłbyś w niej szczęście i spokojność na ziemi.

— O nie matko! drugiej Zofii nie ma na świecie.

Antoni uśmiechnął się lekko, nieznacznie.

— Dla ciebie, dodał po chwili.

— Tak, dla mnie, rzekł Feliks, już ci ja mówię tylko o sobie.

— Felusiu, ty tam dłużej być nie powinienes, rzekła z powagą majorowa.

— Możesz na mnie liczyć matko, jak uznam zupełne niebezpieczeństwo, będę miał siłę usunąć się w porę, wszak ci to przyrzekłem przy odjeździe, i dotrzymam słowa.

— A więc ona nie wie o'tém, że ją kochasz?

— Nie wie i wiedzieć nie będzie.

— A skądże wiesz że ona cię kocha, kiedy ci tego nie mówiła?

— Alboż to trzeba słów, aby się o'tém przekonać?

— Prawda, ależ i ty mogłeś się zdradzić mimowoli.

— Tak, zapewne, z początku, dopókim się nie

Słowa te wymówiła z tłumionem uniesieniem, twarz jęj zbladła, głos był drżący i złamany.

Feliks zbladł zarówno, i nie odrzekł ani słowa.

— Matka jęj rzekł Antoni, była świętą niewiastą; toć ona może uprosić u Boga przebaczenie i błogosławieństwo dla córki.

— Prawda była to zacna niewiasta, mówił mi nieraz o niej wasz ojciec. On ją tak niegdy kochał! ależ sprawiedliwość Boża musi się spełnić na ziemi.

I umilkła. Nikt nie śmiał wyrzec ani słowa. Słuchać tylko było poruszenia zegaru, który z cicha wybijał sekundy.

Po wieczery, którą nietkniętą prawie sprzątnęła mała Dorotka, matka i synowie, rozeszli się na spoczynek, ale i sen ich podobno był gorączkowy, przerywany, niepokój i obawa wkradły się w serca i dręczyły je dziwnym ciężarem. Antoni tylko, mimowoli prawie, wspomniał kilkarotnie Aniełę, smutną, bladą, i w myśli dzielił boleść dziewczęcia, skazanego na cios najdotkliwszy, na rychłą utratę ukochanej matki. Litował się nad nią szczerze, a jęj niedola, a łza którą dostrzegł w jęj oku, silnie przemówiły

do współczucia młodziana, i sprawiły, że myśl jego nieustannie do koła niej krążyła.

Przeszła wigilia Bożego Narodzenia tęskno, niewesoło. Daremnie majorowa wymyślała rozmaite przysmaki, które niegdyś synowie jój tak lubili w dzieciństwie, daremnie własną ręką przyrządziła i karpia z polewą, i szczupaka po żydowsku, i kluseczki z makiem, i śliwki suszone, a wreszcie ową polewkę migdałową z rodzynkami i ryżem, bez której wigilia obejść się nie może. Feliks pokosztował zaledwie wszystkiego po troszecze, matka nalegać nie śmiała. Antoni ożywiał jak mógł rozmowę, ale i jemu nie szło jakoś jak zwykle.

Smutek dziwny krążył wśród zgromadzonej rodziny od wczorajszej jeszcze rozmowy. W poranku, w dzień wigilii, gdy matka wśród innych przysmaków, położyła na małym nakrytym stoliku, paczkę białych opłatków, ciężiej jeszcze ścisnęły się serca. Feliks obejrzał się mimowoli po niskich ścianach dworku, powiódł okiem po ubogich sprzętach, i łza zakrężyła mu w źrenicy. Nietyle żał mu było dostatków, jakie niegdyś zapamiętał w rodzicielskim domu, ale żał mu było owój Michałówki, do której przyrosł duszą całą, której wspomnienie świeciło mu

w przeszłości, jakby wspomnienie zatraczonego raj, dokąd nigdy już nie miał trafić. Taż sama myśl zrodziła się jednocześnie w każdym sercu, i odbiła na czole matki i obudwóch braci. Pierwsza to była wigilia, którą odbywali zdala od rodzinnego gniazda, gdzie ich wszystko łączyło z przeszłością tajemniczym węzłem. Nic zatem dziwnego, że trudno im się było zdobyć na uśmiech swobodny i wesoły, że im nie smakowały ryby i inne potrawy, z których każda jako wyłącznie w dniu tym używana, była wspomnieniem, pamiątką z lepszych czasów.

Późno wieczorem, gdy matka wraz z synami zasiadła przy ognisku, po ożywionej nieco gawędce, znów nastąpiła chwila ciszy, jakby anioł wspomnienia przeleciał po nad głowami zgromadzonych.

— Mój Boże! rzekł Feliks, co to niegdyś za dobrych czasów bywało uciechy o tój porze!

— Prawda, odparł Antoni. Mamo! czemuż nie zastawiłaś nam zielonój choinki, i nie ubrałaś jój w świeczki i pierniki, jak dawniej?

— Gdybym wiedziała, odparła matka, że wraz z choinką, wróciłyby dawne czasy, pewnobym o niej pamiętała. Nie żałowałabym ani pierników ani świeczek. Ale cóż, wam dziś potrzeba innych bly-

skotek, innych słodczy, a pytanie, czy za lat kilka, kilkanaście, to co was dziś łądzi i zajmuje, nie stanie się takim czczem wspomnieniem, jak dziś wspomnienie dawnych uciech, czy z takimże politowaniem nie spojrzycie w dzisiejszy stan waszój duszy, który będzie już przeszłością, jak teraz przypominacie sobie chwile, gdy was zajmowały drzewka ubrane w kolorowe stoczki i złote orzechy!

— Nie, matko odparł Feliks, każde wrażenie każda pocięcha w życiu, którój zasadą jest prawda, świeci zawsze w przeszłości, jak gwiazda, i nie przyćmi jój wpływ czasu. Człowiek tylko zepsuty nie szanuje wspomnienia, a przecież są chwile, że pamięć niewinnego dzieciństwa, i uludnój młodości goni go wśród mętów dalszego życia, i staje się dlań gorzkim wyrzutem, jeżeli własną winą zmaćcił źródło niewinnych uciech, w których spoczywa tyle uroku!

— Prawda, dodał Antoni, co do mnie, nie mogę bez łez pomyśleć, o owój choinie niegdyś tak gorąco upragnionój i oczekiwanej i doprawdy nie żartuję, ale ucieszyłbym się szczerze, gdybym dziś zobaczył ją na stole!

— Moje dzieci, rzekła smutno matka, nie łą-

twiejszego, jak o drzewko, stoczki i orzechy; mogłabym wam sprawić tę uciechę, ależ tu nie idzie o rzecz, ale o urok jaki tę rzecz otaczał, a trudno go wrócić skoro pierzchł na zawsze! Dobrze to i miłe w wspomnieniu, ale czémże by było w rzeczywistości!

— A choćby było i drzewko, przerwał Feliks, nie byłoby Michałówki, a nadewszystko, nie byłoby swobody i szczęścia lat dziecinnych.

— Prawda, prawda, dodał smutno Antoni, i znowu długo wszyscy milczeli.

Nie weselój przeszły i święta, przecież bolesne było rozstanie matki z dziećmi. Nazajutrz po nowym roku pożegnali ją obadwaj, puszczając się razem w drogę ku Łowiczowi, z kąd się mieli rozjechać, każdy w swoją stronę.

— Felusiu rzekła majorowa, całując i błogosławiąc syna, czuwaj nad sobą, pracuj nad wyrobieniem własnej woli, umiej być człowiekiem! Pozostań bez cienia i skazy, żebym tak jak dotąd mogła się chlubić przed sobą i Bogiem, że jesteś mojem dzieckiem.

— Bądź spokojną matko, będę ciebie godnym, nie zawiodę twój ufności, nie znieważę pamięci drogiego ojca!

I młodzian wyrwał się z objęcia matki, otarł gorące łzy z bladego lica, i wskoczył spiesznie na sanki. Antoni siadł obok brata. Konie ruszyły z miejsca i saneczki popędziły lotem błyskawicy po białym śniegu, wąską drożyną ku miasteczku.

— Wiesz co braciszku, rzekł Feliks, skoro znikł im z oczu macierzyński domek, nieźleby było, żebyś zjechał ze mną na dzień jeden do Gradowa. Pan Rolski szczerze się tobą zajmuje, wyrobił ci przeciw miejsce w sądownictwie, należałoby mu podziękować za tyle grzeczności.

— Masz słuszość odparł Antoni, spieszę się wprawdzie do Warszawy, ależ dzień jeden nie tak wiele stanowi, chcesz, mogę jechać z tobą, poznam też pannę Zofią, której tak jestem ciekawy, radbym wiedzieć jakie też wrażenie sprawi na mnie po tylu różnostronnych zdaniach, jakie o niej słyszałem.

— A które mogą ci się zdawać przesadzone, tak z jednej jak i z drugiej strony. Ale wierz mi bracie, że ja się bynajmniej nie uprzedzam.

— Wierzę ci zupełnie, i żałuję cię szczerze. Im więcej ma rzeczywistych zalet, tém położenie twoje przykrzejsze. Mić pod ręką prawdziwe szczęście, a umiść je odrzucić siłą woli, na to potrzeba wiel-

kięż mocy duszy, na którą możebym się i nie zdobył.

— Nietrzeba nigdy wątpić o sobie bracie, odparł Feliks, w tém podobno leży cała siła nasza.

— Ależ to okropnie udawać wiecznie i wiecznie, i nie móżd nawet ukazać się w prawdziwym świetle, téj którą się kocha.

— Gdyby tylko to! ale ja jeszcze w takim jestem położeniu, odparł Feliks, że ściągam na siebie najniewinniej jęj porozumienie, a nie mogę się z tego wytłumaczyć.

— Jakto? powiedz mi jaśniej o co idzie?

— Oto wystawzę sobie, na domiar złego, córka dyrektora cukrowni, dziewczyna piękna, ale zepsuta i zalotna, nie wiem sam skąd, zajęła się mną od roku, tém silniej, że jęj unikałem, zem jęj nawet nie szczędził słów prawdy. Pierwszy opór jakiego w życiu doznała, tém żywiej zapalił jęj wyobraźnią. Ściaga mnie więc nieustannie, i czycha na mnie jak szatan na dobrą duszę. Pani Rolska tymczasem która wszelkimi sposobami pragnie skłonić Zosią do małżeństwa z hrabią Alfredem, wmawia w nią że się kocham w Florentynie. Zofia nie wierzy jęj wprawdzie; jednak są chwile, że i mnie niezupełnie do-

wierza. Udaną moją względem siebie obojętność, bierze za wachanie między jednym uczuciem a drugim. Ja patrzę na to wszystko, widzę każdą jej myśl, odgaduję jej cierpienie, a przecież zmuszony jestem pozostawić ją w błędzie. To męka, której ci nawet wytłumaczyć nie potrafię.

— Pojmuję ją, ale przecież sędzę że nawet pozorem nie dajesz jej powodu do podejrzenia i że zbliżeniem się do Florentyny, nie chcesz zrazić Zofii do siebie. Byłby to może z jednej strony stanowczy sposób zerwania na zawsze uczucia, które się na nic nie przyda, ale z drugiej nie byłoby godności w twém postępowaniu; wreszcie byłbyś winnym, podniecając uczucie i zapalając głowę Florentyny, której kochać nie możesz.

— Przecież tak źle nie sądzisz o mnie bracie, a potem choć Florentyna piękna jak mówią wszyscy, ale ja jej nie cierpię. Nic niecznońskiego jak miłość niekochanej kobiety, zwłaszcza gdy serce nasze w inną skłania się stronę. O! ty nie uwierzysz co ja cierpię! Może matka ma słuszość, że chce abym się oddalił z Gradowa. Ależ to nad moje siły! jakbym ja żyć potrafił, zdaleka od niej? tego nawet nie pojmuję. Tak, wiem przynajmniej, że ją zobaczę,

zasypiam zawsze z tą nadzieją, budzę się z nią codziennie, usłyszę jój głos, tak miły i dźwięczny, popatrzę na nią choć w mroku, bo co w dzień, to i na to się nie mogę ośmielić! I dość mi na tém mój Antosiu; ależ to biedne takie życie!

— I coraz będzie biedniejsze, bo to co ci teraz wystarcza, nie długo już wystarczać nie będzie, a dalej iść ci niewolno.

— O! niewolno, niewolno, powtórzył Feliks, zaciskając oczy rękoma.

W téj chwili stanęły sanki przed wspaniałym Skierniewickim dworcem. Lokomotywa stała już przyczepiona do wagonów, dym buchał z niej czarnemi kłęby. Feliks i Antoni, pobiegli spiesznie kupić bilety w kassie, i w jednéj chwili byli już w wagonie.

— Patrzbracie, rzekł Antoni, to ten sam wagon którym jechałem z Warszawy. Aniela siedziała tu naprzeciwko obok ojca. Biedna ona, biedna! jak się téż ma jój matka?

— Pewnie nielepiej, odparł Feliks, dowiemy się coś o niej w Gradowie. Zofia odbiera co kilka dni listy od Anieli.

— O! to dobrze, nie uwierzysz jak mi jój żal. To okropnie w tak młodym wieku, przecierpieć tyle co ona.

— Ale kto doznał złego, ten lepiej może oceni dobre, jeżeli mu je Bóg ześle kiedyś w życiu, przerwał Feliks.

— Czasem złe ostudzi serce, odparł Antoni z westchnieniem, i uczyni je niezdolnem do ocenienia dobrego.

— Bywa i to, ale Aniela, mimo że wiele cierpiała nie straciła bynajmniej świeżości uczucia. Dobrze to dziewczątko, jedyna z niej będzie żona i kobieta. Wierz mi, gdybym nie kochał Zofii, mógłbym się do niej przywiązać, bo ma istotne zalety.

— Szkoda, odparł Antoni, byłbyś może szczęśliwszym, kto wie, możeby i nie pogardziła twoją ręką.

— Pewno o tém nie pomyślała nigdy. Zresztą Aniela domyśla się zapewne kobiecym instynktem, mojego uczucia dla Zofii.

— Może jój téż Zofia powierzyła swą tajemnicę, zagadnął Antoni.

— Cóżby jój miała powierzać, skoro sama powątpiewa o mnie? odparł Feliks. Znadto ona dumna,

ażeby wspominać o uczuciu którego nie jest pewną. Przekonany jestem, że lęka się nawet myśleć o mnie, żeby się nie narazić na wstyd przed samą sobą, w wypadku zawodu.

— Czy i Aniela taka dumna? zapytał Antoni nieśmiało, ale nie sędzę, nie widać tego wcale z jéj powierzchowności.

— O nie, to zupełnie co innego. U téj zawsze uczucie weźmie górę nad wszelkiem rozumowaniem.

— Wiesz co bracie, odparł żywo Antoni, nie ubliżając wcale Zofii, wolę ja kobiety ciche, tkliwe, i tylko kochające; tamte podziwiam, ale do takich bardziej skłania się serce moje.

— Zofią usprawiedliwia wyjątkowe położenie, odparł Feliks. Oburza ją nikczemność tych, którzy ją otaczają, którzy jéj hołdują w widokach jéj posagu. Co do mnie, pojmuje ją zupełnie. Pamiętam ja jéj słowa wyrzeczone do ciotki, gdy ta wszelkiemi siłami skłaniała ją do związku z hrabią. „Jeżeli pójdę za mąż, mówiła Zofia, to jedynie tylko w razie, gdy znajdę człowieka rzeczywiście wyższego duchem, usposobieniem, dążnością. Rozumiem całą świętość małżeńskiego związku, i dlatego właśnie nie myślę go zawierać lekkomyślnie, bez głębokiego przekonania że

potrafię uszanować tego, kogo nazwę mężem. W przeciwnym razie, związek dwojga ludzi nierównych usposobieniem, z których jedna strona musi koniecz- nie potępiać drugą w własnym mniemaniu, jeżeli do tego wyższość jest ze strony kobiety, taki związek podług mnie, to piekło na ziemi; na taki nie narażę się nigdy, wolę się wyrzec małżeństwa.“

— Szanuję zdanie Zofii, rzekł Antoni, ma słusz- ność, ale wyznam ci szczerze bracie, że trudne bę- dzie położenie tego, kto kiedyś będzie jój mężem. Któż jest doskonałym na ziemi? każdy ma swoje małe słabości! w pożyciu więc codziennem, pierw- szym warunkiem jest pobłażanie. Jeżeli Zofia bę- dzie nazbyt wymagającą, to albo nie znajdzie nikogo, ktoby jój się zdał godnym jój ręki, albo, co gorsza, dozna zawodu, skoro ten kogo wybierze, nie odpo- wie wysokiemu wyobrażeniu, jakie sobie o nim utwo- rzyła.

— To téż jedyna jój wada, rzekł Feliks, że nie dosyć jest pobłażającą, że wymaga nazbyt wielkiej doskonałości od ludzi, którzy zawsze są ludźmi. Wi- dzisz bracie że się nie uprzedzam, i że widzę pra- wdę.

— A jednak pewnoby cię to nie wstrzymało,

gdyby cię inne względy nie oddalały od Zofii, zagadnął Antoni.

— Zapewne że nie, odparł Feliks, owszem, są wady które należy uszanować, o ile z szlachetnych wypływają pobudek. Surowość Zofii pochodzi z prawości jój uczuć. Zresztą, możnaż się dziwić kobiecie wyższej, jeżeli pragnie aby ten kto ma być jój wsparciem, jój panem w pewnym względzie, wskazał jój w własnym charakterze, ukształceniu, mocy umysłu i ducha, rękojmią jój przyszłego szczęścia? Co do mnie, pojmuję ją zupełnie, ta okoliczność bynajmniej by mnie nie zraziła. Owszem, jój zaufanie, gdyby mi oddała rękę, i powierzyła przyszłość, podniosłoby mnie w własnym przekonaniu i zmusiło niejako żeby jój się stać godnym.

Oko młodziana dziwnym ogniem zapłonęło na te słowa.

— A jednak to być nie może, dodał smutno po chwili.

Niebawem lokomotywa zwolniła bieg, i zatrzymała się w końcu przed łowickim dworcem. Konie z sankami czekały już na Feliksa, wsiedli do nich obadwaj bracia, i lotem ptaka popędzili do Gradowa.

— Czy państwo są w domu? zapytał w drodze Feliks fornala.

— O już ciż są, odparł Stacho, przyjechali tam nawet goście na obiad.

— Któż taki?

— Adyc pono pan sędzia z Olszówki z panienką, bo widziałem jak wej sanki zachodziły przed stajnią.

— Widzisz Antosiu rzekł Feliks, spotkasz się znowu z Anielą. Prawdziwie że dziwne jakieś ściga was przeznaczenie.

— Żartuj sobie, braciszku! poczekaj, oddam ja ci za swoje. Tylko że ty biedny, to i żartować z ciebie nie ma chęci.

— Co do mnie, odparł Feliks, nie będę miał wcale tego skrupułu, bo téż i położenie twoje lepsze. Bylebyś tylko chciał i umiał się podobać, to i dostaniesz Anielę.

— O najważniejszój tylko rzeczy zapomniałeś mój drogi, to jest o sposobie utrzymania żony. Wiesz że dotąd nie biorę i złamanego grosza, przy usilnem staraniu i pracy, dostanę może niedługo przeszło tysiąc złotych pensyi; przyznaj sam, że to nie dość świetne położenie, aby myśleć o żenieniu.

— Prawda, prawda mój Antosiu dowiodłem w tej chwili, że bardzo jeszcze młody.

I zamyślili się obadwaj. Antoni stawiał w myśli zamki na lodzie, przechodził marzeniem stopnie podpisarza, pisarza, assessora, aż do sędziego trybunału. Feliks nie marzył o przyszłości, jemu dość było na tym że dziś wieczór zobaczy Zofię po dwutygodniowym niewidzeniu; o resztę bynajmniej nie pytał.

Ósma godzina wybiła właśnie gdy sanki zatrzymały się przed oficyną na dziedzińcu w Gradowie. Walentowa wybiegła przed się, na powitanie Feliksa.

— Przedstawiam pani Walentowej, mego brata Antoniego, rzekł Feliks ściskając za rękę starą służkę. Oto moja poczciwa opiekunka, i szczerą przyjaciółką.

— Oj że szczerą to szczerą, nie ma co o tym mówić. Kocham ci ją panie, jakby rodzone moje dziecko, bo i któryby to tego nie kochał, nikomu wody nie zamąci. Już chwała Bogu, drugi rok mieszkamy w jednej sieni, a nigdy przecież marnego nie rzekł słowa.

To mówiąc wprowadziła ze świecą obudwóch

braci do pokoju Faliksa, w którym palił się suty ogień na kominie, nałożony jój staraniem.

— Oj tęskno téż tu było bez panicza, mówiła układając na stole zawiniątka, które Stanisław dobył z sanek, ale nie mnie tylko samój było markotno, znaleźliby się i drudzy, co im jakoś okrutnie ciężło coś na serduszku. Już ja tam więćej nie powiem, niech się panicz sam domyśla. Stara Walentowa nie plotka, umie trzymać język za zębami.

— No i któż to taki tęsknił za Feliksem? zagadnął Antoni, to już nikt, chyba panna Florentyna.

— No proszę, zkąd to już panicz wie o tój Francuzicy. Oj młodemu toć jeno dziewczęta w głowie! i nie dziwota jako żywo. Ale licha tam Francuzicy tęsknota dokuczy, Panie odpuść, jój aby młody szepnął co na ucho, już i rada jakby ją kto na sto koni wsadził. Czy ten, czy ów, toć jój wszystko zarówno. Zrazu była niby jakaś markotna, aż pobladła kiedym ją widziała w pierwsze święto w kościele, ale za to w święty Szczepan jak się tu cała hołota zbiegła do pałacu, toć i hulali na złamanie karku, a młody hrabia, jak jął palić koperczaki, i szwargotać raz na raz po francuzku komplementa do ucha pannie, toć jój oczy ledwie nie wyskoczyły z głowy.

— To coś pan hrabia już nie myśli jak widać o pannie Zofii? zagadnął Antoni.

— Ba i bardzo nie myśli, powiedziała bym ja tu zaraz przysłowie, jedno że nie chcę obrazać uszu paniczyków. Widzi że mu się to na nic nie zdało, to też i zwija nieborak chorągiewkę. Cóż robić? w niebytności jegomości, dobry i pan Podstarości! tak też i pan hrabia: widzi że nie dostanie panny Zofii, dalsze do Francuzicy. Poczuł on dobrze, że stary Farmazon ma pieniądze, zresztą kupić nie kupić, portargować nie zawadzi, nie darmo pono mówią ludzie. Oj! nasza panna ma rozum, że tego hrabicza nie chciała, choć jej pani niemało naturbowała głowy. Alboż to panna Zofia nie warta czegoś lepszego?

— Oj zapewne że warta, rzekł Feliks, ale czy znajdzie to czego warta, w tém wielkie pytanie.

— Dla czego nie? odparła stara sługa, ze znaczącym uśmiechem. Alboż to tam nieboszczka nie czuwa w niebie nad swoim dzieckiem? Wiem ci ja o tém, że jak słońce na niebie, wymodli ona u Pana Jezusa szczęśliwą dolę dla panienki. Stara Walentowa nie w ciemie bita, wie ona dobrze co się święci, choć o tém ani piśnie.

Podczas gdy stara gawędziła, Feliks poprawiał

szczotką, rozrzucone w podróży włosy, stojąc przed małym zwierciadłem przybitym do ściany. Antoni czyścił suknie miotelką.

— Są podobno goście w pałacu?

— E jestci sędzia z panną Anielą, przyjechali na pożegnanie, bo jadą w przyszły tydzień do Warszawy z chorą panią sędziwą. Podobnoć już nieboga nie powróci do Olszan.

I dobra kobieta wzięła miotelkę z rąk Antoniego, i oczyściła obudwom suknie z pyłu i kurzu. Wkrótce obadwaj bracia byli zupełnie gotowi do przedstawienia się w pałacu.

Feliks z bijącym sercem wszedł naprzód do jadalnej sali, prowadząc za sobą brata. Pan Rolski powitał obudwóch z zwykłą uprzejmością, pani Rolska z małym skrzywieniem twarzy. Zofia zbladła ujrawszy Feliksa, podała mu na powitanie chłodną i drżącą rękę. Błada Anieli zapłonila się leciuchno na widok Antoniego.

Rozmowa zawiązała się ogólna. Pan Rolski wypytywał Feliksa o matkę. Antoni zbliżył się do Anieli, i przypomniał znajomość zawiązaną w wagonie.

— Domyśliłam się zaraz, rzekła, że pan musisz

być bratem pana Feliksa, szczególnie wprawdzie podobieństwo.

— Nic dziwnego, jesteśmy bliźniętami. Teraz to podobieństwo znikło cokolwiek, ale co dawniej, to nas rodzice zaledwie mogli rozróżnić.

— Musi między panami zachodzić zarówno moralne podobieństwo, tak w usposobieniu, jak i w guście.

— Nie sędzę, odparł Antoni, inne okoliczności, inne wpływy działały na nas w odmienny sposób. Pani podobno wyjeżdża do Warszawy?

— A tak! smutna konieczność zmusza nas do tego. Biedna matka coraz słabsza, nic nie pomogły lekarstwa przywiezione naówczas.

Łzy zakręciły się w jasnym oku dziewczęcia. Antoni patrzył na nią głębokiem przejęty współczuciem.

— Nie trać pani nadziei, rzekł, nie brak przecie umiejętnych lekarzy, zresztą wszystko w mocy Boga.

— O! to ja mu też ufam jedynie!

Zofia zatrudniona herbata, nie ośmieliła się spojrzeć na Feliksa. On z swój strony zdawał się być wyłącznie zajętym rozmową z panem Rolskim, któ-

ry opowiadał mu, jakie ulepszenia postanowił zaprowadzić w cukrowni.

— Dobrze żeś też przyjechał, mój Feliksie, rzekł, bo mi stary francuz bruździć zaczyna, kto wie, czy się nie rozstaniemy z sobą od wiosny. Zdaje mi się, że teraz damy sobie radę bez niego.

— Bez niego jak bez niego, przerwała pani Rolska, ale co bez panny Florentyny, to smutno będzie podobno w Gradowie.

Feliks zapłonił się na te słowa, czując że do niego wyłącznie były wymierzone. Zofia zbladła bardziej niż przed chwilą.

Antoni zbliżył się do sędziego, słuchał cierpliwie dłużej jego gawendy. Zabrawszy bliższą znajomość, prosił o pozwolenie odwiedzenia go w Warszawie. Sędzia szczęśliwy, że będzie miał wyrozumiałego słuchacza, zwykłych swoich dykteryjek, od których wszyscy znajomi stronili dosyć niedelikatnie, przyjął z zadowoleniem życzenie młodziana.

— Żebym tylko dostał wygodne mieszkanie w Warszawie, rzekł do Antoniego, bo to w téj porze, niekoniecznie o to łatwo, każdy przez zimę trzyma co znalazł, a w hotelu z osobą chorą, nie koniecznie dogodnie.

— Jeżeli pan Sędzia pozwoli, mogę się tём zająć, odparł Antoni, mieszkając w Warszawie, przyjdzie mi to z łątwością.

— Ależ nie śmiałybym pana trudzić, jednak jeżeli to być może, zrobiłbyś mi nieocenioną dogodność.

— Z największą przyjemnością, nie omieszkam uwiadomić listem pana dobrodzieja, skoro tylko wynajdę coś stosownego.

Sędzia opowiedział obszernie i dokładnie jakiego żąda mieszkania: dał Antoniemu adres, i prosił o rychłe zawiadomienie.

Antoni nie posiadał się z radości, że znajdzie wstęp do domu rodziców Anieli, w której coraz to więcej odkrywał powabów i zalet.

Sanki Sędziego zaszły przed pałac. Pan Rolski prosił i nalegał na sąsiada, żeby zanocował w Gradowie, przedstawiał niebezpieczeństwo nocnej podróży. Sędzia byłby się wreszcie dał i nakłonić, ale Aniela spieszyła się do choréj matki. Po wieczerzy zatém wraz z córką odjechał do domu. Feliks z Antonim udali się do siebie.

Noc była przesłiczna, księżyc rzucał srebrne promienie na ziemię, zasłaną śnieżnym płaszczem, nagie gałęzie drzew odbijały czarno na tle jasnéj nocy.

Mróz brał silny, śnieg chrupał pod nogami, gwiazdy iskrzyły się na niebie podwojonym blaskiem. Obadwaj bracia, nie myśląc jeszcze o śnie, poszli do ogrodu, i prowadząc się pod ręce, przebiegali kręte jego ulice. Długo milczeli głęboko.

— Biednyś ty Feliksie, rzekł nakoniec Antoni, o! ale stokroć biedniejsza ona!

— Dla czego?

— Bo ty wiesz co czynisz, wiesz że kochasz, żeś kochany, a ona idzie na oślepa. Kocha cię, a jednak oburza się na własne uczucie, bo nie wie czy podzielone! Przechodzi ciągle z zwątpienia w nadzieję, z nadziei w zwątpienie. To stan okropny! Myśl jej nie ma na czem spocząć, podejrzenie mąci jej pokój. I ja tak kiedyś kochałem pierwszą miłością, było to zapewne dzieciństwo, boć i ja byłem prawie dzieckiem, ale jednak cierpiałem jak człowiek! Widać z całej postaci Zofii jak cierpi, choć siłą panuje nad sobą. Wzrok jej, ruchy nawet są gorączkowe, co raz to inne. Wiesz ty, że życie takie to męczarnia!

— Wiem, wiem, pojmuje! mój Boże, i ja to, tak dreczyć ją muszę. O! to okropnie! Ale żebyś ty wiedział, jak ona zmieniona! dopóki widywałem ją

codzienn, nie dostrzegałem różnicy. Zbladła, wychudła, rysy dziwnie się wykończyły, oko zapadło i zapłonęło. Jednak piękniejsza mi się zdaje niż kiedy.

— To kwiat, odparł Antoni, na który słońce rzuciło pełnym promieniem, barwy stały się zrazu świetniejsze, ale chwila jeszcze, a zwiędnie pod spiekami, jeżeli go rosa nie orzeźwi.

— Nie orzeźwi, nie, nigdy! odparł Feliks smutno.

— Ależ nie pojmuje, odparł Antoni, jak ją można było nazwać brzydką: rysy poprawdzie zwyczajne, ale ileż w nich wyrazu, jakie życie, jaka myśl wybija na czole!

— Więc i ty zgadzasz się na to, a więc to nie tylko moje uprzedzenie, zagadnął z żywością Feliks.

— Zgadzęm się najzupełniej.

— A Aniela jakże ci się wydaje?

— O śliczna, i miła jak anioł!

— I dobra jak anioł, rzekł Feliks.

— Wiesz co bracie, że ja nie ręczę za siebie czy jej nie pokocham duszą całą, przy częstszój sposobności widywania, na co się jak widzę zanosi; ale czyżby ona chciała, czyżby mogła podzielić moje uczucie, ona tak zawiedziona!

— To już twoja rzecz, mój kochany. Przekonaj ją, umiej obudzić jej ufność.

— Ależ jakim sposobem?

— Kochaj szczerze, prawdziwie, a przekonasz. Uczucie przemawia silniej, niż słowa i dowody.

— Prawda, ależ mnie równie jak i tobie, niewolno myśleć o połączeniu.

— Tak, dziś, ale kto kocha prawdziwie, ten i czekać może. Ty czekać musisz do czasu, a ja zawsze! tobie pozostaje nadzieja, a mnie nie!

I obadwaj bracia, milcząc wyszli z ogrodu, i powrócili do skromnego pokoiku w oficynie. Sen jednak nieprędko skleił oczy obudwóch.

Nazajutrz po śniadaniu, Antoni wyjechał do Warszawy.

Feliks gorliwiej niż dotąd zajął się cukrownią. Ukazywał się w pałacu, zaledwie tylko w godzinach obiadu i wieczerzy, unikał nawet spojrzenia Zofii. Ona tymczasem, postępowanie jego, tak pełne szlachetnego poświęcenia, brała za zupełną obojętność. Zdawało jej się, że gdyby ją prawdziwie kochał, nie potrafiłby tak panować nad sobą. Nie pojmowała dumy ubogiego młodziana, nie wiedziała iż poprzyściągnął matce, iż czuwać będzie nad sobą wszelką siłą.

Zresztą poszepty ciotki, która utrzymywała dla swoich widoków, że Feliks kocha Florentynę, jakkolwiek nie trafiały zupełnie do przekonania Zofii, mąciły przecież jój wewnętrzny spokój. Za silną wydawała jój się potęga wdzięków, nad wyobraźnią i umysłem młodziana, zdało jój się, że niepodobna było nie uleść im choć chwilowo. Coraz więc nieśmielszą była w obec Feliksa, ustały miłe wieczorne pogadanki, w których tak się zeszłej zimy, oboje doskonale pojmovali, ustały głośne czytania, w których każde rzewniejsze słowo, tak jednaki oddźwięk budziło w duszy obojga! Życie stało się dla nich bezbarwne, puste, czerne, i tylko przelotne spojrzenie, rzucone niekiedy w pomroku, rozjaśniało ów smutny widokraż chwilowym blaskiem, po którym ciemniej jeszcze bywało!

Florentyna przestała bywać z rodzicami w pałacu, z powodu zadrażnienia, jakie nastąpiło pomiędzy panem Rolskim, a panem Dauvais, skutkiem którego, dyrektor cukrowni, postanowił opuścić Gradów z wiosną. Feliks przecież zmuszony był koniecznie odwiedzać go niekiedy. Zofia spokojniejszą była, dopóki własnem okiem, mogła ścigać wzajemny stosunek Feliksa i Florentyny; nie dostrzegła w nim

bowiem nic zagrażającego jój spokojności. Odkąd widywać ich przestała razem, wyobraźnia, tak zwykle skłonna do tworzenia sobie słusznie czy niesłusznie, powodów do udręczenia, przedstawiała jój wszystko w zastraszającym świetle. Pani Rolska, odgadując instynktowo, co się działo w duszy Zofii, nie szczędziła z swój strony codziennych pocisków. Dobre serce było zapewne powodem jój działania, boć ona chciała szczerze wybić z głowy siostrzenicy chwilowy obłąd, chciała ją widzieć szczęśliwą, chciała mieć z niój hrabinę, a zdawało jój się, że tym jedynie sposobem trafi do celu.

VIII.

Mijały dnie jeden za drugim, na pozór jednostajnie. Błysły pierwsze promienie wiosennego słońca, spłynęły zimowe śniegi i lody, zielona trawka ukazała się, zrazu gdzieniegdzie, nakoniec zasłała jakby kobiercem, ogród i dziedziniec w Gradowie. Bocian przyleciał z dalekich krain, i zasiadł na lipie w rogu podwórza, jakby tajemniczy zwiastun pomysłniejszej doli. Jaskółki zaczęły krążyć nad wodą, i lepić gniazdka pod gzymsami murowanego dworu. Skowronek wzbijał się w niebo, witając pieśnią wiosną i słońce, zbudziła się przyroda, pączki na drzewach pękały i zamieniały się zwolna w drobne bla-

do-zielone listeczki, pierzchały na niebie szare obłoki, ale nie pierzchał wraz z nimi smutek, ciężący w znękanym i cierpiącym sercach, nie zabłysła w nich nadzieja. W usposobieniu Feliksa i Zofii, wiosna zamiast tchnąć w nich mimowolną otuchę, stała im się nieznośną.

Feliks miał wyjechać na wielkanoc do matki, po świętach zaś miał niebawem powrócić do Gradowa, z powodu bliskiego oddalenia się pana Dauvais. Cukrownia wprawdzie iść przestała, jak zwykle na wiosnę. Pan Rolski przecież pragnął, aby Feliks był obecnym przy odbiorze fabryki, której zarząd główny obejmował odtąd na siebie.

— Zdaje mi się, że przez lato nie będę panu potrzebnym, rzekł młodzian w dzień odjazdu, przy śniadaniu, do pana Rolskiego, podczas gdy wszyscy zgromadzeni byli w jadalnej sali. Zakończę rachunki z panem Dauvais, powrócę zaraz po wielkiej nocy; a potem jeżeli pan pozwolisz, wyjadę na kilka miesięcy do matki.

— Co ci też w głowie, mój Feliksie? odparł pan Rolski, co tam będziesz robił, powiedz mi mój kochany? tu przynajmniej obznajmisz się z postępowem

gospodarstwem, a i to nie będzie dla ciebie bez korzyści.

— Chyba że mogę być panu w czemkolwiek użytecznym, w takim razie chętnie pozostanę.

— Nie o to idzie wcale, ale raz że mi przykro rozłączać się z tobą, a potem tu idzie o ciebie samego.

— Jaki też z ciebie samolub, mój Edwardzie, rzekła z złośliwym uśmiechem pani Rolska, chcesz gwałtem utrzymać przez lato u siebie pana Feliksa, bez względu, że mu to zapewne, nie sprawi przyjemności. Oj mężczyźni, mężczyźni! jak wy też krótko widzicie!

— I dla czegożby mu miało być źle w Gradowie? odparł mąż, będziemy sobie codzień objeżdzać wioski konno, jak przeszłego roku, będziemy chodzić do żniwa albo sianokosu, toćto są wiejskie przyjemności, którym nie można odmówić pewnego powabu. Zresztą i ogród taki piękny w Gradowie!

— Tak, ale to wszystko, coś wyliczył mój mężu, to ciało bez duszy. Zeszłego roku, mogło to bawić pana Feliksa, w tym roku będzie mu przykrem, jako bolesne wspomnienie.

Feliks zbladł na te słowa, Zofia drżała jak liść, nalewając wujowi herbatę.

— A to co innego, rzekł pan Rolski z uśmiechem, w takim razie uwalniam cię mój drogi, jesteś panem siebie, nie chcę nikomu stawać na drodze. W każdym razie jednak, spodziewam się że zechcesz pozostać w moim domu; ztąd zaś, możesz jeździć gdzie ci się tylko podoba, chętnie ci dam koni, ile razy zajądasz.

— To już najwyższy dowód współczucia mego męża, rzekła z uśmiechem pani Rolska, pod szczęśliwą gwiazdą urodziłeś się panie Feliksie.

Feliks nie odrzekł ani słowa, zbliżył się tylko do pana Rolskiego, uścisnął mu rękę na pożegnanie, z głębokiem współczuciem.

— Dziękuję ci panie, dziękuję za wszystko, a najbardziej za twoje serce dla mnie.

— Ależ zostaniesz, nieprawdaż?

— Zostanę, odparł zcicha.

Pan Rolski przycisnął go do piersi, łza błysła w oku Feliksa, otarł ją nieznacznie, nie uszło to przecież uwagi dobrego pana Rolskiego.

Młodzian skłoniwszy się zdaleka pani Rolskiej i

Zofii, wybiegł z sali, wskoczył spiesznie na zaprzężoną bryczkę i pojechał drogą ku Łowiczowi.

— Czyby on ją na prawdę kochał, rzekł pan Rolski do żony, nie raz mi o tém mówiłaś, ale mi się to jakoś nie zdawało; teraz przecież zaczynam coś przemyślać, doprawdy o mało że się nie rozpląkał, szkoda chłopca, szkoda jako żywo!

Po herbacie Zofia oddaliła się spiesznie do swego pokoju; niepojęta tęsknota ścisnęła jój serce, padła na sofę, załamała ręce z boleścią.

— Matko, pomyślała spojrzawszy na obraz, który zdał się oglądać na nią z łagodnym i smutnym uśmiechem, matko, czemuś mnie odstąpiła? O mój Boże! tak cierpieć a do tego samotnie bez wsparcia, bez współczucia, bez promyka nadziei. O! to nadto! to nadto! Gdzie moja siła, z której niegdys tak się chlubiłam? pierzchła jak sen! tak, byłam niby silną, dopóki wicher nie zawiał, dopóki w sercu była cisza i pokój! teraz gdzie się podzieje? co mam czynić? Do koła tak pusto, chłodno, o! lepiej to podobno nie znać światła, niżeli otworzyć na nie oczy, pochwycić duszą, a potem utracić na zawsze!

On mnie nie pożegnał, pomyślała potem, wspierając tęskną głowę na rękę, nie spojrział na-

wet, on widzi że go kocham, boli go moje uczucie, bo sam odpowiedzieć na nie nie może! chciałby je stłumić, dlatego zbywa mnie chłodną obojętnością. O mój Boże!... jakież to poniżenie! Ukarales mnie Panie, w mojej dumie!... ja tak byłam pewną że nigdy nikogo nie pokocham, że nikt mnie niegodzien, a tu przywiązałam się duszą całą... A on mnie nie kocha... co gorsza, kocha inną.

I długo biedna siedziała nieruchoma, napół martwa, łzy płynęły po jej zbladłej twarzy, ciche łkanie wydierało się kiedyniekiedy z tęsknej i zbolałej piersi.

Walentowa weszła ostrożnie do pokoju. Zofia otarła oczy, podniosła głowę.

Stara sługa objęła z uczuciem nogi swjej panienki.

— O! moja jagódka rzekła po chwili, czemu ty mi tak marniejesz. Panie wola twoja! ale to się styra istnie jakby nieboszczka.

Zofia zapłakała słysząc słowa pełne współczucia dobrej kobiety.

— O! nie płacz, nie płacz panienko, wszystko w mocy Pana Boga. Najświętsza Panna wyprosi ci

pociechę, niedarmo codzien ją o to błagam, bądź dobrej myśli moja ty jagódko.

Zofia chciała coś odrzec, nie mogła, zacisnęła tylko oczy z boleścią, upokorzona że nie była w stanie ukryć łez i cierpienia.

— Powiedz panienko, co ci jest? toć ci lżej będzie na sercu. Stara Walentowa choć sobie prosta i biedna kobieta, aleć przecie ma serce jako żywo.

— Wiem o tém moja droga, to téż wasze przywiązanie jest mi jedyną w życiu pociechą.

— Oj zapewne, nie należy gardzić sercem choć prostem, odparła Walentowa, toć to zawsze najlepsza dla człowieka pociecha, kiedy go drudzy kochają. Oj panienko, szczęśliwa ty jesteś jako żywo!

— Ja szczęśliwa! odparła z goryczą Zofia.

— Oj szczęśliwa, jak Bóg na niebie szczęśliwa, rzekła stara nieśmiało. Żebyś tylko sama chciała, miałabyś niebo na ziemi.

— Co wy téż mówicie? moja droga!

— Wiem ci ja dobrze co mówię, wiem ci lepiej jeszcze cobym chciała powiedzieć, cóż kiedy nie śmiem, to i słowa jakoś nie idą.

Zofia nie rzekła nic, zbladła tylko, bo dziwne przecucie obudziło się w jej duszy.

— Czemuś mi tak zbladła jakby lilijka? rzekła wierna sługa. Oj zgadujesz panienko, co jabym chciała powiedzieć; mądrzej głowie, dość na słowie, jako żywo!

Zofia milczała przysłoniwszy oczy rękoma.

— Nie samać ty jedna cierpisz, moja jagódko, dodała zcicha Walentowa, alboż to i on nie cierpi, wiem ci ja o tém najlepšíj, boć go widzę raz na raz. Ani to nieborakowi snu, ani spokoju, wybladło to jeno i zmizerowało się daremnie. Żebyś tylko chciała panienko, wszystko byłoby dobrze, bo i co kto powie przeciw niemu? chyba to, że ubogi. A i w tém byłoby jakoś po sprawiedliwości Bożej. Toć to jeno duch nieboszczki czuwa nad wszystkim w niebie, i nie chce żeby się spełniła ludzka krzywda na ziemi.

— Jaka krzywda? zagadnęła Zofia, korzystając z gadatliwości Walentowej, i chcąc zbadać do reszty tajemnicę, której się po części domyślała.

— Jaka? oj nie pytaj mnie panienko! co ci to po-tém wiedzieć, ależ w twojej mocy naprawić wszystko, jako żywo.

— W mojej? rzekła Zofia zcicha. O! nie w mojej, moja droga.

— Jużciż w niczyjój innój; alboż to panicz nie kocha panienki? znam ci ja się na tém, niedarmo człowiek zjadł zęby na świecie. Widzę ja wiele rzeczy, choć niby na nic nie patrzę. A że nieborak nieśmiały, toż mu się i dziwić nie można. Żebyć miał majątek, jak mu się to należy po sprawiedliwości, toćby zaraz inakszą śpiewał piosneczkę, ale tak to potulny nieboraczek jak trusia. Do panienki by to należało, ośmielić go choć słówkiem, choć oczkiem; ej nietrzeba to was tego uczyć pono, wy to samo umiecie!

Zofia z wewnętrzną pociechą słuchała słów starój sługi, której dziwnie trafiały jój do przekonania, i goiły rany zbolełego jój serca. Walentowa ośmieliwszy się, byłaby mówiła bez końca, gdyby nie Dorotka, która wchodząc z listem położyła koniec gawędzie.

— A to zkąd? zapytała Zofia?

— Z poczty, proszę panienki.

Zofia poznała pismo Anieli, rozłamała pieczętkę spiesznie.

„Moja jedyna Zosiu! pisało dziewczę, do kogoż się

udam, jeżeli nie do ciebie, w ciężkiem mojem nieszczęściu? Biedna matka! bardzo i bardzo chora! już nawet doktorzy żadnej nie czynią nadziei. Nie mówię ci co cierpię, bo na to nie ma słów podobno, tak upadłam na duchu i sile, że nie wiem sama, jakim sposobem żyję jeszcze. Ojciec raz na raz musi wyjeżdżać do domu, gdzie pozostały drobne dzieci. Pan Antoni odwiedza nas wprawdzie codziennie, opiekuje się nami, niech mu to Bóg nagrodzi, ależ to wszystko niedosyć. Czemuż nie ma tu ciebie, Zosiu droga! twoja obecność pokrzepiłaby mnie, dodałaby mi siły i odwagi. Napisz do mnie kochanie, pociesz mnie choć listem; znam cię, wiem jak pojmujesz przyjaźń, wiem że potrafisz podzielić mą boleść, jak inni umieją dzielić radość i uciechę usuwając się w ciężkiej chwili.“

Zofia przeczytawszy list przyjaciółki, udała się natychmiast do pani Rolskiej, i oświadczyła jej chęć wyjechania w dniu następnym do Warszawy, w towarzystwie stariej Walentowej.

— Ależ, moja Zosiu, zniszczysz sobie zdrowie niewywczasem i niewygoda, rzekła ciotka, już i tak niedobrze wyglądasz.

— Trudno uważać tylko na siebie, moja ciociu, od-

parła Zofia. Biedna Aniela, niepodobnaż ją zostawić samą w takim nieszczęściu.

— A jest tam pan Antoni, to jój z nim nie tak smutno, rzekła z przekąsem pani Rolska.

— Co może pocieszyć córkę, gdy patrzy na umierającą matkę? odparła Zofia z oburzeniem.

— Skądże on się tam tak wkłęcił? Ci panowie jak widzę, dobrze o sobie rozumieją, i wysokie mają widoki.

— A któż dziś w ten błąd nie wpada? podobno i hrabia nie lepszy.

— Uprzedziłaś się do niego Zosiuniu, zresztą za tym przemawia tytuł przynajmniej.

— Tytuł! odparła Zofia. O! to zamało do popobania się, do pozyskania serca.

— Przyznajże kochanko, że zawsze hrabia mniej okazuje się dumnym, starając się o ciebie, niżeli ten biedak Feliks, ośmielając się myśleć o pannie Florentynie, rzekła pani Rolska patrząc bacznie w oczy Zofii.

Ona zbladła na te słowa, pociemniało jój w oczach, była jednak o tyle panią siebie, że żadnem poruszeniem nie zdradziła tego, co się działo w jój duszy.

— Co dziwnego? dodała ciotka, panna piękna,

a to przecież niemała jest ponażą dla młodego chłopca; w późniejszym wieku tak jak naprzykład hrabiego mniej się zwykło uważać na powierzchowne zalety, a potem wszyscy mówią, że będzie miała parę kroć sto tysięcy posagu, ojciec niemałe zrobił pieniądze na cukrowniach, toczy to był wielki los dla Feliksa.

— A więc będę się wybierać do Warszawy, rzekła Zofia nadając sobie spokojną postawę, choć pot zimny wystąpił jój na czoło.

— Jeżeli chcesz koniecznie, toć ja nie mam nic przeciw temu.

— Dobrze więc, wyjadę jutro rano. I to mówiąc wyszła do swego pokoju, posłała po Walentową, i oznajmiła jój zamiar rychłego wyjazdu.

Nie będziemy ścigać Zofii w jój podróży do Warszawy. Małoż to w życiu smutku, łez i niedoli? po codrażnić myśl okazując obraz choroby, śmierci i żałoby, obraz na który patrzą codziennie oczy nasze, a do którego przecież nigdy nawyknać nie mogą. Powiemy więc tylko, że dobra Zofia patrząc na ciężką boleść Anieli, przestała zupełnie myśleć o sobie. Obraz Feliksa kreślił się wprawdzie w jój duszy mimowoli zwłaszcza na widok Antoniego, który zupeł-

nie przypominał brata, szczególnież gdy nie byli razem, przecież silna i odważna umiała otrząsnąć się z osobistej boleści i zająć się wyłącznie tém, co jój nakazywał przyjęty dobrowolnie okowiażek. Dzieliła więc z Anielą trudy i niewyuczasy, pocieszała umierającą sędzinę czytając jój pobożne książki, i wskazując prawdziwą pociechę w niebie. Tym sposobem w miarę jak usiłowała przekonywać drugich i sama zwolna nabierała siły i otuchy.

Przy końcu kwietnia biedna sędzina oddała Bogu ducha, żegnając męża, błogosławiąc córkę, a biedniejsza od niej Anieli, gorzko oplakiwała swoje sieroctwo, i tuliła się z głębokiem uczuciem do Zofii, widząc w niej jedyną pociechę, jedyne wsparcie na przyszłość.

Po pogrzebie małżonki, sędzia odjechał do domu, umyśliwszy zabrać ztamtąd małych chłopców i przywieść ich do Warszawy na pensyą. Zofia zabrała Anielę i pojechała z nią do Gradowa.

Przybyły obiedwie wieczorem jednego z pierwszych dni maja. Czas był prześliczny, głęboka cisza panowała w powietrzu. Na dziedzińcu rozchodziła się woń świeżo rozkwitłych bzów i innych krzewin. Drzewa owocowe okryte śnieżnym kwiatem pięknie

wyglądały z po za parkanu, oświecone srebrnym promieniem księżyca. Gwiazdy migotały na pogodnym niebie, noc tajemniczą osłoną otaczała wszystko do koła.

Aniela niepokieszona po swęj stracie, na widok pałacu w Gradowie, przed którym zatrzymał się powóz, zapłakała gorzko. Pan Rolski z Feliksem, przechadzali się właśnie po dziedzińcu; zbliżyli się do pojazdu. Gospodarz domu wysadził Anielę, poprowadził po wschodach na ganek. Feliks rad nie rad podał rękę Zofii. Ona wsparła się drżąca na ramieniu młodziana, księżyc w pełni oświecił nagle twarz jęj bladą i pełną uroku, w chwili gdy Feliks objął ją okiem nieśmiało, w nadziei że cień wieczorny pokryje przelotne spojrzenie. Zadrżeli oboje mimowoli. Feliks widząc jęj dziwną bladość i smutek rozlany w całej postawie, przestał być panem siebie, przycisnął z głębokiem współczuciem jęj rękę do wzburzonęj piersi. Zofia zachwiała się; jakiś cień przebiegł jęj przed oczyma, serce uderzyło podwójnie.

Ale niebawem Feliks poprowadziwszy Zofię do sieni, skłonił się w milczeniu i odszedł do siebie:

ona pozostała sama, z marzeniem i dziwnym promykiem nadziei, zbudzonym w duszy przelotnie.

Aniela i Zofia poszły na chwilę do salonu, gdzie siedziała pani Rolska, w towarzystwie Miss Loeven, i małych dziewczynek. Pan Grelot Francuz, trzymał przed sobą otwarte francuzkie *Illustration* i przeglądał ryciny. Aniela tłumiąc łyzy odpowiadała jak mogła na grzeczne słowa gospodyni domu. Po chwili jednak Zofia powstała i opuściła salon, wraz z przyjaciółką.

Długo obiedwie usnąć nie mogły. Aniela myślała o matce, o swém sieroctwie, niekiedy może przelotne wspomnienie Antoniego zaświeciło na ciemnym tle jęj myśli, jak błysk na pochmurzonym niebie, mimo to dusza jęj smutna była, a serce boleśnie ścisnięte.

Zofia czuła jeszcze drżący uścisk ręki Feliksa, czuła jego wejrzenie gorące, pełne dziwnego wyrazu.

— On mnie kocha, pomyślała w najtajniejszej głębi duszy, i niepojęte szczęście unosiło jęj pierś młodzieńczą. Nie mogła przecież zasnąć, boć serce odwykłe od pociechy, nie łatwo się z nią oswoi, a ból i szczęście, za blisko się stykają, aby nie miały jednych wywierać skutków. Kto wiele cierpiał, nie

śmie podobno zaufać nadziei, jakkolwiek ta mu się pomyślnie uśmiecha.

Pan Dauvais opuścił Gradów, w niebytności Zofii. Żona jego i córka od tygodnia już były w Warszawie: to téż gdy Zofia nazajutrz po przyjeździe, zostawiwszy śpiącą Anielę w pokoju, wyszła rankiem do ogrodu, zdało jej się, że i powietrze w Gradowie czystsze niż poprzednio, i widnokrąg cały wydał jej się jaśniejszy, a myśl z większą niż dawniej ufnością leciała w nieznaną przyszłość. Piękny majowy poranek niemało się także przykładał do swobodniejszego usposobienia Zofii. Wszystko żyło nowem życiem: niebo, ziemia, słońce, wszelkie twory Boże budziły się po długim uspieniu, to téż bez wiedzy i woli, i jej młode serce dziwną zadrzało otuchą.

Płynęły znów dni jednostajnie, cicho, jak dawniej. Aniela która na prośby pana Rolskiego pozostała w Gradowie, pod tkliwym okiem i opieką Zofii uspokajała się zwolna. Ojciec odwiedzał często Gradów. Feliks mimo przymówek pani Rolskiej, nie myślał bynajmniej wyjeżdżać do Warszawy, ale gospodarował na wyścigi z panem Rolskim, czytywał książki których mu dostarczała Zofia, a nawet

czyli to wpływem wiosny, czyli téż z innego powodu zdawał się być nieco swobodniejszym, nieraz w dalekich przechadzkach odbywanych w gronie całej rodziny, podał drżącą rękę Zofii, jeśli rów lub miedza stanęły im na drodze, często w szarym pomroku wejrzenie obojga spotkało się przelotnie, tajemnie, i zbudziło w ich duszy rój marzeń jasnych i promiennych; przecież Feliks milczący był ciągle i pozornie obojętny, a Zofia nieufna i bojaźliwa.

Nadeszło lato. W końcu czerwca pan Rolski jako zawołany gospodarz zajął się wyłącznie sprzętem siana. Objeżdżał codziennie wioski położone nad Bzurą, których bujne łąki główną stanowiły ozdobę i wartość. Pani Rolska, nie zawsze chciała towarzyszyć mężowi w przejażdżkach. Troskliwa nad miarę o zachowanie swych kwitnących wdzięków, nie lubiła narażać ich na blask słońca, wiatr letni, i kurzawę, wołała zatem przechadzać się z dziećmi po ogrodzie, niżeli jeździć bez celu jedynie tylko dla przypatrzenia się tyle prozaicznym zatrudnieniom gospodarskim. Zofia za to pełna życia, lubiła nadzwyczaj przyjrzyć się zbliska każdej pracy. Urodzona i wychowana na wsi, upatrywała poezją we wszystkim co ją otaczało: najmiłszą dla niej uciechą był

widok pracującego a tak swobodnego mimo to ludu. Łąka nade wszystko dziwny miała dla niej urok: dzieckiem jeszcze będąc, lubiła biegać po smugu za ogrodem i zrywać na nim kwiaty i ziółka, lubiła deptać miękką murawę, ów wspaniały kobierzec rozslany ręką Boga. To téż ilekroć pan Rolski żądał aby mu wraz z Anielą towarzyszyła w czasie sianokosu, gotową była zawsze zadosyć uczynić jego woli. Szło jój zresztą o to, żeby jak najwięcej dostarczyć rozrywek biednej sierocie, i oderwać o ile można było jój myśl od dręczących wspomnień.

Zofia jeździła doskonale konno. Pan Rolski dawny wojskowy dobrym był jeźdzcem, mógł więc wykształcić Zofią w tym względzie, czynił to z wielkiem upodobaniem, widział w niej bowiem wszelkie warunki do wybornój jazdy. Zofia nie bała się niczego, pewną była zawsze własnej siły, lubiła się na niej opierać. Postawa jój wzniosła i kształtna usposabiała ją zarówno do tego rodzaju rozrywki. Twarz jój ogorzała, dobrze wyglądała przy czarnym kastorowym kapelusiku, kibić składna i szczupła obciśnięta amazonką, nabierała wdzięku na koniu. Zofia sama niepojęte miała w konnej jeździe upodobanie: puściwszy się po równej drodze szybkim kłusem

lub galopem, chwytając z rozkoszą chłodne i orzeźwiający powietrze, okiem dumnie wiodła do koła, ścigając uciekające drzewa i pola, uczucie siły i samodzielności budziło się wówczas mimowoli w jej duszy, napełniało ją dziwną pociechą. Aniela mniej okazywała śmiałości, przecież na żądanie pana Rolskiego, na prośby i nalegania Zofii, zaczęła się i ona uczyć konnej jazdy. Z początku ograniczała się tylko na objeżdżaniu stępo trawnika do koła dziedzińca, podczas gdy pan Rolski lub Feliks prowadzili konia za cugle, zwolna jednak i ona zaczęła się ośmielać i puszczać o swęj mocy.

— A co, panno Anielo? rzekł raz przy obiedzie pan Rolski, pojedziemy dziś konno do Zagrabia?

— Nie wiem czy podołam, odparła nieśmiało, to podobno przeszło mila odległości.

— Przez łąki bliżej nierównie, teraz woda wyschła, możemy się puścić bez obawy.

— Nie wążp nigdy Anielciu o sobie, rzekła Zofia, a dokażesz wszystkiego co zamierzysz.

— Zbytne zaufanie w siebie przechodzi w zarozumienie, rzekła pani Rolska, a to niekoniecznie dobre dla kobiety.

— A więc pojedziemy do Zagrabia, przerwał

mąż, ty żono jeżeli chcesz, możesz z dziećmi jechać wolancikiem.

— Daj mi pokój, ja w tém żadnej nie mam przyjemności. Co mi za uciecha patrzeć jak grabią siano?

— O! ja wiem, żebyś ty woląa jechać do Woli z wizytą, pokazać się w nowym kapeluszu od Adeli, co ci go przywicziono z Warszawy; ale poczekaj trochę, na wszystko się znajdzie czas właściwy, teraz pora gospodarska; ktoby tam myślał o wizytach!

— Już ja wiem dawno, że ty nigdy nie masz czasu żeby mi sprawić przyjemność.

— No, nie gniewaj się Kamilko, jak cię kocham, pojedziemy w niedzielę.

— Zupełnie jak biedna szlachta na zagrodzie, odparła żona, co nie może w dzień powszedni oderwać koni od roboty. Wartoż to tobie mój kochany mieć majątek, kiedy go użyć nie umiesz?

— Użycie zależy od znaczenia jakie przywiązujemy do tego słowa, rzekł pan Rolski, przyznam ci się, że ja sto razy więcej mam przyjemności jechać na łąkę, niżeli poziewać na nudnej wizycie, albo téż zasiąść do wista lub preferansa. Co kto lubi!.. ręczę że i Zosia jednego jest ze mną zdania.

— Różne są gusta, mój wuju, to też nie należy się dziwić że ktoś lubi to, co nam nie sprawia przyjemności.

— Ależ kiedy są rzeczy, rzekł pan Rolski, które nikomu przyjemności nie sprawiają, a które wmawiamy w siebie że są miłe. Coby mi naprzykład przyszło z tego żeby kto pochwalił mój frak albo kamizelkę? kobiety tymczasem (z małym wprawdzie wyjątkiem) szczególne mają upodobanie, żeby się pokazać w nowym stroju, a zwłaszcza chcą koniecznie pobudzić drugie do zazdrości.

— Mój mężu, czy i ty nie pokazujesz twoich koni, twoich owiec, twoich wołów, sąsiadom jak się zjadą? Ja ci przecie nic za to nie mówię. Każdy swą próżność na czém inszem zakłada, ależ to zawsze próżność.

— Tak, tylko że nasza próżność nietyle kosztuje co wasza, odparł mąż, i nie tak bezużyteczna.

— Przepraszam, więcej kosztuje jeden koń w twojej stajni, niż moje wszystkie czepki i kapelusze.

— Ha! i cóż robić, przekonałaś mnie jak zawsze, radhym też wiedzieć, na czém Zosia swoje próżność zakłada, rzekł zwracając się do Zofii.

— Na uporze, czyli jak nazywa na sile i nieugiętości charakteru, na samodzielności, na zaparciu się wszelkich kobiecych słabości, a razem i kobiecego wdzięku, rzekła z przekąsem pani Rolska, gniewało ją to bowiem że mąż zawsze w każdej okoliczności wynosił Zofią nad pospolite kobiety.

— Nie tak ja wiele liczę na moję siłę, jak ci się zdaje ciociu, rzekła zapłoniona Zofia, obracając w żart cierpkie słowa pani Rolskiej. Proszę Boga żeby mi ją dał, to prawda, bo szczęśliwy kto ją otrzyma.

— Nie bój się Kamilko, i Zosia potrafiłaby być kobietą, gdyby znalazła męża któryby umiał być człowiekiem. A co nieprawdaż Zosiu?

— Prawda, odparła z widocznem pomięszaniem. Feliks milczał, nie spuszczał jednak oka z Zofii.

— A więc przed wieczorem pojedziemy do Zagrabia, rzekł pan Rolski, żona niech sobie siedzi w domu, kiedy jój to miło. Panna Aniela może jechać na siwój Zosinój klacze, bo ten kucyk co się dotąd na nim puszczała, nie zaszedłby tak daleko, uważałem że się potyka.

— A na czymże pojedzie Zosia? zapytała Aniela

— Dla Zosi można okulbaczyć mojego łysego kasztanka.

— Niepodobna, przerwał Feliks, zanadto żywy, mógłby być przypadek.

— Alboż to z Zosi nie doskonały jeździec? Cóż że żywy, pewien jestem że go utrzyma.

— O niewątpliwie, odparła Zofia.

— Przecież nie chcę sobie mieć nic do wyrzucenia, rzekł pan Rolski, to lepiej wziąć gniadą od cugu.

— Tak, odparł Feliks, jeżeli tylko da wsiąść na siebie.

— Przecież ona spokojna, jak dziecko.

— Ale jak zobaczy damskie siodło, to się może przestraszyć.

— Zasłonimy jój oczy.

— Nic to nie pomoże.

— Ha, trzeba spróbować, odparł pan Rolski.

Po obiedzie w parę godzin, gdy słońce straciło palącą siłę, okulbaczone konie, ale próba się nie udała, gniada kręciła się, jakby ją kto ukropem oparzył, nic nie pomogło zasłonięcie oczów.

Feliks rad nie rad, musiał kazać okulbaczyć ły-

sego kasztanka, drząc żeby Zofia nie miała jakiego przypadku.

Wszystko jednak poszło jak najlepiej. Pan Rolski, Feliks, Zofia i Aniela, puścili się ku Zagrabiui, przez łąkę ponad Bzurą. Naprzód jechali stępą, poważnie, potem lekkim kłusikiem, nareszcie Zofia podcięła różeczką kasztanka: kasztanek spał trochę przednie nogi, chciał stawić dęba, pociągnęła za cugle silną ręką, i przywiodła do porządku niesforne zwierzę. Tyle tylko, że kasztanek, pobudzony nagle jakby elektryczną iskrą podniósł małą główkę do góry, strzygąc uszami, i coraz lżej coraz swobodniej stąpał po miękiej trawie, układając całą swą postać w nadobne kształty.

Przybywszy pod Zagrabię, wszyscy posiadali z koni. Feliks skinął na dwóch chłopaczków niedorosłych grabiących siano, oddał im cugle do trzymania. Towarzystwo nasze postępowało zwolna ku rzece ponad którą kilkadziesiąt rąk ostremi kosy, ciężło bujną i wysoką trawę. Woń ziół napełniała powietrze, ochłodzone już nieco po dziennym upale. Zofia odetchnęła swobodnie, obejrzała się wkoło, i pierwszą jej uderzyła podwójnie, na wdzięczny widok, który przedstawiał się jej oku. Bzura siną przepaską krą-

żyła wśród zielonych wybrzeży, a odbity w wodzie promień zachodzącego słońca, rozstrzelał się o jej nurty, w rozliczne odcienia. Za Bzurą z jednej strony, kończyły widnokrąg szare sosnowe lasy, na tle których liściaste drzewa odbijały malowniczo. Z drugiej strony oko tonęło w obszernej płaszczyźnie, po której widać było rozsiane wioski. Skromne kościołki z niewyniosłymi dzwoniczkami, rysowały się gdzieś na tle nieba. Gniazda bocianie sterczały nad każdym niemal dworkiem, sady i ogródki, jakby wiankami, opasywały wioski, młyny ponad Bzurą szumiały w oddaleniu, ukryte w cieniu olch zielonych; krzyże na rozstajach, a na wzgórzach wiatraki dopełniały wdzięcznego widoku. Od strony wschodu, na małym wyniesieniu, bieleły mury Sochaczewa, zrumienione blaskiem zapadającego słońca: na prawo od miasteczka, stare gruzy zamku, resztki grodu Sochaczewskich starostów, okopcone i spustoszone, przeglądały się w bystrzej Bzurze, stercząc na wyniosłym wzgórk, ponad niziną nieścignioną okiem. Na lewo klasztor Dominikanów, i naprzeciw niego drugi Dominikanek podobnego kształtu, dziś opustoszały, przywodziły mimo woli na myśl wspomnienie dawniejszych czasów.

Zofia zbliżyła się ku rzece w towarzystwie Anieli, objęła wzrokiem piękną okolicę, a oko jój zabłysło ogniem, i myśl rozburzona odbiła na czole.

— Patrz Anielciu, jak tu pięknie, rzekła wskazując ręką na lewo po za rzeką, o mój Boże, i czemuż to ludzie obojętnie poglądają na cuda, do których nawykło ich oko?

— Prawda, że pięknie, odparła zcicha Aniela, poglądając na bity warszawski gościniec, prowadzący pod górę ku miasteczku, który odbijał jak biała wstęga, na tle zielonych łąnów i pszenicy, rozciągających się szeroko z stron obu.

— A pan, czy nie pochwalisz naszej Sochaczewskiej ziemi, naszej Bzury? zapytała Zofia, zwracając się do Feliksa, który przypatrywał się okolicy w milczeniu.

— Bzury! odparł Feliks z westchnieniem, a toż to moja ukochana rzeka. Nad nią biegałem w dzieciństwie, na jej brzegu zrywałem pierwsze kwiaty. Taż sama woda, rzekł, co się tak zwolna sączy, nie dawno, dziś może, płynęła blisko mojej drogiej Michałówki, i widziała moje ciche gniazdko, gdzie mi było tak dobrze i spokojnie.

Młodzian umilkł, łza błysła mu w oku. Zofia zamyśliła się chwilę, dziwny ból ścisnął jęj serce.

— Mój Boże, pomyślała, on tak żałuje przeszłości, a jednak gdyby chciał, mógłby być i dziś szczęśliwym. I biedna, nie wiedząc o tęp pozazdrościła cichęj Michałowce, na której spoczęły myśli młodziana.

— I tam także, mówił zcicha Feliks, bieleły w oddaleniu mury, ale to były mury Łęczycy, słynnej oddawna. I tam były rozsiane do koła wieże i kościoły, ale inne, wspanialsze. Tam był Tum, pierwszy z chrześcijańskich kościołów w kraju, i góra świętej Małgorzaty, widna o kilka mil w około. Tam także wznosiły się nad miastem mury starego zamku. O! ależ to wszystko większe było i piękniejsze niż tutaj.

— Boś pan na to młodszém i szczęśliwszem patrzył okiem, rzekła Zofia, toć ci się i piękniejszym wydawało.

— Szczęśliwszém? zapytał Feliks, a w oku jego dziwny zabłysnął ogień, albo ja wiem czy szczęśliwszém? dodał zaledwie dosłyszczanym głosem.

— Ha! może to było i piękniejsze doprawdy, odparła żywo Zofia, chcąc pokryć dziwne wzrusze-

nie. Nie znam okolic Łęczycy, ale o ile słyszę, mają być pełne wdzięku.

— Niewątpliwie, odparł Feliks, przekonasz się pani sama, jeżeli kiedy będziesz w owój stronie.

— Pragnęłabym tego szczerze, rzekła z westchnieniem.

— No! dosyć już napatrzyliście się na okolicę, przerwał zbliżając się pan Rolski, pójdźmy teraz do kosarzy, poczęstujmy biedaków wódką, bo na nią niewątpliwie zasłużyli.

Zofia prowadząc pod rękę Anielę, udała się za panem Rolskim, przed którym dwóch chłopaczków niosło gąsiory z wódką. Robotnicy złożyli na chwilę kosy i skłonili się dobremu panu. Niewiasty tymczasem i młodzież, opodał nieco zagarniali grabiami wonne siano, na wielkie kopki, a wdzięczne ich pieśni rozchodziły się z wieczorną rosą, i tonęły w przestrzeni.

Podczas gdy pan Rolski częstował wódką gospodarzy i parobków, Zofia z Anielą poszły ku grabiącym siano niewiastom. Feliks pozostał za niemi.

— Cicho, rzekła Zofia, posłuchajmy co ona tam

tak śpiewa, to mówiąc wskazał dziewczę zajmujące trawę grabiami.

I coraz wyraźniej, w miarę jak się zbliżały, sły-
chać było słowa rzewnej piosenki:

Oj tam się pochmuralo,

Zkąd mi świtać miało;

Oj to moje kochanie

Zwiatrem poleciało.

Oj z wiatrem poleciało!

Z wodą popłynęło;

Bodaj takie kochanie

Na wieki zginęło!

— Słyszysz, słyszysz Anielciu, co ona śpiewa? zagadnęła Zofia.

— Słyszę, słyszę, odparła smutno, bodajby lepiej nie świtało i nie zgasło!...

— O nie, Anielciu, niech świta, choćby i na chwilę, toż choć potem uleci z wiatrem, choć popłynie z wodą, choć spochmurnieje, przecież kiedy migło jak sen, to już nie tak pusto i chłodno na świecie!

Ręka Zofii wsparta na ramieniu Anieli, zadrżała, gdy wymawiała te słowa.

— Zgadzam się na to, odparła Aniela, ale wtenczas tylko, kiedy w uczuciu była prawda, kie-

dy przedmiot ukochany godzien był serca naszego. Inaczej, zostaje tylko gorycz i oburzenie, żeśmy się zawieść dozwolili.

— O ja też nie mówię o obłędzie, rzekła Zofia, ja mówię o kochaniu!

— Tak, ale jakeśmy w obłędzie zmarnowali kwiat uczucia, odparła smutna Aniela, czyśmy godni, aby nam jeszcze zaświtało?

— Połóż rękę na sercu, rzekła Zofia z uśmiechem, i zapytaj czy już nie świta?

Lica Anieli oblały się rumieńcem, który jak zorza na pochmurzonym niebie, odbił jasno, obok żalobnej jej sukienki. Nie odrzekła ani słowa. Zofia uścisnęła jej rękę.

Pan Rolski z Feliksem, uczestowawszy kossarzy, zbliżyli się do niewiast i młodzieży grabiącej siano. Wszyscy porzucili grabie i obstąpili go w koło.

Słońce tymczasem, zachodziło wspaniale, kryjąc się za oddalone lasy. Robota skończyła się na łące. Robotnicy wzięli kosy na ramiona, niewiasty i dzieci ujęły grabie, i wszyscy podzieliwszy się na małe gromadki, szli gwarząc i śpiewając przez łąkę do domów.

— No, czas i nam kudomowi, rzekł pan Rolski, należy nam się też szklaneczka herbaty po trudzie i przejazdce. Oj! ale zdaje mi się Zosiu, że dziś nie udźwigniesz imbryka, niesforny kasztanek, strudził ci prawą rękę.

— Bądź spokojny, wujaszku, przekonasz się sam, zem ja nie taka słaba, jak ci się wydaje.

— O! ja nie wątpię o twój sile, dałaś jój dziś wielkie dowody.

To mówiąc zbliżyli się ku miejscu, gdzie chłopczki trzymali konie na munsztukach.

Zofia wskoczyła na kasztanka, wsparta o ramie Feliksa. Pan Rolski pomagał Anieli wziąć na siwą klaczkę.

Ale kasztanek zwrócony ku domowi, podcięty szpicróżgą, wziął na kiel, ruszył z miejsca jak strzała, i ani siła Zofii, ani jój zręczność wstrzymać go nie zdołały. Kapelusik kastorowy spadł jój z głowy, włosy rozleciały się w nieładzie, a koń pędził przez rowy i zagony pieniać się i parskając.

Feliks w mgnieniu oka puścił się za Zofią wyciągniętym galopem, i dokazał tyle, że doścignął kasztanka, zabiegł mu drogę, i wstrzymał za cugle silną ręką.

Zofia zsunęła się w objęcia młodziana, on ją uniósł z siodła, posadził na murawie drżącą i bladą. Przywiązawszy konie do drzewa, pobiegł do bliskiego źródła, umoczył chustkę w wodzie, i ochłodził nią pałające czoło Zofii.

— A widzisz pani, rzekł, siadając koło niej i biorąc jej drżącą rękę, że nie należy nigdy zanadto ufać własnej sile.

— O! ja też nie ufam i ufać nie będę, odparła skłaniając na pół omdlałą głowę. Włosy jej długie, rozwiane wieczornym powiewem pokryły ramie Feliksa.

On ujął jej rękę z zapalem, przycisnął do ust, i okrył tysiącem pocałunków.

— Po co mam ufać sobie, rzekła Zofia z cicha, kiedy pan czuwasz nademną?

— O czuwam, czuwam! i nigdy czuwać nie przestanę, zawołał z zapalem, i przycisnął rękę jej do piersi, a serce jego biło gwałtownie.

Zofia z cicha, nieśmiało spojrzała na młodziana, Feliks wlepił błękitne oko w jej oblicze. Wzrok ich spotkał się nawzajem, usta ich milczały, ale dusze przemawiały tajemniczymi zgłoski.

Długo, długo, siedzieli oboje nie wyrzekłszy słowa, lękając się własnego głosu, aby nie rozproszył dziwnego uroku, który ich otaczał.

Wtem tętent zbliżających się koni zbudził ich nagle. Pan Rolski z Anielą nadjechali wolnym kłusem.

— O! niegodziwy kasztan, zawołał pan Rolski, no, ależ chwała Bogu, nie było wypadku?

— Nie, mój wuju, odparła Zofia, mam tylko naukę, żeby sobie nie ufać zanadto, bo bez pomocy pana, (to mówiąc wskazała na Feliksa,) kto wie coby ze mną było.

I powstała, a włosy jój czarne i ślniące jak jedwab, okryły ją całą aż do stóp. Wiatr unosił je w rozliczne kształty.

— Niedarmo też mówi przysłowie, rzekł pan Rolski z uśmiechem, „nie ufaj nigdy koniowi i kobiecie.“ Oj niegodziwy kasztan!

— On nic nie winien, odparła Zofia, poczuł że nieudolna ręka nim włada, i chciał dowieść, że się nie da powodować słabszemu.

— O! ty masz na takie rzeczy wyrozumienie, rzekł wuj z uśmiechem.

— Zupełne, odparła Zofia.

— No, zsiądźmy i my z koni, rzekł pan Rolski do Anieli, pójdziemy już pieszo do domu, bo wątpię żeby Zosia chciała dalej probować swęj siły.

— Zapewne że nie, dosyć mi jednej próby.

— Kocham cię za to, że nie masz uporu, że nie chcesz koniecznie postawić na swoim; taką powinna być kobieta.

Chłopcy wracający z łąki, wzięli konie za cugle. Towarzystwo nasze postępowało zwolna łąką ku Gradowu. Pan Rolski prowadził Anielę. Zofia oparła się na ramieniu Feliksa, który upojony nieznanem dotąd szczęściem, cisnął do piersi jęj rękę w milczeniu.

Nim doszli do wsi, słońce zaszło zupełnie, księżyc w pełni zajaśniał na niebie ognistą kulą. Na ciemném tle nocy wschodziły gwiazdy jedna za drugą, jakby je tajemnicza zapalała ręka. Feliks ośmielony cieniem, patrzył w bladą postać Zofii. Ona nie odsuwała ręki.

I niebawem zbliżyli się do wsi, przeszli bramę, dziedziniec, i stanęli przed pałacem, z którego okien biło światło.

— Czy to już? zapytał Feliks drżącym głosem.

— Już! odparła smutno Zofia.

I weszli po wschodach na obszerny ganek, na którym siedziała pani Rolska w towarzystwie dzieci, Angielki i Francuza, prowadząc z nimi rozmowę w obcym języku.

Pan Rolski opowiedział o wydarzonym wypadku.

— Będzie to przestroga na przyszłość, rzekła pani Rolska, lepiej ja podobno na tem wyszłam, żem została w domu.

— No, ależ dajcie nam co żywo herbaty, rzekł mąż. Już dziś uwalniam Zosię od jój obowiązku.

Miss Loeven zakrzętała się około samowaru który czekał już na stole w ganku.

— Gdzie Feliks? zapytał pan Rolski, nie widząc młodziana, znikł bowiem przed chwilą.

— Poszedł zapewne czytać listy z Warszawy, odparła żona. Przywieziono je dopiero co z poczty wraz z gazetami.

Wspomnienie Warszawy przykre na Zofii sprawiło wrażenie.

Wybiła godzina dziesiąta. Feliks się nie ukazał. Pan Rolski powstał, za nim żona i dzieci, i wszyscy udali się na spoczynek.

Zofia i Aniela poszły do swego pokoju, gdzie czekała na nie stara Walentowa.

— O! moja jagódko, rzekła wierna sługa, Pan Jezus czuwał widać nad tobą i uchronił cię od wypadku. Ależ bądź na potém ostrożniejszą! Miły Boże aż włosy powstają na głowie, jak człek pomyśli co by to mogło być za nieszczęście! Oj nietrudno o nie jako żywo.

— Nie mi się nie stało, moja droga, odparła Zofia, widzicie mnie żem żywa i zdrowa jak ryba.

— Oj poczciwy panicz, niech mu pan Jezus i Najświętsza Panna da zdrowie i błogosławieństwo. Żeby nie on, Bóg wie coby było.

— Gdzież on się podział? zagadnęła Aniela.

— Dostałci jakiś list z poczty, rzekła Walentowa, i kto wie, czy nie było w nim co złego, bo widziałam przez okno jak go czytał, blady był jak chusta nieborak, a potém zasłonił oczy obiema rękami, i bodaj czy nie płakał. Jeszczem ci przecie nie ślepa, i nie mogło mi się przywidzieć. Wyrażnie biedaczysko ocierał oczy z łez. Kto wie czy mu matka nie zachorowała, albo co; nieszczęścia nie szukać na świecie!

Zofii serceuderżyło nagle, przypomniła sobie słowa ciotki, że list był z Warszawy, podejrzenie jak widmo wkradło się do jéj duszy.

Zasnęła nakoniec, kołysana naprzemiany, to nadzieją, to obawą, nie śmiejąc ani zaufać jednej, ani też, nie chcąc się dać wyłącznie drugiej ować.

Nazajutrz z rana, za ledwie słońce wcisnęło się przez otwór okiennicy, Zofia wstała, pobiegła do okna, otworzyła je, chcąc orzeźwić pałającą głowę rannym chłodem. Spojrzała na otwarte okno Felixa, ale w nim nie było nikogo. Stara Walentowa wyszła tylko z oficyny, trzymając na tacy kilka garnuszków śmietanki, i wolnym krokiem zbliżała się do pałacu.

Ujrząwszy w oknie swoją panienkę, stara sługa skinęła na Bartłomieja, który otrzepywał w ganku miotłką wczorajszą odzież pana, oddała mu tacę z garnuszkami, sama zaś poszła bocznymi drzwiami do pokoju Zofii.

— No i jakże mi się masz, kochana panienko, po wczorajszym przypadku? ej nie będzie ci nic jako żywo, takaś mi świeża i krasna, istny kwiateczek.

I pocałowała z uczuciem rękę Zofii.

— Zdrowa jestem jak widzicie odparła; całą noc spałam wybornie.

— Oj młodość, młodość, rzekła z westchnieniem stara, ale powiedzże mi panienczko, co się to tak mogło stać naszemu paniczowi, że oto przededniem,

tylko co zaczęło świtać, wyjechał, aż się za nim kurzyło.

— Wyjechał! zagadnęła Zofia, i dziwna bladość oblekła jej twarz rumianą dopiero co ze znu.

— A jużciż nie co, jeno wyjechał. Ja sama nie chciałam dowierzać własnym oczom, jak bryczka zaszła cichuteńko przed oficynę, a Stach pakował na nią rzeczy.

— Jak to? więc i rzeczy zabrał? zapytała Zofia.

— Wszyciusienkie, co do odrobiny, nawet obraz Najświętszej Panny, co go miał nad łóżkiem.

— A więc on już nie powróci? rzekła zdziwiona Aniela.

— Bogać nie co, odparła Walentowa, bo i pocóżby tak się ze wszystkim zabierał? Jak mi Bóg miły, nic a nic nie rozumiem co się święci. Człowiek ze wszystkim ciemny jak w rogu.

— Czyście co z nim nie mówili? zapytała Aniela.

— A jużciż jak wsiadał, przyszedłam go pożegnać. Panicz wsunął mi ot w rękę złoty pieniądz. „Macie to na pamiątkę moja droga, rzekł, a łza świeciła mu w oku jakby gwiazdka.

Ja się zdrażałam co prawda, ale jak jął prosić, toć i trudno było odmówić. Mój mocny Boże, samo

biedactwo niewiele ma, a jeszcze rad się i tém dziebi. Tak to bywa na świecie! jednym Pan Jezus daje siła pieniędzy, a drugim jeno pocziwe serca, aleć to pono więćej warto! Oj dobry panicz, dobry! nie dla tego że mnie udarował, bo choćby mi nie dał i margo grosza, toćbym i tak prosiła za niego Pana Boga, póki mi życia stanie.

— A pan Rolski czy nic nie wie, o tak nagłym wyjeździe? zapytała Aniela.

— Musić i wiedzić, bo wczoraj jakem ztąd wychodziła, powiadał mi stary Bartłomiej, że obadwa panowie chodzą po ogrodzie, i coś żywo rozprawiają z sobą. Ja poszłam do swojej izdebki, i nierychło położyłam się spać, bo chciałam się doczekać pana Feliksa, ale nierychło przyszedł. Zaczém powrócił, znać że wprzód poszedł do stajni, i kazał pewno szykować konie i bryczkę na dzisiejszą drogę. A może się i wcale nie kładł spać, bo i kiedyżby upakował swoje wszystkie manatki?

— I nie pytałaś go się pani Walentowa kiedy wróci? zapytała Aniela.

— A jakżebym się pytać nie miała?

— I cóż on na to?

— Powiedział że pewno nie powróci wcale.

Jak mi Bóg miły własnym uszom nie chciałam dać wiary.

— Czy to być może? rzekła Aniela, co mu się stać mogło?

— Alboż ja wiem? jużciż to nic innego, jeno ten list z poczty: coś w nim było złego jako żywo, nie darmo panicz płakał jak go czytał. A jaki był blady, kiedy siadał na brykę, zdało mi się że mu przez jedną noc przybyło z jakie lat dziesiątek.

Zofia nie wyrzekła ani słowa, wsparta ręką o okno, siedziała nieruchoma i martwa. Rozliczne myśli snuły się w biednej jój głowie, bez związku i ładu, a ponad niemi, myśl straszna, bolesna, upokarzająca odzywała się w duszy, jakby ton fałszywy. On mnie nie kocha, on mnie nigdy nie kochał, on kocha Florentynę, wczoraj chwilowy obłęd ułudził go mimowoli—odebrał list od niój, przyszło upamiętanie, i pojechał, chcąc jój pozostać wiernym.“

Żadna jednak pozorna zmiana nie odbiła na dumnym czole Zofii, łza ani jedna nie zabłysła w oku, nie przyniosła ulgi ściśniętemu i zbolałemu jój sercu.

Po odejściu starój Walentowój, którą zawołał stary Bartłomiej przez okno, Zofia długo jeszcze sie-

działa w miejscu. Aniela z głębokiem współczuciem patrzała na nią, ale nie śmiała wyrzec słowa, nie chcąc ranić zbolełego i tak serca. Niewieścim instynktem odgadła przecież i tak, co się dzieje w duszy przyjaciółki.

Ósma godzina wybiła wreszcie na zegarze. Zofia powstała z krzesła, odgarnęła włosy z czoła, przycisnęła doń chłodną i wilgotną rękę, ubrała się na prędce, nie spojrzawszy nawet w zwierciadło, i poszła wraz z Anielą do jadalnej sali, gdzie pan Rolski i dzieci oczekiwali już na śniadanie.

Zofia jak zawsze zajęła się kawą, a na jej twarzy nie było zmiany. Rumieniec silniejszy niż zwykle mógł nawet uludzić niedaleko widzące oko, pozorem zdrowia i swobody.

— Jakże mi ładnie wyglądasz, Zosiu po wczorajszym wypadku! rzekł pan Rolski. Prawdziwie dzielna z ciebie kobieta: inna jużby pewno kilka dni chorowała z samego przestrawu.

— Zanadto wynosisz wuju moję siłę, odparła Zofia z przymuszonym uśmiechem, przecież mi się nic nie stało.

— Ale stać się mogło, jak Bóg na niebie i gdy-

by nie pośpiech i zręczność Feliksa, kto wie coby z tobą było.

Na wspomnienie Feliksa, dreszcz zimny przebiegł Zofią, skryła jednak pomieszanie, nakładając z pośpiechem cukier w filiżanki.

— Wiesz przecie, że ja piję bez cukru, rzekł pan Rolski.

— A prawda, zapomniałam, przebacz mi wuju.

— Wiecie też o tem że Feliks odjechał? a co większa nie powróci przyznam się że dotąd? nie mogę wyjść z podziwienia.

— Wiem, mówiła mi o tem Walentowa, odparła Zofia, nachylając się nad imbryk od kawy, który w téj chwili zdjęła z maszynki.

— Zdaje mi, się że jeszcze nie przeleciała kawa, rzekł pan Rolski spokojnie. Zaczekaj chwilę jeszcze.

Zofia postawiła imbryk i usiadła na krześle.

— W tem jest coś jak Bóg na niebie, w tém jest jakaś zagadka, rzekł wuj przykładając rękę do czoła, jakby dla lepszego zebrania myśli. Wyjazd taki nagły, i to zaraz po odebraniu listu. Przyznam się, że nie chciałem wierzyć żonie, i śmiałem się z niej, jak mi dowodziła że Feliks kocha się w Florentynie; ale teraz przekonuję się, że tak jest, nie inaczej.

Oj kobiety, kobiety, więcéj one przeczują instynktem, niż my dosłedzimy naszém rozumowaniem.

— Ale zkądże ta pewność? zagadnęła Aniela.

— Zkąd? a pocóżby odjeżdżał? czy mu źle było w Gradowie? czy mu kto uchybil? nikt jako żywo! owszem; przywiązałem się do niego jak do syna, bo też to złote serce u tego chłopca; szkoda tylko, że zwyczajnie jak młody, nie ma dość zastanowienia i rozumu. Potrzebne mu też to zakochanie?... Francuzka trzpiot pobałamuci i odstąpi, jak się coś lepszego trafi. A choćby i poszła za niego, to przyznam się, że mu wcale szczęścia nie zazdroścę. Prawda że będzie miała jaki taki posag, ależ on mu kością w gardle stanie! pobałamucone to i popsute, jakby jaka księżniczka, a do tego głowa ze wszystkim przewrócona.

Zofia siedziała jakby na torturach, bojąc poruzyć się z miejsca, aby nie okazać pomięszania.

— Zosiu! zdaje mi się, że czekasz za długo, już kawa dawno przeleciała. Cóżeś mi taka jakaś nie swoja? rzekł pan Rolski z współczuciem, czyś aby nie słaba po wczorajszym wypadku?

— Nie, wuju, nic a nic mi nie jest, bądź pewien.

— O ja wiem, żeś ty zuch, a co, czy pojedziemy znów wieczorem na łąkę?

Zofia zbladła jak ściana.

— O nie, już nie pojedę, odparła zcicha, i zabrała się do nalewania kawy.

— No pojedziemy, pojedziemy, ale wygodnie woliczkiem.

— Wątpię, żeby była pogoda, odparła Aniela wskazując na obłoki, snujące się grubemi kłębami po niebie.

— A niechże Bóg uchroni od deszczu, przerwał pan Rolski, nie wywołujże go panno Anielo, co by się stało z mojem sianem na pokosach, a to do tego dziś wigilia Świętego Jana, niechby się tylko rozpadał, toby padał przez cale żniwa! Nie bądźże pani złym prorokiem, nie wywołuj deszczu w złej godzinie!

— Ja go téż nie wywołuję bynajmniej, odparła Aniela z uśmiechem, rada że zwróciwszy uwagę pana Rolskiego na deszcz, odwróciła ją od Zofii.

Tymczasem Zofia nałala kawę w filiżanki i szklanki, i podawała ją po kolei wszystkim zgromadzonym dokoła stołu, zaczawszy od pana Rolskiego.

Wtém pani Rolska ukazała się we drzwiach,

wyświeżona jak zwykle, w eleganckim różowym szlafrocuku.

— A co, mężu? rzekła, kto z nas miał słuszość? czy nie mówiłam że Feliks nie wysiedzi tu długo, ale jak wiatr poleci za Florentyną?

— Alboż to ty mnie raz przekonałaś moja Kamilko? przecież na ten raz nie składam jeszcze broni. Nie wyrzeknę nic stanowczo, aż się dokładnie przekonam.

— Zdaje mi się, że dowód niezaprzeczony, przerwała żona, odebrał list i pojechał.

— Nie wiesz przecie gdzie pojechał, może do matki.

— Zobaczymy, choćby zresztą i wstąpił pod Skierniewice, to przecież każdej chwili może być ztamtąd w Warszawie. Kolej trzy razy dniem idzie.

— I cóż ci przecie powiedział wczoraj wieczór?

— Prosił, żebym nie badał, jakie powody zmuszają go do wyjazdu; ale że wyjechać musi, że od tego zależy cała jego przyszłość. Pożegnał mnie ze łzami, podziękował za względy jakich przez dwa lata doznawał w moim domu. Wierzcie mi, że ja sam nie mogłem się od łez wstrzymać; szkoda chłopca, wielka szkoda doprawdy.

To mówiąc pan Rolski powstał, pocałował żonę w czoło, wsiadł na kasztanka, którego chłopiec ze stajni przyprowadził właśnie przed ganek, i popędził małym galopem przez łąkę do kosiarzy.

Zofia z Anielą wróciły do swego pokoju, i zajęły się jak zwykle. Zofia wzięła książkę, zaczęła czytać głośno, ale nie rozumiała ani słowa. Dzień płynął długo jakby bez końca, słońce też skryło się za ciemne chmury. Po obiedzie deszcz zaczął padać rzęsy. Wszyscy zgromadzili się w salonie.

Pan Rolski zły był i nie rad widocznie; chodził tylko po pokoju, trzymając w ustach fajkę na długim osadzoną cybuchu, podczas gdy rodzina cała, siedziała zgromadzona do koła stołu.

— Kaziu! rzekła pani Rolska do starszego syna, dowiedz się też, czy Stanisław z końmi powrócił już z Łowicza, i zawołaj go tu moje dziecię, jeżeli już jest w domu.

Kazio wybiegł spełnić rozkaz matki, i powrócił niebawem; za nim ukazał się w progu rażny mazur.

— Dawnożeś już powrócił? zapytał go pan Rolski.

— Przed chwilką, proszę Jaśnie Wielmożnego pana.

— Gdzież pan Feliks pojechał z Łowicza?

— A ponoć do Warszawy; widziałem wej, jak bilet kupował w kassie.

— No idź, oprzątnij konie, rzekł pan Rolski, nic już nie chcę od ciebie.

— A ha! czy nie mówiłam? zagadnęła złośliwie żona, i złośliwiej jeszcze spojrzała na Zofią, której lica w téj chwili oblekły się trupią bladością.

IX.

Tegoż samego dnia wieczorem, Antoni kończył właśnie czytać pierwszy tom *Wędrówek* oryginała, w małej izdebce na poddaszu, przy ulicy Kapitulnej. Deszcz rześisty bił w szybki jedyne okna, gdy drzwi się nagle otworzyły, i wbiegł przemokły i blady Feliks.

— Co ty tu robisz? zapytał zdziwiony Antoni, czyś nie odebrał mego ostatniego listu?

— Odebrałem wczoraj właśnie.

— I cóż cię tu sprowadza, czy interes nagły?

— Nie Antosiu, przyjechałem ot tak sam nie wiem po co; za parę dni wyjeżdżasz do matki, to i ja

z tobą pojedę; nie chciałem sam jechać... nie śmia-
łem....

— A to dlaczego?

Feliks zasłonił oczy rękami z wyrazem głębokiej
boleści.

— Domyślam się, mój drogi, nie miałeś dość siły
aby jój być posłusznym.

— Zgadłeś Antosiu, ależ to było niepodobna:
dwa lata walki strasznej i nieustannej, to nadto!...
czuwać tak nad każdym spojrzeniem, nad każdym
słowem, a do tego być codziennie razem, i kochać
tak jak ja ją kocham, o! to trudno, niktby tego
nie dokazał, każdy byłby się zapomniał, jak ja się za-
pomniałem.

— A więc wyznałeś jój?...

— Niezupełnie... ale czyż to potrzeba słów, aby
przekonać?

— Zapewne że nie, ale powiedz mi, co się stało?

Tu Feliks opowiedział bratu wszystkie szczegóły
przejażdżki dnia poprzedniego. W opowiadaniu je-
go nie było związku ani ładu.

— Źle bracie, źle się stało, rzekł Antoni, nie to
żeś się zdradził, boć niepodobna było uczynić inaczej,
pojmuję to, ale źle żeś zostawił Zofią w wątpliwo-

ści. Położenie jój musi być okropne. Sama biedaczka nie wie, czy ma tobą gardzić, czyli téż wielbić siłę twój woli i wielkość duszy. Co do mnie, wolalbym stokroć będąc tobą, powiedzieć po prostu. Ja cię kocham, kocham nad życie, ale świat, ale wola matki, ale moje własne przekonanie stawiają między nami niezwalczone tamy. Muszę uleść konieczności, muszę cię porzucić, ale pamięć twoja będzie mi drogą, będzie mi gwiazdą na resztę życia. Wierz mi braciszku, Zofia cierpiałaby i tak na twojem oddaleniu, cierpiałaby niewątpliwie, bo cię kocha szczerze; ale boleść jój byłaby mniej gorzką. Nie ma okropniejszego stanu nad wątpliwość: wówczas nie jesteśmy w zgodzie z własną myślą, nie wiemy sami na czem ją wesprzeć; to téż gorączka zapala umysł, a kto wie, może nawet i podkopać życie!

— Prawda Antosiu, odparł Feliks, dosłuchawszy cierpliwie brata, ale czy myślisz, że po takim wyznaniu byłbym miał siłę wyjechać? — nie, wstrzymałaby mnie jednym słowem, jednym wejrzeniem. Człowiek powinien chwytać chwile, w których Bóg nadaje mu moc wyższą, w których czuje się prawdziwym człowiekiem, to jest nie igraszką własnych

chęci, ale istotą zdolną poświęcić się dla własnego przekonania, dla prawdy.

Oko Feliksa jaśniało dziwnym ogniem, lica zbladły.

— Pozwól mi, rzekł Antoni, niech się pierwszy ukorzę przed tobą. Prawda Feliksie, ty umiesz być człowiekiem! dziękuję Bogu żeś moim bratem, dodał z dumą.

Chwilę trwało milczenie.

— Czy myślisz, zapytał Feliks, że ona wątpić może?

— Jestem tego pewnym, kobiety są nieufne, i nie ma dziwu, nie ich w tém wina; mężczyźni nauczyli ich nieufności.

— Ależ Zofii dotąd nikt nie zdradził, bo nie kochała nikogo.

— Mogła się uczyć cudzém doświadczeniem, ma zaraz niedaleko przykład z Anieli.... Ależ ona, powiedz mi, jak znosi nieszczęście?

— Po chrześcijańsku, z poddaniem. Zofia pracuje nad nią jak może.

— Musi być smutna?

— O, bardzo smutna! nie widziałem prawie uśmiechu na jój ustach.

— Biedna, biedna! nie mówiłeś z nią o mnie, choćby przelotnie?

— Unikałem tego: po co zapalać jój umysł? ona i tak wiele już w życiu cierpiała! co jój po nowych wrażeniach, a może i nowych zawodach?!

— Jabyś jój nie zawiódł nigdy.

— Nie znam cię jeszcze w tym względzie, mój Antosiu, przerwał Feliks, nie miałeś dotąd ani czasu, ani sposobności przekonać mnie o sile twojej woli, zresztą jesteś w Warszawie otoczony tysiącem ponęt. Gdyby cię też Aniela pokochała szczerze, duszą całą, a ty nie odpowiedział jój zaufaniu?

— Mój drogi, jakżeś ty rozważny i oględny! wierz mi, w twoim wieku, to rzecz zadziwiająca: wszystko oddajesz pod sąd rozumu!

— Alboż przez dwa lata nie pracuję nad sobą? wierz mi bracie, żadna walka nie jest dla nas daremną, każda przynosi owoc! Człowiek samotnie łamiący się z własną myślą musi koniecznie iść naprzód. Zresztą, dodał, czyż miłość i zaufanie Zofii nie podniosły mnie w własnych oczach? czyż mi nie były pobudką do wyrabiania własnego ducha? Bóg nas skazał, żebyśmy żyli zdaleka od siebie, ale Bóg połączył dusze nasze nierozzerwanym węzłem. Może

jój nigdy oczy moje nie ujrzą; ale wierz mi bracie, będę jój zawsze godnym.

Antoni w milczeniu podał rękę bratu.

— A więc ty już nie wrócisz do Gradowa? rzekł po chwili smutno, a więc i ja nie zobaczę może nigdy Anieli!

— Mój bracie, odparł Feliks, jeżeli was Bóg nawzajem dla siebie przeznaczył, spotkacie się znowu, niéma w tém niepodobieństwa.

— O! ale nim się spotkamy, ileż to rzeczy nastąpić może! Ona o mnie zapomni, a może już i zapomniała!

— Nie sędzę, płoni się za każdą wzmianką o tobie, nieraz to uważałem.

— Byćże to może?

— Tak nieinaczéj, bądź dobrej myśli braciszku, ufaj Bogu, on cię nie opuści... Dla mnie tylko nie ma nadziei, dodał z westchnieniem, a jednak i ja nie upadam na sile!.. Matka stara i znękana potrzebuje mojej pomocy, będę pracował dla niój, będę żył na jój pociechę!..

— Cóż ty zamýślasz czynić z sobą teraz?

— Lato przemieszkać z matką, a na zimę wynajdę sobie miejsce przy pierwszej lepszej cukrowni.

— O, mój Feliksie, smutneż to twoje życie! czcze i puste, bez pociechy i celu!

— Bo téż to życie, odparł Feliks, a życie to nie uciecha, ale trud, walka i praca!

— Mój Boże, czy my téż to wiedzieli o tém jakieśmy biegali po łące i rwali kwiaty nad Bzurą, w naszej kochanej Michałowce? w on czas świat Boży tak nam się wydawał pięknym, tak jasnym!

— O! ja i teraz widzę go pięknym i jasnym, odparł Feliks, ale chcąc żeby taki nam się zawsze wydawał, trzeba żeby i w duszy naszej pięknie było i jasno!

W téj chwili weszło do izdebki Antoniego dwóch jego młodych przyjaciół. Nastąpiła druga rozmowa, która przetrwała do późnej nocy.

Trzeciego dnia potém Antoni i Feliks spieszyli wieczornym pociągiem do Skierniewic; majorowa czekała na stacyi. Wiedziała już że Feliks przejeżdżał do Warszawy, rzeczy bowiem zostawił był na stacyi w Skierniewicach.

Tkliwe było ich powitanie, jak zwykle matki z synami. Wyjaśnienia przecież nastąpiły dopiero za powrotem do domu.

Majorowa w milczeniu uścisnęła Feliksa.

— Biedne dziecko, rzekła skłaniając smutno głowę, i ocierając łzę z oka, Bóg ci nie pożałował krzyża, przy pierwszym wstępie na świat. Ależ on podobno tych najwięcej doświadcza, których najlepiej ukochał!

— Matko! rzekł Antoni, podczas gdy Feliks oddalił się na chwilę, gdybyś tylko chciała, on byłby szczęśliwym. Zofia go kocha, oddałaby mu rękę, powiedz tylko słówko, a wszystko się odmieni.

— Antosiu, szanuj siłę jego woli, naśladowaj go!.. On będzie człowiekiem, bo się umiał poświęcić!.. Nie jestem matką słabą i wyrozumiałą na obłąkanie dzieci. Ja was kocham dla was samych; mnie nie-tyle idzie o wasze chwilowe szczęście, jak o to, żebyście umieli być ludźmi. Przysięgłam umierającemu ojcu że taką będę matką, i dotrzymam słowa do końca.

Antoni uchylił głowę w milczeniu. Dziesiąta godzina wybiła na znanym nam ściennym zegarze; majorowa powstała i udała się do przyległego pokoju na spoczynek, uklękła i w długiej a gorącej modlitwie, przyniosła ulgę macierzyńskiemu, ciężko zbolalemu swemu sercu.

W Gradowie tymczasem wszystko zwykłym postępowało torem. Pani Rolska stroiła się codzien w odmienne suknie, jeździła w sąsiedztwo, żyła wśród kwiatów i kosztownych cacek, a bez względu że dawno przeminął wiek dziecięcy, była zawsze upartem i niesornem dzieckiem, któremu codziennie zachciwa się nowych zahawek. Pan Rolski jak zawsze ulegał żonie, jak zawsze jeździł na pole i folwarki, odbywał narady z kommissarzem i ekonomami, doglądał dobytku, troszczył się i niepokoił o lada drobnostkę. Dzieci jak dawniej uczyły się od Francuza i Angielki aby umieć nazwać rzecz każdą kilkoma językami, z wielką pociechą matki, która mniemała że będą z nich kiedyś gwiazdy, stworzone na to aby zadziwić świat cały! Aniela jak dawniej płakała i tęskniła za matką, i w cichości serca pielęgnowała troskliwie wzrastające uczucie które zbudziło się w jej duszy w chwili smutku i boleści przy łożu chorój matki.

Zofia tylko nie była tą co dawniej. Daremnie siłą woli pragnęła panować nad sobą nieustannie; daremnie wkładała na siebie dobrowolnie jarzmo ciężkiej i ciągłej pracy, daremnie rozłożyła godzinyienne i napełniała każdą z nich właściwém zajęciem. Nie

mogła biedna odzyskać dawnéj swobody. Wprawdzie na jéj ustach spoczywał niekiedy uśmiech, ale oko straciło blask młodzieńczy, lica jéj zbladły, pozółkły, rysy wyciągnęły się chorobliwie, myśl sępniała, umysł stracił dawną giętkość i polot, sen uciekał zupełnie z jéj powiek, żadna rozrywka nie miała dla niéj powabu. Przecież nigdy skarga nie wyszła z ust dumnej Zofii, a wszelkie politowanie obcych nad stanem jéj zdrowia, nad jéj widoczną zmianą, było dla niéj nieznośnem. Co więcj, myśl jéj stawała się cierpką i dręczącą; coraz więcj miała dla drugich pobłażania, coraz więcj zdawała się znużoną sobą, światem i ludźmi. Modlitwa jedynie zdołała ją kiedy niekiedy ukoić, ale i to chwilowo. Gorycz napełniała zbolałą jéj duszę; zdawało się, że zbytek stłumionego jéj ognia, nie mogąc wylać się na zewnątrz, pożera ją i trawi.

Aniela cicha i delikatna nie domagała się bynajmniej zaufania Zofii, ona z swéj strony nie miała odwagi wyznać własnój słabości, i tym sposobem nierównie więcj cierpiała, bo cierpiała samotnie.

Stara Walentowa posmutniała także widocznie. Już i gawędki z Bartłomiejem nie szły jak za dawnych czasów, do Zofii także straciła śmiałość,

a widząc jęj codzienną zmianę, skłaniała tylko głowę w milczeniu i powtarzała w głębi duszy: „Będzie tak istnie jak z nieboszczką. Matko Najświętsza weź ją w swoje opiekę!”

Hrabia nie tak często odwiedzał Gradów jak dawniej, widząc że czas traci daremnie. Inni zalotnicy rozpierzchli się zarówno jak ptastwo w jesieni. Porozjeżdżali się oni do różnych wód krajowych i zagranicznych w nadziei, że im się uda wynaleść jaką posażną dziedziczkę na poratowanie upadłych majątków.

W Gradowie zatém, mniej było wesoło niż zwykle. Pani Rolska choć ustrojona na cztery szpilki, znudzoną była, bo się nie miała komu pokazać, rzadko kiedy bowiem gość zajechał przed pusty i obszer-ny pałac.

Aniela ulegając wpływowi czasu coraz spokojniej znosiła swoje sieroctwo, za to coraz chętniej myślała o Antonim, a wraz z rozwijającym się uczuciem, nowa tęsknota i niepokój ogarniały umysł dziewczęcia na myśl, że może Bóg jęj nowy zgotował zawód, pragnąc powtórnie doświadczyć hartu jęj duszy. Leży to podobno w usposobieniu człowieka (a może tylko kobiety), że o tyle czas działa na ukojenie

bólu, o ile cierpienie nie pozostawia żadnej nadziei. W przeciwnym razie myśl chwyta pajęczą nić złudzenia, i wysnuwa z niej wątek, dopóki rzeczywistość nie zwieje do reszty owego znikomego pasma, w które wprzędziony został najpiękniejszy kwiat młodych uczuć! Aniela do tego była poetką, duch jój ulatał nieustannie od ziemi; a nie mogąc się utrzymać o własnej sile, potrzebował koniecznie oparcia. Biedne dziewczę, znalazło więc w wspomnieniu Antoniego ów złoty węzeł łączący ją z światem własnych snów i marzeń, ową dźwignię podnoszącą myśl jój w piękną krainę dumania. Aniela przecież lękała się wesprzeć na nowém marzeniu, i w ustawnej z sobą była walce.

Zofia śledziła baczenie każdą myśl Anieli, czuwała nad nią, jak matka nad własnem dzieckiem. Nie chciała ona podniecać nazbyt polotu jój ducha, nie wywoływała zaufania, które za pierwszém słowem byłaby otrzymała niewątpliwie, chciała bowiem zostawić Anielę samėj sobie, dać jój się wyrobić samostnie bez żadnego obcego wpływu. Nieraz tylko słuchała z prawdziwą rokoszą jak młode dziewczę czytało jój utwory własnego pióra, w których pod osłoną poetyczną, wylewała tak wdzięcznie ból i nie-

pokój dręczący jój tęskną duszę. Nieraz nawet dziwiła się, zkąd Aniela tak młoda i nieśmiała, czerpie barwy do swoich obrazów? jakim sposobem myśl jój przeczuciem odgaduje to, do czego umysł dojrzały przychodzi zaledwie zwolna długą nauką i badaniem? I patrząc na Anielę, Zofia korzyła się przed potęgą i dobrocią Boga, który każdemu udziela właściwych darów, zarówno jak każdy kwiat, każde ziółko obdarza w właściwe im barwy i wonie.

Dnie jakkolwiek leniwo, postępowały przecież po sobie. Odwiedziny sędziego zmieniały jedynie bieg ich jednostajny.

Nadszedł sierpień. W dzień Matki Boskiej Anielskiej, jako w imieniny Anieli, Zofia z tkliwym staraniem przybrała w kwiaty i wieńce pokoik, wspólnie zajmowany z przyjaciółką. Aniela umiała ocenić serce Zofii, które jakkolwiek dręczone bólem, umiało jednak żyć w drugich; to téż od rana szukała sposobności aby przyjacielskiem wyznaniem przynieść ulgę własnemu cierpieniu, oraz wywołać równe ze strony Zofii zaufanie. Już kilkakrotnie zbliżała się do niój w tym celu, ale pozorny chłód Zofii wstrzymywał słowa, które już z ust jój wylatywały.

Aniela smutniejszą była w dniu tym, niż kiedy:

pamięć matki, bez której po raz pierwszy w życiu obchodziła dzień imienin, boleśniej ją ścigała niż zwykle. Przebiegała biedna myślą wszystkie lata upłynionego dzieciństwa, tak miłe, tak swobodne, a potem lata młodości, zaprawione przedwcześnie goryczą, zatrute zawodem!... Przez cały dzień, łza krążyła w jasnym jej oku, a dusza jej dziwnie była niespokojna i wzburzona.

Wieczorem o zmroku Zofia chodziła po małym swym pokoju, dla deszczu bowiem niepodobna było używać przechadzki w ogrodzie. Przez okno otwarte od dziedzińca dolatała wilgotna woń rozkwitłych krzewów i roślin. Drobnny deszcz padał na kamienie, z jednostajnym poszmerem. Aniela siedząc pod oknem dumiała głęboko i ścigała tęsknem okiem przepływające po niebie obłoki.

— Zaśpiewaj mi też Anielciu, rzekła Zofia, zatrzymując się przed nią, ja tak lubię słuchać o zmroku twojej piosenki.

— Chętnie, odparła Aniela, jabym tak szczerze rada być ci miłą każdą chwilą.

I powstała z miejsca, zbliżyła się do fortepianu, i zaśpiewała zcicha ulubioną Zofii, Kalinę.

— Gdy skończyła, Zofia postąpiła ku niej — i ucałowała z uczuciem blade i gładkie jój czoło.

Znów trwało długie milczenie. Zofia stanęła w oknie, powiodła okiem po krzewach, z których liści spływały krople wody zabierając z nich pył, i nadając im świeżą i lśniącą barwę. Aniela tymczasem dobierała akorda, naprzód nieśmiało jedną ręką, następnie obiema — nakoniec, zanuciła z cicha półgłosem.

Jasno błysło słońko w maju,
Wietrzyk cichą muska wodę,
Ptastwo nuci piosnkę w gaju,
Rosa kąpie kwiatki młode —
Pała życiem ziemi łono,
Złotych muszek brzęczą roje,
I potęgą niezwalczoną
Znów się budzi serce moje!

Spij w pokoju biedne serce!
Niech zakłęty w piersi głębi
W drobnój, ogień, tli iskierce,
Nim mogiła go nie zziębi!
Myśli! nie leć jak szalona
Z sennój ciszy w nowe znoje;
Niech pieśń ptastwa brzmi zbudzona,
Ty się nie budź, serce moje!

Niech w przejrzystym wód strumieniu
 Nurza kosę brzoza biała,
 Niech fiołek kwitnie w cieniu,
 Dzikiéj róży lice pała,
 Niech koralem swym jagoða
 Nęci drobnych pszczołek roje,
 Niechaj szumi strugi woda;
 Ty się nie budź serce moje!

Niech dąb w niebo śle konary,
 Niech się tuli doń jemioła
 Jak małżonka pełna wiary,
 Pod dumnego cieniem czoła,
 Niech osiki liść zielony
 Drży gdy wicher wróży boje,
 Pędząc z barzą jak szalony;
 Ty się nie budź serce moje!

Po co budzić się daremno?
 Aby mglistych dni ostatek
 Znów naznaczyć łzą tajemną?
 By dorzucić zwiędły kwiatek
 Do wspomnień co się prześniły
 W cichym bólu tęskno, łzawo?
 O spij! zanim pod mogiły
 Na wieki zaśniesz murawą.

Głos Anieli spadał coraz bardziej cicho, drżąc, w miarę jak śpiewała ostatnie słowa piosenki. Zofia od początku słuchała bacznie, zbliżywszy się do krzesła Anieli, a gdy ta umilkła, pochyliła się, objęła ją z uczuciem w ramiona, i obiedwie zapłakały rzwie. Długi czas, żadna z nich nie wyrzekła ani słowa; słyhać tylko było ciche łkanie, wydzierające się z ich piersi.

— Biedna ty! rzekła nakoniec Zofia patrząc na zrumienione lica Anieli.

— Biedne my, odparła ciszej jeszcze Aniela.

— Prawda, prawda że biedne!

I nowy, tkliwszy uścisk nastąpił po owém mimowolném wyznaniu.

— Zosiu, możeby nam lepiej było, gdybyśmy wyrzuciły ztąd gorycz, nieprawda?

To mówiąc przycisnęła jęj rękę do bijącego serca.

— Zapewne, odparła Zofia, o! ależ to boli!

— Boli prawda, boli miłość własną, ale sercu zawsze to jednak przynosi ulgę.

— Jestże co na świecie, przerwała Zofia stłumionym głosem, coby ulżyło zranionemu sercu?

— Jest: przyjaźń i współczucie!

Obiedwie milczały chwilę, jakby namyślając się od czego zacząć i zbierając odwagę.

— Po co tu słowa próżne, rzekła nakoniec Aniela, my i tak wiemy obiedwie, co nas nawzajem boli.

— Zkądże ty wiesz, że ja cierpię? Nie Anielciu, jam spokojna!

— Zosiu! czy ty wątpisz o mnie?

— Nie, kochanie! ale wierz mi, nic mi nie jest.

— Nie zwiedzisz ty Zosiu serca kochającego jak moje; zostaw pozór dla obojętnych, ja oddawna czytam w twém sercu.

— O mój Boże! zawołała Zofia, i ukryła głowę w objęciu Anieli.

— Tak Zosiu, ja wiem że ty go kochasz, wiem że walczysz, wiem że wątpisz, ale wierz mi kochanie, że niesłusznie.

— Niesłusznie! odparła Zofia, cokolwiek bądź jest, nie chcę się łudzić daremnie. Wolę być na wszystko przygotowaną; pogodziłam się już z tą myślą, że on mnie nigdy nie kochał, i wolę z nią pozostać.

— Trudno cię przekonać, mój Aniele, jednakże ja inaczej myślę: to wielkie serce, i umysł szlachetny.

— A gdyby tak nie było? mamże podnosić go w mém marzeniu do wysokości ideału, pieścić się myślą o nim, a potém spaść w chłodną rzeczywistość? O nie, Anielciu, ja wolę myśleć że on taki jak i drudzy, lekkomyślny, niebaczny, że pod wpływem chwilowego obłędu wywołał uczucie z mego serca, wyczytał wyznanie w oku, i opuścił, porzucił — a kto wie, może dla innéj, niegodnéj... O, to okropnie... okropnie!..

— Okropnie, zapewne, gdyby tak było rzeczywiście; ale ty się uprzedzasz Zosiu; tak nie jest, wierz mi kochanie. Inne powody znagiły go do wyjazdu.

— A więc w każdym razie, niedołączne być musi uczucie, skoro je równoważą inne boczne względy. A ja mu prawie wyznałam wszystko! o mój Boże! co za ponizienie!

— Zosiu, Zosiu! ty cierpisz dwojako: cierpisz sercem i cierpisz przez dumę. To téż kochanie umiej szanować dumę drugich.

— A więc ty mniemasz kochanie, że on się oddalił tylko przez dumę?

— Nieinaczéj: tyś bogata, on ubogi. Jeżeli pojmuje jakąkolwiek dumę, to dumę ubogiego.

— Zapewne, i ja ją rozumiem, ależ on mnie nie zna, inaczej byłaby dumnym względem mnie?

— Nie względem ciebie, ale względem świata i samego siebie.

— Toć i ja uboga jestem w wdzięki: inne to ubóstwo, ależ niezaprzeczone, a jednak nie miałam dumy względem niego.

— W jego oczach piękniejszą jesteś od najpiękniejszych.

— A on w moich oczach bogatszym od wszystkich, bo serce jego bogate, bogaty umysł i dusza, odparła z zapalem Zofia, u której w tej chwili ufność i uczucie brało górę nad rozumowaniem i powątpiewaniem. Ale nie, dodała — on mnie nie kochał, to był szal chwilowy.

— On cię kochał, przerwała Aniela, i nieprędko kochać przestanie.

— Gdybym wiedziała że to prawda, myśl tu uszczęśliwiłaby mnie, niczym więcej nie żądała, poprzestałabym na tém.

— Poprzestań Zosiu i nie trać nadziei. Mam przecucie, że ty będziesz szczęśliwą. Bo i komuż się bardziej należy szczęście jeżeli nie tobie?

— Moje życie! są istoty które Bóg stworzył na

samo cierpienie. Kwiat zwiędnie gdy go dotkną, trawa uschnie pod ich stopami! Mnie Bóg policzył do nich... Dał mi duszę kochającą, a jednak nie kochałam dotąd nikogo! Błysło mi nakoniec uczucie, jakby światło z nieba, dusza otworzyła się do niego — i zgasło, zostawiwszy tylko zwątpienie i myśl upokarzającą, że nie było w nim prawdy, że to było złudzenie!

— O! była w niem prawda Zosiu, była niewątpliwie!

— Kto wie, odparła Zofia, czyli mężczyzna potrafi o tyle wznieść się duchem, aby pokochać kobietę bez powierzchownego wdzięku. Im trzeba ułudy, błyskotek, poklasku drugich, zadowolenia własnej próżności.

— Feliks wyższy jest duchem od pospolitych ludzi; gdyby go nie ujęła nawet powierzchowność twoja, o czém nie wątpię, umiał on ocenić twą duszę, twój umysł. Wszakże i dusza ma także swoje ponęty, a twoja tak jest wzniosłą!... Każdy czyn twój, każda myśl, każde słowo, tak są prawdziwie piękne! O! wierz mi, usposobienie wewnętrzne rzuca pewien blask na powierzchowność, i upromienia

ją! Zosiu, wierz mi, tyś piękna w moich oczach i równie piękna w oczach Feliksa.

Zofia skinęła głową z powątpiewaniem.

— Gdyby to mężczyźni zdolni byli ocenić, odparła po chwili, znaleźliby nie raz szczęście za którym gonią daremnie. Kobieta piękna kocha siebie, kocha stroje i błyskotki, oklaski i zabawy: mniej piękna kocha dom, rodzinę i tego komu raz odda serce. Ależ oni tak są lekkomyślni i próżni!

— Nie wszyscy Zosiu, są przecież wyjątki.

— Jeżeli są, to pewno Feliks należy do ich liczby. W wielu względach, poznałam w nim prawdziwie wyższego człowieka.

— Kto się potrafi wznieść w jednym względzie, toć i w innym nie może przecież należeć do pospolitych ludzi.

— Zapewne odparła Zofia. I zamyśliła się zaspokojona słowy Anieli, które dziwnie trafiały do wewnętrznego jęj przekonania.

— A pamiętasz Anielciu, rzekła, jak my to nie raz przed parą laty powstawały przeciw całemu rodowi mężczyzn? Dziś ty stawasz w ich obronie, a ja gotowam ci już uwierzyć.

— O, wtenczas to było co innego!

— Cóż innego moje życie?... wątpię żeby się odtąd poprawili.

— Aleśmy wtedy sądziły zimno, głową; dziś pobłażamy, bo sądzimy sercem.

— Prawda, odparła Zofia. W każdym razie cokolwiek się ze mną stanie, ty przynajmniej będziesz szczęśliwa.

— Kto to wie, on się może odmienić.

— Ufaj Bogu, Anielciu. On czuwać będzie nad nim i nad tobą.

— Ja też ufam Bogu, a jednak gdyby mnie chciał znów doświadczyć?

— Ha! w takim razie, nie ma innej rady, jak uchylić głowę w milczeniu. Zresztą masz ty nademną wielką przewagę. Bóg dał ci dar wylania z duszy tego wszystkiego, co ją uciska i boli. Skoro myśl cierpiącą umiemy przyoblec w formę, zamienić w pieśń lub słowo, toć w duszy musi być lżej i pogodniej!

— Nie Zosiu, nie! Zapytaj każdego artysty, a powie ci, że z duszy jego wypływa tylko nadmiar bólu, który się w niej pomieścić nie zdoła; ale źródło pozostaje zawsze źródłem, zawsze trawi i dolega... Smutny to dar Boży!...

— Ale piękny, ale ponętny! Co do mnie, gdyby wolno było czego zazdrościć na świecie, tobym tylko zazdrościła twórczej potęgi. Mnie Bóg i w tem nawet upośledził. Do żadnej sztuki nie miałam nigdy daru, umiem czuć piękność, ale jej oddać nie umiem.

— Umiesz ją oddać, nie w sztuce, ale w życiu a to podobno więcej znaczy.

— Tak zapewne, mnie Bóg stworzył do życia, rzekła Zofia z zapalem. Ty nie uwierzysz jaka tu siła leży; to mówiąc wskazała na serce. Nie myśl Anieli, żeby mnie dręczyła tylko myśl o samej sobie. O! nie! mnie dręczy najwięcej to, że trawie bezużytecznie lata młodości, w domu obcym, bez zajęcia, któreby drugim przynieść mogło pożytek. To jest głównym powodem mego cierpienia, to mnie w końcu zabije i strawi.

— Ależ Zosiu, to tylko do czasu!

— Tak, do czasu, a jednak lata płyną. Ja nie pójdę zamąż zapewne wcale. Wiesz że kocham Feliksa, i pewna jestem, że dopóki mnie będzie godnym, kochać go nie przestanę: przecież nic nie wróży naszego połączenia. Mamże więc wiecznie żyć z ludźmi, którzy mnie pojąć nie mogą? Mamże marnować mo-

ję młodość na czytaniu tylko i robocie? Gdybym miała wyższe umysłowe zdolności, mogłabym na innej drodze znaleźć zadowolenie, ale mnie trzeba żyć czynem! takie moje przeznaczenie, takie powołanie. Mnie trzeba zamieszkać na wsi, zdaleka od świata, mnie trzeba zająć się wyłącznie szczęściem drugich, żebym zapomniała własnego cierpienia. Wierz mi, to jedyna dla mnie rada, wtenczas będę zdrowa i spokojna, inaczej ja tego wszystkiego nie przeżyję.

— To też miej kochanie cierpliwość, przyjdzie to z czasem, kiedyś przecie będziesz miała swój dom i zajęcie.

— Kiedyś, kiedyś! powtórzyła Zofia, a tu czas płynie, zdrowie się traci, a bodaj, czy i śmierć nie zbliża, bo ja ci powiadam, że mnie bezczynność zabija. Patrz co się ze mną stało.

To mówiąc odsunęła rękaw, i ukazała Anieli wychudłe ręce. Aniela patrzyła na Zofię z głębokim współczuciem.

— Cóż tu na to poradzić? zapytała.

— Wiesz co kochanie, że już obmyśliłam cały plan postępowania mego na przyszłość. We wrześniu kończę rok dwudziesty pierwszy, będę pełnoletnią według prawa, własne przekonanie mówi mi

że tu i tu (to mówiąc wskazała na głowę i serce.) oddawna już skończyły się moje małe lata! Sierota prędko dojrzewał... Powiem więc stanowczo wujowi, że pragnę zamieszkać w méj wiosce, że postanowienie moje nieodmienne. Znam go, to wyrozumiały i dobry człowiek, on mnie pojmie, zresztą, bronić mi tego nie może.

— Ale się obrazi, zaręczam ci, przerwała Aniela.

— Powinienby pojąć, że każdemu przecie miły dom własny.

— Onby to może i pojął, ale żona przewróci mu głowę. Wiesz, jak on patrzy na wszystko jój oczyma.

— Dziwna to rzecz, żeby słabszy tak dalece mógł wpłynąć na mocniejszego, rzekła Zofia.

— A jednak tak się najczęściej zdarza, przerwała Aniela. Widziałeżęsty kiedy kobietę wyższą, któraby usiłowała opanować męża?

— Zapewne że nie, bo przecież kobieta z rozumem i uczuciem, nie chciałaby pewno odzierać z godności tego, który ma być jój przewodnikiem i opiekunem.

— To też nie dziw się pani Kolskiéj, albowż ona ma jakiegokolwiek wyższe pojęcie? Jój umysł rozpró-

szył się na fraszki i stroje, a serce ostygło w samolubstwie.

— Ja jęć się nie dziwię, że usiłuje korzystać ze słabości męża, ale się dziwię wujowi, że się dał opanować, bo to dobry i zacyjny człowiek.

— Czegóż człowiek nie uczyni dla świętej spokojności? przerwała Aniela.

W tęg chwili mały Kazio wbiegł z oznajmieniem, że już herbata na stole.

Zofia z Anielą poszły do sali, gdzie cała rodzina zgromadzoną już była. Pani Rolska wdzięczyła się do starego sędziogo, który całował co chwila jęć białą i pulchną rączkę. Pan Rolski chodził zamyślonny do pokoju. Dzieci rozmawiały po angielsku z Miss Loeven.

— Oj ten deszcz, ten deszcz, pomrukiwał pan Rolski, całe żniwa oplakane w tym roku. Pszenica porośnie na pniu, bo co na garści, to już przepadła zupełnie, buraki wymiękną, trzeba będzie chyba z kijem wyść z Gradowa.

— Nie troszcz się panie Edwardzie, rzekł sędzia przerywając rozmowę z panią Rolską. Pan Bóg najlepszy gospodarz, będzie to jakoś; żebym to ja jeszcze narzekał, toby nie było dziwu, ale ty masz go-

spodarstwo przemysłowe, to ci w każdym razie, jaki taki dochód dopisze.

— To też im większym obracam kapitałem, tém oczywistsza strata. Z cukrowni nie będzie nic, inwentarze przepadną, bo zkądże wziąć zdrowej paszy na gorzelnię? dziś nie ma coliczyć, słowem oczywisty upadek.

— Toż ci jeszcze zostaną czynsze, propinacye, młyny.

— I to niepewne, a z czego mi czynszownicy zapłacą, jak sami nie będą mieli? Co młyny będą miały jak zboża nie będzie?

— No, to przedasz kilka włók lasu, mój Edziu, rzekła żona, i będzie za co żyć przez zimę, a teraz nie troszcz się daremnie.

— Oj u ciebie jest zawsze rada na wszystko. Nie ma doprawdy jak moja Kamilka, ciekawy tylko jestem, jakbyś sobie poradziła w rzeczywistój biedzie i niedostatku. Podobno by mojej pani ogorzały piórka.

— Co mam o tem myśleć! tyle lat słyszę jak narzekasz, a przecież dotąd wystarcza nam chwała Bogu, i wystarczy dla dzieci.

I pocałowała męża, pogłaskała go po okrągłej

i rumianej twarzy. Pan Rolski uśmiechnął się nieznacznie, i z czoła z wolna schodziła mu chmura.

— No! coś zaczyna podobno podświtywać od zachodu, rzekł spojrzawszy w okno, może też Pan Bóg da pogodę na jutro.

Zofia tymczasem nalewała herbatę, i podawała wszystkim kolejną.

— Jak ja tu sobie poradzę z cukrownią, zagadnął znów po chwili pan Rolski. Radbym koniecznie skłonić Feliksa, żeby wrócił, gotów jestem nawet jechać do jego matki pod Skierniewice i dowiedzieć się o nim prawdy. Może mi się też uda, że go w końcu namówię.

— Nie namówisz go, mój Edwardzie, odparła żona, chyba żebyś wziął napowrót pana Dauvais, toby się i Feliks znalazł.

— Co? ja tego francuza? a niech go tam Bóg ma w swojej opiece, już mi i tak kością w gardle stał.

Zofia zbladła, Pani Rolska spojrzała na nią z boku. Aniela odwróciła rozmowę na inny przedmiot. Wkrótce też wszyscy rozeszli się każdy do siebie.

X.

Nadszedł wrzesień. Stara Walentowa jak zwykle przewarzała wieczorem śmietankę przy kominku, i dumiała samotnie, gdy wszedł do izdebki Bartłomiej, w siwój jak zwykle kapocie, tylko bez baranka.]

— Cóż to tak nierychło dziś z polowania, panie Bartłomieuju? zapytała stara, musiałeś tam wasan ubić z jakie dziesięć zajęcy i z pół kopy kuropatw?

— Licha tam, moja jójmość. Już to nie to co dawniej, i człek jakoś spaszował, nogi nie chcą słu-chać, a i zajęcy niewiele; ta hołota z cukrowni, wyszczuła koty chartami zeszłej zimy, teraz zwierzyny

jakby na lekarstwo. Złaziłem się po boru i ledwie widziałem jednego, toć go też i ubiłem jako żywo.

— Dobrze i to, cóż robić? no napij się jegomość kawy, stoi tam w garnuszku na boku.

— Ha, Bóg zapłać, niedługo też to już pono tej uciechy, moja pani Walentowo.

— Jakto niedługo? alboż to już wasan wybierasz się do Abrahama na kwaśne piwo? nie ma się tam po co spieszyć, dosyć jeszcze na to czasu.

— Ba! nie wybieram ci się jeszcze, człek zdrów z łaski Boga, może się jeszcze z jakie lat parę pokolacze na świecie; ale co innego się tu waży.

— No i cóż takiego? zapytała ciekawie Walentowa.

— A jak wasani wypaplesz? choć to niewieście trudno pono trzymać język za zębami.

— Ej nie gadałbyś wasan marnych słów.

— Ha, toć i powiem, rzekł zniżając głos, i przybierając znaczącą postawę. Oto panna Zofia wynosi się pono do Łużewa.

— Jezus! Panno Maryo! a to co się stało?

— Albo ja tam wiem, słyszałem tylko jak się umawiała z panem.

— A to kiedy?

— Przed chwilką po herbacie. Pan poszedł z fajką do siebie, panna też trop w trop za nim. Ja byłem w przedpokoju, a że drzwi jeno były uchylone, słyszałem wszystko co do słowa.

— No i jakże to było?

— Albo ja tam potrafię wszystko powtórzyć? państwo to jakoś inaczej mówią między sobą, a choć to niby po polsku, to i tak człowiek nie wszystko zrozumie jak należy.

— Mniejszać o słowa, ale o co rzecz poszła?

— Oto panna mówiła, że i jej się przykrzy tak marnować młode lata.

— A już ciż że marnuje to marnuje, jak słońce na niebie, już minęła dwudziestka, a tu ani słyhu o mężu. Wszyscy konkurenci rozbiegli się jak plewy z wiatrem po świecie.

— Ba! boć téż to istne plewy, odparł stary pod chwytując za słowo, żeby tam było między niemi jakie takie ziarnko, toby panna Zofia pewno niém i nie pogardziła.

— Byłoc i ziarno, było, przerwała stara półgłosem jakby do siebie. Cóż kiedy pan Jezus, znać inaczej napisał w niebie. No, ale i cóż dalej?

— Otóż mówiła że jęć się przykrzy, tak nic nie znaczyć na świecie.

— I nie dziwota, jako żywo!

— Nie przerywajże mi wasani. Onać to nie do tego mówiła, że nie idzie za mąż.

— A do czegóż u licha?

— Oto że jęć się przykrzy bez swego domu, bez zajęcia.

— A jakżeż ma mieć swój dom, dopóki nie będzie miała męża?

— Otóż to, o to właśnie idzie, że chce mieć dom, i nic więcej. Prosiła pana, żeby jęć oddał Łuzew, bo chce sama gospodarzyć na własną rękę.

— Wszelki Duch Pana Boga chwali! alboż ona sobie da radę, sama nieboraczka? Co jęć tu złego? siedzi sobie jak u Pana Boga za piecem, o nic ją przynajmniej głowa nie zaboli.

— Jużciż przyznajże sama wasani, odparł Bartłomiej, zażywając tabakę, że co na swoich śmieciach to na swoich, zawszeć to jakoś milój, niżeli wycierać cudze kąty.

— Ba i bardzo! wiem ci ja dobrze o tem, choćciem się zastarzała bez własnego kącika.

— I mnieć pono nie inaczej było na świecie, od-

parł stary; toć téż człowiekowi nie żal będzie zaprawdę, jak pan Jezus zawoła, i da własny kątek, choćby i na cmentarzu przy kościele; gorzej ci to pono, wynosić się z pałacu, choćby i w murowany grób, bo tam zawsze i chłodno i ciemno.

— Ale w niebie i jasno i ciepło, rzekła stara.

— Wiem ja o tem dobrze, ale tam podobno snadniej trafić z cudzych śmieci, niż z własnego pałacu. Choć Bogiem a prawdą, nie mówię ja tego do mojego pana, boć ten i dobry i sprawiedliwy, i żeby nie pani, toćby się człowiekowi nie przykrzyło ani odrobiny.

— No, ale i cóż pan na to wszystko?

— Ha i cóż? gadał, perswadował, namawiał, aleć to wszystko tyle znaczyło jakby groch rzucał o ścianę.

— I panna postawiła na swoim?

— A postawiłać jako żywo, i kiedyż to niewiasta na swoim nie postawi? Alboż to i nasza pani nie robi co jeno zechce?

— Ale jakże to będzie mieszkać samój pannie? zagadnęła kręcąc głową Walentowa, to jakoś i nie pięknie i nie wypada.

— Toć téż to jedno pan miał na uwadze, i przekładał jak mógł, ależ wszystko nic nie pomogło. Na-

mówił tylko pannę Zofią, żeby wzięła do siebie tę panią Grodzicką co to była w Łużewie jeszcze za życia nieboszczki.

— Chwała Bogu! boć téż to zacna niewiasta, i stateczna w latach, do tego nasza panna kochała ją, i miała za co jako żywo. I kiedyż się panna Zofia wynosi?

— Ponoć już niedługo. Jutro pan jedzie na jarmark do Łowicza, a zaraz po świętym Mateuszu ma oddać panie Zofii gospodarstwo i rachunki.

— A toż to niestworzone rzeczy dzieją się teraz na Bożym świecie, ktoby to był o tem słyszał przed laty?

— Ba i cóż robić? Insi to teraz rodzą się ludzie. Czyby téż to co podobnego dawniej przyszło panie do głowy? Takie to były wszystkie potulne, ciche, posłuszne.

— Bogiem a prawdą, nie zawsze na tem i dobrze wychodziły odparła Walentowa, ot i nasza nieboszczka, żeby się była uparła i nie poszła za nieboszczką, byłoby pono lepiej, nie zmarnowałyby się niebożątka, i nie byłoby pono tyle Boskiej obrazy.

— Co się stało, już się nie odstanie, moja jéjmość.

Niedarmo też to panna Zofia inaczéj sobie poczy-
na. Oj! téjby pono, nikt nie przymusił do ołtarza.

— Zapewne że nie, odparła Walentowa, kiedy
jéj pani nie namówiła za hrabiego, to już podobno
nikt na nic nie namówi. Ale i cóż pani na to wszy-
stko?

— A przysłać tam do pokoju. jak się pan uma-
wiał z panną Zofią: dopieroż to jęła płakać, załamy-
wać ręce, chorować, istne wyprawiała komedye, po-
wiadam wasani. Aleć to nic nie pomogło, panna Zo-
fia stanęła na swoim.

— I o co szło pani? albowż to ona tak kocha pa-
nienkę? Panie odpuść! onać nikogo nie kocha, jeno
sama siebie, rzekła Walentowa.

— Ale jéj idzie o to, odparł Bartomiéj, 'żeby lu-
dzie nie gadali, że musiała dokuczać pannie, kiedy jéj
się sprzykrzyło w Gradowie.

— Ba i bardzo! może jéj téz i załała gorącego
sadła za skórę, oj biadać to zawsze, biada sierocie na
świecie!

— Nie słyszałem ci ja tam Bogiem a prawdą
żeby się kiedy na dobre kłóciły, rzekł stary.

— Ba, odparła Walentowa, między państwem toć
to inaczéj się dzieje, jak u nas prostaków. My jak co

mamy na sercu, to przynajmniej nie załujemy gęby; tyle człowieka, co się wygada. Ale państwo, to się tak ślicznie umieją ukłóć ładnym słówkiem, że aż w pięty pójdzie, jako żywo. Widziałam ja nieraz czerwone oczy u panny Zofii, jak przyszła do swego pokoiku po rozmowie z panią, choć to niby na oko, ślicznie było między niemi. No, ale i cóż mówiła pani?

— Albo ja ją tam zrozumiał? odparł Bartłomiej, kiedy paplała to po polsku, to po cudzemu, mieszała słowa istnie jak groch z kapustą.

— Ależ przecie?

— Ha, powiedziała, że pannie Zofii nowy rozum zajechał do głowy, że jemancypantka, czy tam nie wiem jak u licha, że nikt jój nie weźmie za żonę, że odstraszy wszystkich konkurentów.

— A panna co na to?

— Powiedziała, że o nich nie dba, że się zagrodzi przed nimi w Łużewie, nie przymierzając, jakby przed wilkami albo lisami.

— I ona to powiedziała?

— Jak Pana Boga kocham, że nie zmyślam.

— I na czemże się skończyło?

— Na tém, że pani zemdliała, czy téż udała, Pan

Bóg to jeden wie. Pan zaniósł ją na łóżko, i trzeźwił kolońską wodą, a panna Zofia poszła niewiele myśląc do swego pokoju.

— Ba, to może z tego wszystkiego nic nie będzie: z wielkiej chmury mały dészcz, mówi nie darmo przysłowie.

— Oj, że będzie, to będzie, odparł stary dobywając tabakierkę, panna Zofia ma swoje wolę.

— Prawda, że ma, dodała Walentowa i zamysliła się chwilę. No, toć się pono i rozłączymy mój panie Bartłomieju, rzekła znów potrząsając głową, nie będziemy już razem spijać kawy, nie będziemy gawędzić w szarą godzinę, boć i ja jako żywo, przeniosę się do Łuzewa, nie odstąpię ja mojej jagódki, póki mnie Pan Jezus nie powoła do siebie.

— Zajrzyć ja tam do was na polowanie, odparł stary, a musi tam być huk zajęcy, boć to i lasy, i zarosła, i odłogi. Poproszę pana, to mi da koni na jakie parę dni. jeszcze téj jesieni.

— Oj zapewne, zapewne, mój panie Bartłomieju, teraz ci téż oto nietyle bywa gości, co zeszłego roku, to się snadniej przyjdzie wyprosić, choć na jaki tydzień.

— A potem i chłopaki poduczyl się przecie ile

tyle służby, odparł stary, już ja się tam przywlokę niepoczekawszy. Ale teraz oto trzeba iść do pana, pewno się będzie rozbierał.

To mówiąc, wziął za czapkę i życząc dobrej nocy Walentowej, wyszedł zwolna z izdebki, a za nim nieodstępny wyżeł.

Walentowa długo jeszcze dumiała przy kominku; chciała iść do dworu, ale się bała, żeby jéj panna Zofia nie posądziła o próżną ciekawość. Umyśliła więc poczekać do jutra, wzięła w rękę różaniec, i modliła się gorąco, przyrzucając na komin po drewnku. Nakoniec udała się na spoczynek i zasnęła spokojnie.

XI.

Dnia ostatniego października wieczorem, Zofia, Aniela i podeszła pani Grodzicka siedziały z robotą w ręku dokoła stołu, w małym pokoju w Łużewie. Ogień płonął na kominie i oświecał ściany wyklejone jasnym papierem w kwiaty. Dwie świece stały na stole. Pani Grodzicka przebierała w palcach druty od pończoszki, z niezrównaną szybkością. Rysy jej twarzy, jakkolwiek nosiły ślady lat przeżytych, miłe przecież i łagodne, a wyraz dobroci odbijał w nich widocznie. Aniela haftowała na muślinie, Zofia szyła gruby wełniany kaftanik.

— Co by to pani Rolska powiedziała na naszą emancypantkę, jak nazywa Zosię, rzekła Aniela, że

tak się doskonale umie obchodzić z igłą. Daj kochanie rękawy, to i ja ci pomogę, już skończyłam kołnierzyk na imieniny dla mojej małej Maryni.

— Oto masz przykrojone obadwa, odparła Zofia, podając flanelowe rękawy.

— Za parę dni będzie wszystko skończone, rzekła Aniela, już tylko dwie koszule zostały do roboty.

— To ja się też cieszę niesłychanie, zima się zbliża, pewno niejeden chory przybędzie do naszego szpitala, odparła Zofia.

— Ale wiesz co, Zosieczku? rzekła pani Grodzicka, że ten nowy nauczyciel, doskonale poczyna sobie z dziećmi; umie jakoś przemówić do ich pojęcia. Chwała Bogu że się tak trafiło.

— O bo też to dobry człowiek, odparła Zofia, jeszcze przeszłej zimy pan Feliks radził go panu Rolskiemu na nauczyciela szkółki do Gradowa.

I zapłonila się widocznie, wymówiwszy imię Feliksa.

— Co on też tam porabia? biedny Feliks, zagadnęła Aniela, podobno jest przy cukrowni w Rogozewie, żal mi go że się tak oddalił od matki, a on

ją tak kocha!... I majorowa biedna, boć i pan Antoni, nie często ją pewno może odwiedzać.

— Przyjeżdża niezawodnie co sobota na niedzielę; koleją, to mu nietrudno, rzekła Zofia, mówił przecie sędzia, że parę razy jechał z nim w jednym wagonie.

Aniela westchnęła, przypomniało jój się pierwsze spotkanie z Antonim.

— Ciekawa jestem, kiedy też pani Rolska, zbierze się do Łuzewa? rzekła pani Grodzicka.

— Wątpię żeby tak prędko, odparła Aniela, bo choć niby to przy odjeździe, przestała się gniewać na Zosię, przecież niemiłym jój był ów wyjazd.

— Ej, bodaj czy ja nie zgaduje głównych przyczyn, dla czego tak jój szło o to, żeby nie wypuszczać z domu Zosi, rzekła pani Grodzicka; nie rok nie dwa żyję ja na świecie, to też znam ludzi na pamięć, a nieraz wolałabym patrzeć na nich przez szkiełko złudzenia, cóż kiedy z latami, toć się i szkiełko potłukło, a człek rad nie rad, musi patrzeć na wszystko własném okiem.

— No, i o cóż jój idzie? zagadnęła Zofia, czy o ludzkie języki?

— Jeszcze i o coś innego. Oto dopóki Zosia była w domu, uprosiło się prędkiej męża o konie na jaką wizytę lub zabawę, przyjmowało się więcej gości, bo był pozór, że panna na wydaniu potrzebuje się przecież pokazać i zabawić. Teraz oto, niema się do kogo ustroić, nie ma się czém rozerwać, to jakoś nie miło, kiedyśmy się pobałamucili, a tu czas płynie: jeszcze rok, dwa, a i reszta wdzięków opuści i nie będzie już co robić na świecie!

— Smutna to rzecz, odparła Zofia. Kiedy się nie uzbierało plonu za młodu, to potem jak starość zaskoczy znienacka, człowiek sam nie wie jak sobie radzić.

— O! już co o ciebie, rzekła z uśmiechem Aniela, to niema w tym względzie obawy; zaczynasz wczesnie zbierać zapasy, wystarczy ich doprawdy na życie, choćby i najdłuższe!

— I ty sobie nic nie wyrzucaj w tym względzie Anielciu, odparła Zofia, i ty jak pszczołka zbierasz także plony. To, coś dziś rano napisała, prawdziwie piękne. Ileż to rzeczy drukowanych, co o połowę nie mają téj wartości!

— Ja zbieram kwiaty, rzekła smutna Aniela,

a kwiaty rosną tylko na wiosnę; jak powiędną, to i cóż mi zostanie?

— Będzie owoc Anielciu, bądź spokojna!

— Nie wszystkie kwiaty owoc dają podobno, a przynajmniej owoc pożyteczny. Z marzenia rodzą się tylko kwiaty, z życia wyrasta ziarno; lepsza twoja droga, moja Zosiu.

— Dobrze i jedno i drugie, odparła Zofia; Pan Bóg niedarmo podzielił swoje dary; ptaszęta zdają się marne i drobne, a jednak gdyby nie świegotały, głuchoby było na świecie, i łąka bez kwiatów byłaby bardzo smutna.

— A jednak, przerwała Aniela, ziarno przedewszystkiém, bo niém żyją i ludzie i ptaki. Oj! łatwiej to pracować na drodze sztuki, niżeli z dnia na dzień uganiać się z życiem, siać ziarno po ziarnie, zwolna, cierpliwie, łamać się z trudem i zniechęceniem.

— W tém téż cała zasługa, odparła Zofia.

— Nie każdemu życie tak trudne, przerwała pani Grodzicka. Dawno już żyję, moje dzieci, a wszystko mnie przekonywa, że nietyle zewnętrzne okoliczności wpływają na stan naszej duszy, ile własne usposobienie i dobra wola. Chcąc być szczęśliwym,

trzeba koniecznie mieć w sercu wielki zapas miłości bliźniego, a jak najmniej myśleć o sobie.

— Prawda, odparła Aniela, łatwo to szczęśliwym dzielić się z drugimi szczęściem, ale żyć samotnie, z goryczą w duszy, a przecie żyć dla drugich, mieć łązy dla siebie, a dla drugich uśmiech; sądzić się ostro, a drugim nieść pobłażanie, to prawdziwa zasługa.

— To droga Chrystusowa, odparła Zofia, nią postępował Bóg człowiek, i tę drogę wskazał wszystkim do naśladowania.

— To też, rzekła Aniela, godni uwielbienia ci którzy porzucają wszystko, biorą śmiało krzyż na barki, i idą w milczeniu na górę.

— Gdzie ich czeka męczeństwo, a potem zbawienie, dodała Zofia, i oko jój dziwnym zabłysło ogniem.

— Zosiu! rzekła z współczuciem Aniela, ja cię nigdy taką jak teraz nie widziałam. Korzyłam się zawsze przed siłą twego ducha, ale teraz podziwiam twój wewnętrzny spokój, twą nieudaną swobodę.

— Bo też teraz żyję w moim żywiole, Anielciu, jak ptastwo tęskni bez powietrza, tak ja tęskniłam bez działania, bez właściwego stanowiska.

Gdy domawiała tych słów, lekki łoskoś dał się

słyszć w przyległym pokoju, od którego drzwi były przymknięte.

— Znowu hałas, rzekła pani Grodzicka kładąc pończochę na stole, i przysłuchując się bacznie.

— Dziwna rzecz, niepojęta, dodała Aniela.

Zofia w milczeniu spojrzała na zegar, czoło jej okryło się jakby chmurą, lica zbladły.

Skazówka zegara zbliżała się właśnie do ósmój.

— Stara Walentowa zachoruje nam jeszcze z przestrachu, rzekła Aniela po chwili; onaby i tak przysięgła, że tu duch jakiś przeszkadza.

— Bo téż to szczególnie, odparła pani Grodzicka, że co dzień wieczorem słyhać to dziwne stukanie. Jużciż ja nie przypuszczam nic nadzwyczajnego; pewno mysz zakradła się do biórka; ale czemuż we dnie ani się odezwie?

— Otwieraliśmy przecie biórko, i nigdzie niema śladu myszy, przerwała Aniela.

Zofia oparła głowę na rękę i słuchała bacznie.

Pani Grodzicka wzięła ze stołu pończochę i migiała drutami w milczeniu.

Przerwana rozmowa nie szła już tak swobodnie jak poprzednio; Zofia dziwnie była zamyślona, pani Grodzicka przykładała na komin po drewnku

żeby przynajmniej jasno było w pokoju. Służący wniósł lekką wieczerzę, ale nikt z obecnych niewiele miał chęci do posiłku. Po wieczerzy, Aniela usiadła przed fortepianem, zaśpiewała jedną i drugą piosenkę, przerywając co chwila śpiewanie, za każdym głośniejszym łoskotem.

Po dziesiątej udali się wszyscy na spoczynek do sypialni, położonej z drugiej strony sieni, gdzie nie dołatał hałas; przecież trudno było, zwłaszcza Zofii, znaleźć sen na zawołanie. Już się położyła, gdy weszła do jój pokoiku stara Walentowa.

— Ej panienczko, rzekła przerażona: i wojuje i wojuje. Panie, zmiłuj się nad nami!

— Uspokójcie się moja droga, odparła Zofia, macie głowę nabitą niepotrzebnym strachem, toć wam się wszystko gorszym wydaje, niż jest rzeczywiście.

— Ba! i cóż może już być gorszego, jak sprawa z umarłemi?

— Ależ na Boga, cóż tu umarli mają do tego?

— A i cóżby innego? Oj! Matko Boska Częstochowska, miej nas sieroty w swojej świętej opiece.

— Pomódlcie się, moja droga, polecicie się Bogu, i nie troszczcie się o nic.

— Alboż ja się nie modłę? Co dzień do północks,

klęczący odmawiam różaniec i koronkę, a tu jak stuka tak stuka! Już jak wieczór nadchodzi, to mnie aż mrowie przejmuje po wszystkich kościach, a dopiero jak po północy ucichnie, to człowiekowi lżej jakoś, jakby się nanowo narodził.

— Bo jak wam sen skleci oczy, to i nic nie słyszycie, a ja pewna jestem, że tak samo stuka przez całą noc.

— Oj panienczko! że nie, to nie. Nieboszczyk zaczął jak dziś pamiętam konać przed wieczorem, a skończył jak kury zapiały. Już robił piersiami i oczy przewracał, ot w tym samym pokoju, gdzie teraz coś przeszkadza, a jeszcze ręką wskazywał jeno na biórko.

Zofia zbladła, zimny pot wystąpił na jej czoło.

— Niceście mi dotąd o tém nie mówili, rzekła zmienionym głosem, chyba wam się to teraz ze strachu przyśniło.

— Oj! że nie przyśniło, to nie, jak mi Pan Jezus miły, ale i cóżem miała gadać? I teraz oto, nie potrzebniem się wypletła. Panienskaś mi jeno zbladła jak lilijka.

— Bądźcie spokojna, maja droga.

— Bo to widzi panienczka, najlepijby pono spro-

wadzić księdza proboszcza na miejsce, jakby pokropił święconą wodą, toby się wszystko skończyło.

— Możemy to i uczynić, rzekła Zofia, ale tymczasem uspokójcie się, moja droga.

— Żeby jeno minęły te zaduszki, toby już człowiek był spokojniejszy.

— Już niedługo, jutro mamy wszystkich świętych.

— Oj! toć téż to najgorszy ten dzień jutrzejszy, aż mnie ciarki przechodzą. Przecież to rzecz wiadoma, że dusze przypominają się najbardziej pod te czasy, a jeszcze jeżeli broń Boże, na której cięży ludzka krzywda.

Zofia zbladła jak ściana.

— Toćby pono lepiej ulżyło duszy w czyscowym ogniu, ciągnęła dalej Walentowa, żeby nagrodzić krzywdę wyrządzoną, niżeli wszystkie modlitwy, choć i temi przecież Pan Bóg nie pogardza.

— Tak, ależ jak tu nagrodzić krzywdę? rzekła zcicha Zofia, chciałabym, Bóg widzi żebym chciała.

— Byle człowiek chciał a szczerze, toć się i sposób znajdzie.

— Oj! nie zawsze, nie zawsze!

Walentowa ucałowała ręce i nogi Zofii, życząc

jój dobrej nocy, i wyszła z pokoju wraz z Dorotką, która w téj chwili zagasiła świecę.

Nazajutrz po śniadaniu, Zofia, Aniela i pani Grodzicka pojechały na mszę świętą do Gombina. Zofia dziwnie była blada i zmieniona. Po nabożeństwie, pani Grodzicka wyszła do zakrystyi, i w imieniu Zofii zaprosiła księdza proboszcza na obiad, na co on przystał chętnie, obiecując rychłe przybycie.

Dzień cały zbiegł szybko. Oprócz proboszcza, przyjechał na obiad sędzia. Z sędzią zabrał się i stary Bartłomiej, niby to na polowanie (miał bowiem flintę na ramieniu i znanego nam wyżła z sobą), ale podobno głównym powodem jego przyjazdu, była chęć pogawędki ze starą Walentową, bez której stęsknił się od miesiąca.

Stary Bartłomiej przyjechawszy, oddał Zofii list pana Rolskiego, pełen szczerego współczucia, w którym oznajmiał jój, że skoro się tylko droga ustali, przyjedzie wraz z żoną do Łuzewa, na dzień Matki

Najświętszej (ósmego grudnia). Zofia ucieszyła się szczerze z owój wiadomości.

— A wie też panieneczka? rzekł stary sługa, że pan Feliks wraca pono do Gradowa? Pan nasz jeździł umyślnie do pani majorowej, i uprosił, że namówiła na to panicza. A i pan Antoni był u nas zeszłej niedzieli.

Zofia zmieszała się widocznie. Żywy rumieniec wystąpił na lica Anieli.

Nadszedł wieczór. Zofia znając upodobanie sędziego i proboszcza, po herbacie namówiła wszystkich do ćwika. Rozstawiono stolik, a obecni obsiedli go dokoła.

Już gra trwała od godziny, skończył się właśnie spór o płatkę pomiędzy sędzią a proboszczem, na Zofię wypadła kolej rozdawania kart.

Zegar cyknął przed wybiciem ósmej, ręka Zofii zadrżała, lica jej zbladły, lekki łuskot bowiem dał się słyszeć w przyległym pokoju.

— Co to jest? zagadnął sędzia, zdaje się jakby ktoś chodził po pokoju, a przecież zdaje mi się, że nie ma tam wejścia od sieni.

— Nie ma, odparła Zofia, wyświęcając na stole dwie karty, w miejsce jednej.

— Przecież my gramy w ćwika, nie w wołoszyna, rzekł sędzia z uśmiechem. No, aleć to paniom wolno czasem mieć maleńkie roztargnienia.

Wtém łoskot coraz się stawał głośniejszym. Pani Grodzicka obejrzała się nieśmiało, ręce Zofii drżały.

— Oho! jestem w domu, rzekł proboszcz, toć to pewnie ten duch, co mi o nim dziś rano mówiła tujejsza gospodyni. Zapomniałem o nim na śmierć.

Zofia milczała drżąca i blada.

— Jaki duch? zapytał ciekawie sędzia, toć to chyba szczury albo myszy, i nic innego. Ćwikuję, zawołał dobitnie, ujrzawszy tuza i kralkę w kartach, które mu Zofia podała.

Nikt nie pomagał sędziemu.

— Co ty robisz Zosiu? rzekła pani Grodzicka, nie pomagasz na taką kartę? masz przecie króla z podwójną osadą!

— Przepadło! zawołał sędzia śmiejąc się na głos, i zagarnął pulę.

Łoskot nie ustawał. Mimo to, proboszcz i sędzia grali z zajęciem, bo kilka piatek uzbierało się na stole.

Stara Walentowa siedziała tymczasem w swojej izdebce przy kominku, gawędząc z Bartłomiejem. Izdebka przedzielona była tylko ścianą od pokoju, gdzie stało biurko.

— Co się też wasani dzieje ze strachami? mówił stary sługa zażywając tabakę.

— Ba! co się dzieje? co się dzieje? usłyszysz wasan zaraz. Oj! co też ta panna Zofia zrobiła najlepszego, że się tu przeniosła z Gradowa! Człek nie ma nocy spokojnej; wojuje coś jeno i wojuje bez ustanku. Ot i ekonom powiadał mi, że to tu nie dopiero tak przeszkadza. Niedarmo też dwór stał tyle lat pustkami. Ktoby im bronił mieszkać tu, a oni przecież woleli unieść się na folwarku.

— Babskie przywidzenia zwyczajnie, odparł Bartłomiej. Zażyj-no jójmość tabaki, to wnet i strachy ustąpią; a dobra, prawdziwa albanka, dodał podając tabakierkę.

— Pewnieć jak zawsze, sam-pan-tre, już nie pomnę, jak tam dalej po hiszpańsku, rzekła z uśmiechem Walentowa.

— Nie, dalibóg nie, kupiłem dzisiaj ołówek za dwa złote w Gombinie.

Walentowa wyciągnęła rękę po tabakę, wtém re-

ka jój zadrżała. Zegar wybił ósmą, a po chwili łoskot dał się słyszeć w przyległym pokoju.

Umilkli oboje przysłuchując się bacznie, hałas tymczasem stawał się coraz silniejszy; zdawało się zupełnie, jakby ktoś uderzał młotkiem.

— A co? rzekła stara zmienionym głosem.

— No i cóż? nic.... odparł Bartłomiej, mysz albo szczur i nic innego; zaraz ja wypłoszę tego stracha.

— Ba! mysz albo szczur, powtórzyła Walentowa. Oj niedowiarki boże!... a ja powiadam wasanu, że to nic innego, jeno duch jegomości kołacze się po biórku. Oj! boć on to tam za życia, schował, Panie odpuść, niejedyn grosz z krzywdą ludzką nabyty.

Bartłomiej nie odrzekł nic, skinął tylko głową, i zażył resztę tabaki, którą trzymał w palcach.

— A żebyś wasan wiedział, jak to nieboszczykowi straszno z oczu patrzy na tym obrazie, co to tam wisi nad biórkiem! Zdaje się jakby chciał wzrokiem przebić człowieka na wylot. Ile razy tam idę choć we dnie, to aż mrowie po mnie przechodzi, a co wieczór, tobym nie poszła, choćby mi kto złote góry obiecywał.

— No, to ja pójdę sam, rzekł powstając stary sługa.

— A kiedy nie ma innych drzwi, jeno przez pokój gdzie państwo grają w karty.

W téj chwili coś huknęło silniej.

— Jezus, Panno Marya! zawołała Walentowa a toć to zupełnie, jakby kto odrywał zamek.

— Gadasz wasani, odparł Bartłomiej, ale co prawda, to na szczura trochę za mocno.

— A widzisz jegomość, że stara nie zmyśla. Oj Panie! Panie! zmiłuj się nad nami. A powiadam wasanu, że nieboszczyk zaczął konać rychtyk o ósméj.

— No, to i cóż z tego?

— A skonał o północy; to téż i duch tak samo co dnia wojuje.

— Ej! duch, duch, kto umarł, to już i nie powstanie jako żywo.

— Ba i bardzo! a kiedy ludzka krzywda cięży na sumieniu, to pono nie ma spokojności i w grobie!...

— Co tam wasani przypominać ludzkie krzywdy. Ponoć już ludzie o nich zapomnieli. Pojednali się tam oni na tamtym świecie, boć już wszystkich i krzywdzicieli i pokrzywdzonych pokryła zarówno święta ziemia.

— Ale Pan Bóg nie zapomniał, rzekła stara, przypomina On krzywdę i w dziesiątém pokoleniu, a na

bożym świecie, nie pono ludziom nie przechodzi płazem. Choć to niby jako tako idzie w tém życiu, toć jeszcze nie skończony rachunek z Panem Bogiem: trzeba zawsze odpokutować za swoje.

— Wiem ci ja o tém dobrze, rzekł stary skłaniając głowę, to też człowiek strzeże się jak ognia obrazy boskiej; ale żeby duchy miały powracać na ziemię, to mi się jakoś nie widzi.

Wtém dało się słyszeć silne uderzenie, jakby spadnięcie znacznego ciężaru.

— Matko Najświętsza! ratuj nas sieroty, zawołała Walentowa załamując ręce.

Bartłomiej powstał co żywo z ławki.

— Nie ma rady, zawołała stara, przychodząc do siebie z pierwszego osłupienia; idźmy do księdza proboszcza, niech pokropi, niech się pomodli, i to mówiąc, wzięła ze stołu wodę święconą, przygotowaną wraz z kropidłem, i wybiegła żwawo, trzymając się drugą ręką kapoty Bartłomieja, który przyświecał łojową świeczką.

Przeszedłszy przez parę pustych pokoi, przerażona Walentowa otworzyła drzwi pokoju, gdzie przed chwilą zostawiliśmy zgromadzonych.

Stolik stał na środku, rozrzucone karty i pienią-

dze leżały na nim w nieładzie. Pokój przyległy rozwarty był na rozcież, i dolatały z niego przerażone głosy obecnych.

Walentowa z Bartłomiejem poszli ku nim. Zofia blada, posiniała, stała wsparta o biórko, sędzia i proboszcz dobierali kluczyka do zamku. Aniela trzymała świecę drżącą ręką, pani Grodzicka stała w milczeniu, poruszając ustami jakby w modlitwie.

Miejsce, gdzie nad biórką zawieszony był portret nieboszczyka, odznaczało się jaśniejszą barwą na tle przykurzonej błękitnej ściany, ale portretu nie było wcale, sterczał tylko hak żelazny wbity w ścianę.

— Jezus, Panno Maryo! a gdzie obraz, zagadnęła bledniejąc Walentowa, i wskazała próżne miejsce Bartłomiejowi.

Stary zbliżył się ku biórkowi ze świecą, i wydobyl z po-za niego portret okryty pajęczyną.

— A toć to rdza przegryzła drut, rzekł Bartłomiej, przyglądając się ze świecą.

Światło padało prosto na portret, i odkrywało srogie i gniewne oblicze nieboszczyka; czoło jego pocięte było w liczne bruzdy, oko głęboko wklęsłe płonąć się zdało ogniem.

Stara Walentowa spojrzała nań z boku, i krzyknęła przerażona.

— Oto woda święcona i kropidło, rzekła zcicha, jakby lękając się własnego głosu, i to mówiąc, pociągnęła proboszcza za poję od sutanny.

Ksiądz ujął kropidło, poświęcił biórko i ściany wokoło, ukląkł i modlił się na głos za dusze zmarłe. Za nim poklękli wszyscy.

Głęboka cisza chwilę panowała w pokoju, słychać tylko było słowa modlitwy i głośnie wzdychanie Walentowej.

Niebawem powstali wszyscy, Zofia tylko napół martwa, klęczała wsparta o krzesło.

Łoskot dał się słyszeć znowu, ale już nie tak mocny.

— No, zaczęliśmy od Pana Boga, rzekł sędzia, teraz trzeba nam się samym przekonać naocznie, co tam być może takiego?

To mówiąc, popróbował jeszcze jednego klucza, włożył go z oporem w zamek, przekręcił po dwakroć.

Bartłomiej przysunął się do otwartego już biórka, i przyglądał się bacznie szufladkom i przegródkom, każdą z nich wyciągał po kolei.

— Ani śladu myszy ani szczura, rzekł wsuwając ostatnią.

— Ja zaraz mówiłam, że to jakieś nadludzkie sprawy, szepnęła do niego Walentowa.

Wtém znowu coś zachrzesło. Bartłomiej odskoczył nagle.

Proboszcz wyciągnął główną szufladę u samej góry, z kąd zdawał się dolatywać hałas, ale i tam nic nie mógł dopatrzeć.

— Dziwna rzecz, rzekł, czy tam w głębi nie ma jakiej ukrytej jeszcze szuflady, boć ta daleko węższa, niżeli szerokość biórka.

— Prawda, odparł przypatrując się sędzia, zostaje prawie połowa miejsca. Kto wie, czy nie ma gdzie skrytej sprężyny?

Proboszcz pociągnął ręką, natrafiał na jakąś nieznaczną wypukłość.

— Poświęć-no tu pani, rzekł zwracając się do Anieli.

Ona blada i drżąca, zbliżyła się ze świecą.

— Jest coś, doprawdy jest coś, rzekł ksiądz, i to mówiąc, przycisnął palcem: szuflada ukryta wyskoczyła naprzód.

W szufladzie pełno było papierów. Proboszcz wyciągnął ją zupełnie i postawił na otwartój klapie.

— Odkrycie! ważne odkrycie! rzekł sędzia, ależ i tu niewidać śladu myszy.

— Jakie odkrycie? zagadnęła stłumionym głosem Zofia powstając z kolan, wsparta na rękę pani Grodzickiej, która obok niej stała.

— Papiery jakieś stare, odparł obojętnie proboszcz.

— Papiery! zawołała Zofia, jakie papiery?

— To do pani należy przekonać się jakie, rzekł ksiądz, boć to widać papiery pozostałe po nieboszczyku jój ojcu.

Zofia zebrała pozostałe siły: przystąpiła do biórka i rzuciła okiem na rozrzucone w szufladzie papiery, poźółkłe od czasu i wilgoci.

— Wielki list niezapieczętowany, położony w głębi szuflady, wpadł jój naprzód w oko. Wzięła go drżącą ręką, otworzyła, przebiegła wzrokiem. Twarz jój dziwnie się zmieniła, nogi zachwiały, łzy obficie płynęły po zbladłym jój licu.

Głębokie panowało milczenie.

— Nic to, nic, rzekła Zofia, chowając papier

w szufladę i zamykając biórko, to rachunki mojego ojca.

Nikt nie ośmielił się czynić zapytania, wszyscy jednak dostrzegli coś niezwykłego w postaci Zofii.

— Prawda, rzekła zcicha, jakby odpowiadając na własną myśl, tu niéma tajemnicy, tu jój być nie powinno! Wszakże żal i zadosyć uczynienie zgładzają popełnione winy, tak przed Bogiem jak i przed ludzmi. Zresztą rzecz ta prędzej czy później musi być wszystkim wiadomą.

— Tak, Bóg żąda tylko żalu i poprawy, rzekł pleban.

Zofia otworzyła biórko, dobyła złożony papier, spojrzała na portret.

— Ojczy! rzekła, przebacz mi! ależ sprawiedliwość wymaga tego koniecznie. Przejdźmy tam, dała wskazując ręką drzwi przyległego pokoju.

— Patrzcie-no panie Bartłomieju, rzekła stara sługa półgłosem, wskazując z boku na obraz, a toć to Panie odpuść, jakby się rozjaśniło czoło nieboszczyka.

Bartłomiej spojrzał i skinął głową w milczeniu.

Zofia wyszła naprzód z pokoju, wszyscy udali się za nią, i zasiedli dokoła stolik, na którym leżały jesz-

cze karty rozrzucone w nieładzie. Walentowa i Bartłomiej stanęli przy kominie, poglądając ciekawie na siebie.

— Oto testament mego ojca, napisany na kilka dni przed śmiercią, rzekła Zofia drżącym głosem.

— Testament? powtórzyli wszyscy z głębokim podziwieniem.

— Tak, testament, odparła, a te zawarte w nim słowa:

„Mając niezadługo zapewne stanąć przed boskim majestatem (czytała zwolna), pragnę gorąco oczyścić sumienie z ciężającej na niem winy. Dusza moja nie dozna spoczynku, dopóki sprawiedliwość nie spełni się na ziemi. Krzywda bowiem sieroty dręczy ją od lat wielu. Wstyd jedynie nie dopuścił mi uiścić się za życia, teraz już za późno; godziny moje rozliczone na świecie. Upominam więc żonę moję, aby przeczytawszy to pismo, uczyniła natychmiast zadosyć mojej ostatniej woli, a tą jest, aby połowa pozostałego po mnie majątku, przeszła w ręce prawego jego właściciela, Kazimierza Brodzica. Nietyle wprawdzie wynosiła jego własność, którą nieprawnie zagarnąłem, ale mając w ręku majątek jego od lat dwudziestu kilku, powiększyłem go przynajmniej o połowę.

Z pozostałej reszty, żądam, aby żona moja, a następnie córka, skoro obejmie majątek, przeznaczają corocznie dwa tysiące złotych na korzyść wdów i sierot. Będzie to jakie takie zadosyć uczynienie przed Bogiem za moje winy. Ufam Jego najwyższemu miłosierdziu, że nie wzgardzi szczerym moim żalem i pokutą, i będzie litościw mojej grzesznej duszy. Polecam się nadto pobożnym modlitwom tak żony jako i córki mojej.“

(podpisano)

Wincenty Rolski

manu propria.

Głos Zofii drzał coraz bardziej, w miarę jak czytała ojcowskie słowa. Gdy przestała, nikt długo nie odważył się przerwać milczenia.

— Panie Jezu, chwala Tobie, rzekła nakoniec półgłosem Walentowa. No, panie Bartłomieju, do-dała biorąc starego za połę, pójdźmy do izdebki, nie mamy tu już co robić.

I wyszli oboje z pokoju.

— Cóż pani teraz zamyśla? zagadnął sędzia Zofią.

— Myślę jechać do Gradowa, odparła. Złożę te-

stament w ręce wuja, z poleceniem aby oddał co komu należy.

— Zapewne, rzekł sędzia, najlepsza to droga. Pan Rolski powinien natychmiast jechać do majowej.

— I kiedyż się wybierasz do Gradowa? zagadnęła Aniela.

— Jutro rano. Wstąpimy po drodze do Gombina na żałobne nabożeństwo.

— Prawda, toć to jutro Zaduszki, rzekł sędzia.

— Zaduszki, powtórzyła Zofia skłaniając głowę.

— Dziwnarzecz, dziwna rzecz, mówił proboszcz zażywając tabakę, a jeszcze do tego w taki dzień, to oczywisty palec Boży!

— A gdzie go człowiek nie dostrzeże? przerwała pani Grodzicka, wszędzie i zawsze można go dopatrzeć, byle tylko człowiek nie był dobrowolnie zaślepionym.

Niedługo potem rozeszli się wszyscy. Zofia do północy modliła się gorąco. Udała się w końcu na spoczynek, ale umysł jej zanadto był wzburzonym, zanadto sprzeczne uczucia wstrząsały jej duszą naprzemiany, aby zasnąć mogła. Aniela zarówno pomięsza-

na, przybiegła do jój pokoju, usiadła w nogach na łóżku.

— Zosiu, Zosiu! zawołała z zapalem, a co, czy nie mówiłam? my będziemy jeszcze szczęśliwe.

— Ty będziesz szczęśliwa, odparła smutno Zofia, pewna jestem że Antoni cię kocha. Wszelkie przeszkody, jakie dotąd być mogły, usuną się niebawem.

— Kiedy ty zawsze wątpisz, moja Zosiu! Co do mnie, nie wątpię, że i ciebie czeka szczęście, tém większe, że okupione długim, ciężkim bólem.

— Toby było zawiele! nie Anielciu, to być nie może. Człowiek nie stworzony do tak zupełnej pomysłności.

— Co téż ty mówisz! Pan Bóg miałby stworzyć człowieka, a nie dać mu prawa do szczęścia? O! to bluźnierstwo! On przecież ojcem naszym, rzekła żywo Aniela.

— Prawda że ojcem, odparła Zofia, ojcem kiedy pociesza, ojcem kiedy karze i zsyła próby.

— Mnie tylko boli, przerwała Aniela, że moja matka nie będzie patrzeć na moje szczęście. Mój Boże! ona tak zawsze przemyślała, czy ja aby za mąż pójdę. Biedna, biedna matka!

— Alboż to niema tajemnego związku między

temi co żyli, a temi co żyją? zagadnęła Zofia. O Anieli-
ciu, zbyt świeży mamy dowód, aby o tem wątpić.

— Prawda, prawda!

Aniela i Zofia przegawędziły noc całą, ze świtem powstały i wybierać się poczęły w drogę do Gradowa.

Około dziewiątej, obiedwie w towarzystwie sędziego i starój Walentowej, wyjechały z domu. W pół godziny potém powóz ich wtoczył się na gombiński rynek. Stary Bartłomiej zsiadł z kozła, otworzył drzwiczki, i koleją podawał rękę wysiadającym.

W kościele proboszcz z wikarym i organistą odśpiewali właśnie wigilie za dusze zmarłe, gdy nasi podróżni wchodzili do kościoła. W pośrodku stał wysoki katafalk okryty kirem z trumną na wierzchu, trupie główki i kości na krzyż ułożone były na stopniach katafalka, świece wysokie płonęły dokoła.

Rozpoczęło się żałobne nabożeństwo: organy zabrzmiały ponuro. Zofia i Aniela, modliły się gorąco; łzy strumieniem płynęły po bladym licu Zofii. Walentowa wzdychała ciężko, siedząc w ławce za niemi.

Na końcu mszy świętej proboszcz grobowym głosem zaśpiewał *Requiescat in pace*, wszyscy niemal

obecni zadrżeli, przejęci mimowolnem przerażeniem, jakby anioł śmierci przeleciał wśród świątyni.

Proboszcz wstąpił na kazalnicę, przemówił o śmierci, po kazaniu wyliczył długi szereg dusz zmarłych, polecając za nie pobożne modlitwy zgromadzonym.

Po nabożeństwie organista ujął żałobną chorągiew, a pobożny lud wyszedłszy za nim z kościoła, udał się orszakiem na cmentarz, śpiewając litanie za dusze zmarłe. Pleban szedł na czele, przybrany w żałobną kapę, trzymając w ręku ukrzyżowanego Chrystusa.

Przybywszy na obszerny, ocieniony drzewami cmentarz, Zofia usunęła się nieco na bok, i uklękła u stóp wspaniałego grobowca, w którym spoczywały zwłoki obojga jej rodziców. Aniela i Walentowa uklękły za nią. Ciche łkanie wydzierało się z piersi córki, wtórzyły jej łkania przyjaciółki i wierniej służy.

I znów wszyscy orszakiem! powrócili do kościoła, kończąc litanie. Po skończonym obrzędzie lud rozchodzić się począł. Zofia z Anielą, jej ojcem i Walentową wsiadła do powozu, który puścił się szybko gościńcem ku Gradowu.

Dzień był chłodny i wietrzny jak najczęściej w Za-

duszki, grube obłoki przepływały po niebie. Nagie gałęzie drzew sterczały otrząśnięte prawie do reszty z liścia, którym miotał wicher jesienny, a wrony i kruki krążyły ponad ziemią, jak zazwyczaj na słotę.

Pan Rolski z fajką w ustach chodził po swoim pokoju w Gradowie w towarzystwie Feliksa. Tylko co wybiła godzina czwarta z południa.

— Dobrze żeś przyjechał mój drogi, mówił do młodziana, wdzięczen ci jestem za pośpiech, ale jakżeś się wydobył z Rogożewa?

— Wystarałem się o zastępcę, odparł Feliks. Wiedziałem właśnie o jednym z moich kolegów z Marymontu, który szukał miejsca przy cukrowni.

— Niełatwo cię to podobno zastąpić mój Feliksie, ja sam nie wiem jakbym sobie dał radę bez ciebie. Ale przyznajże mi się teraz mój kochany, coś tak jak oparzony uciekł z Gradowa?

— Nie pytaj mnie pan o to, błagam jak o największą łaskę, rzekł Feliks widocznie pomieszany.

— Chcesz, toć już nie powiem ani słowa, ale Bogiem a prawdą, byłem pewny żeś pojechał za tą pa-

pugą Florentyną, tymczasem jak sam powiadasz, nie widziałeś jój wcale jak w Gradowie.

— Mogę pana zapewnić.

— No! już nie wiem czyś ją kochał, czy nie, bo nie byłem w twojem sercu, ale co ona to szalała za tobą. Ktoby był powiedział że się tak prędko pocieszysz, i pójdzie za hrabiego?

— Co pan chcesz? ja jój przecie żadnej nie czyniłem nadziei, a jeżeli się mną zajęła, to dlatego jedynie, że ją drażnił mój opór.

— Ale hrabia djabelnie spuścił z tonu; marzył o] Zosi, a potem musiał nieborak poprzestać na francuzce. No, albo i ta Zosia! co jój też w głowie! jak się uwzięła żeby się przenieść do Łuzewa, tak żadne rady i namowy nic nie pomogły, i dokazała swego. Z początku przykro mi było co prawda, ale w końcu musiałem przebaczyć, bo też zastanowiwszy się dobrze, nic nie było tak dalece niedorzecznego w jój żądaniu. Jużciż każdemu miły własny kącik. A wybieramy się też z żoną i dziećmi do niej na matkę Boską; pojedziesz i ty z nami, nieprawda?

— Niepodobna, odparł zmieszany Feliks, cukrownia będzie właśnie iść w najlepsze.

— Cóż tam, parę dni nie przecie nie stanowi. Ale potem o tém, jeszcze mamy dość czasu. Patrz no Feliksie, dodał spoglądając w okno, zdaje mi się, że ktoś jedzie drogą od dębiny.

— Podobno, odparł Feliks.

— To może sędzia wraca od Zosi, ale na niego toby było zawczasu, wątpię żeby go już wypuściła, nie nacieszył się jeszcze z córeczką.

— To panna Aniela ciągle bawi w Łużewie? zagadnął Feliks nieśmiało, czy nie wróci do ojca?

— Wątpię, odparł pan Rolski, to serdeczne przyjaciółki z Zosią, nie mogą żyć bez siebie. Ale wiesz co? kto wie czy twój braciszek nie zakochany trochę, plonił się tu nieborak ile razy wspomniałem o Anieli.

— Trudno jemu myśleć teraz o żonie, rzekł Feliks, musi jeszcze dobrze kilka lat popracować.

— I Aniela młoda, zaczekać może, kto wie na co się to przyda. Ale patrz no Feliksie, powóz wjeżdża w opłotki.

— Może przejedzie gościńcem.

— Nie, otóż i skręca w bramę. Doprawdy to powóz i konie Zosi, a to stary Bartłomiej siedzi na

koźle, Rezon nawet leci przed końmi. Co się to stało, na Boga?

Feliks blady był jak mur. Pan Rolski spojrział nań przelotnie, i spostrzegł dziwną zmianę młodziana.

— Co tobie jest? zapytał z współczuciem, czyś ty nie chory?

— Nie, odparł Feliks drżącym głosem.

Nagła myśl przebiegła jak błyskawica w głowie pana Rolskiego.

— Jestem teraz w domu! pomyślał w duchu.

I wyszedł przed ganek, ciągnąc niemal za rękę Feliksa, który postępował za nim, nie wiedząc sam co czyni.

Zofia wysiadła tymczasem z powozu, oparta na rękę sędziego, który wyskoczył naprzód. Pan Rolski zszedł ze schodów, uścisnął synowicę, wprowadził ją na ganek. Zofia spostrzegła nagle Feliksa wspartego o kolumnę.

— O Boże! zawołała zcicha, i śmiertelna bladeść okryła blade i tak jej policzki.

Zmiana ta nie uszła bacznój uwagi wuja, który zbadawszy tajemnicę Feliksa, ciekawy był téż zajrzeć w głąb duszy Zofii.

Jedno wejrzenie wskazało mu prawdę.

Zofia podała drżącą rękę Feliksowi, on ją w milczeniu przycisnął do ust z uczuciem.

Pan Rolski wprowadził wszystkich do sali, gdzie siedziała żona z dziećmi. Pani Rolska jako w dzień żałobny, ubrana była w czarny jedwabny szlafroczek, i także koronkowe upięcie na głowie. Francuz i Angielka, siedząc koło stołu, przeglądali książki i ryciny.

— Patrz żono, rzekł wesoło pan Rolski, choć to Zaduszki, ale dla mnie wesoły to dzień zaprawdę. Znajdujemy się wszyscy jak w zeszłym roku, jest Zosia, jest Feliks, i panna Aniela, i sędzia, nikogo nie brakuje.

— Brakuje panny Florentyny, a terazniejszej hrabiny Alfredowej, rzekła pani Rolska, złośliwie przygryzając usta.

— Chyba tobie jój brakuje, odparł mąż; nie masz z kim rozprawiać o strojach i modach, bo co z nas to nikt podobno za nią nie tęskni.

— Kto wie, może i tęskni.

— Jak cię kocham, że nie. Była przecie do więzienia, ktoby był chciał, toby był ją i dostał.

Nagły rumieniec wystąpił na lica Zofii. W mgnieniu oka wątpliwość ustąpiła z jej duszy. Aniela stojąca właśnie przy niej, w milczeniu uściśniła jej rękę.

Feliks był jakby na torturach.

Po krótkiej ogólnej rozmowie, Zofia wyprowadziła pana Rolskiego do jego pokoju.

— Zosiu, powiedz co to się stało? zapytał wuj, widzę coś niezwyčajnego w całej twojej postaci.

— Prawda! coś niezwyčajnego wuju drogi! Bóg okazał w tem co się stało, swą moc i łaskę cudowną!

Tu opowiedziała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

— Dziwna rzecz! niepojęta! powtarzał pan Rolski. Ależ nie trzeba tego było rozgłaszać, byłoby się wszystko pokryło tajemnicą. Zawsze to jakoś rzuca cień na pamięć twego ojca.

— Ludzie znali jego błędy, odparła Zofia, niechże wiedzą o jego żalu i poprawie. To mu nie czyn krzywdy mój wuju!

— Prawda! masz słuszość moje dziecie! Ale od czegożby tu zacząć, rzekł po chwili, przykładając pa-

lec do czoła, jakby chciał zebrać myśli. Bo na czem skończyć, to już wiem doskonale, dodał zwracając się z uśmiechem do synowicy.

— Na czemże wujaszku?

— Na weselu twojem z Feliksem.

Krew omało że nie wytrysła z lica Zofii, nie odrzekła ani słowa.

— Moje dziecko, rzekł wuj, wiem że go kochasz, wiem że się kochacie, jeden rzut oka przekonał mnie o tem. Będziecie szczęśliwi jak Bóg na niebie, bo wasze serca dobre i poczciwe, a wola silna i niezłomna.

Zofia rzuciła się milcząc w objęcia wuja, który ją z uczuciem przycisnął do piersi.

Po chwili pan Rolski wyszedł spiesznie z pokoju, zostawiwszy pomiesznaną i zapłcioną Zofią, i niebawem powrócił, prowadząc Feliksa pod rękę.

— Wytłumaczcież się sobie otwarcie; rzekł, dosyć już długo zaprawdę odgrywaliście komedję.

— Ależ panie, miej litość nademną, odparł Feliks, ujmując jego rękę.

— Ty sam mój kochany, miej litość nad sobą, bo

dotąd nie miałeś jęj podobno. Pięknje to zaprawdę, chwale i podziwiam twą moralną siłę, choćbym jęj może naśladować nie umiał, ale czas zakończyć wszystko. Powiedz że jęj przecie, że ją kochasz!

Zofia zasłoniła oczy chustką.

— Nie mogę panie, nie mogę, zawołał Feliks rozdartym głosem, poprzysiągłem to mojęj matce, i prędzej umrę, niżli złamię słowo!

— Ha, rozumiem! odparł pan Rolski. Ubogi Feliks poprzysiągł matce, że nie powie bogatęj Zofii, iż ją kocha, że nie chce ubiegać się o jęj rękę i majątek. Ale teraz rzecz się zmieniła. Patrz i czytaj!

To mówiąc podał Feliksowi otworzony testament.

— Prawdażto? zawołał młodzian, ja własnym oczom nie mogę dać wiary! to chyba sen!

— Nie sen, prawda oczywista!

To mówiąc pan Rolski wybiegł z pokoju oznajmić żonie i wszystkim zgromadzoným w salonie, o rozwiązaniu dziwnęj komedyi, która tak łatwo w smutny dramat zamienić się była mogła.

I my zostawmy Feliksa i Zofią samym sobie. Niech jedno drugiemu opowie nawzajem to wszystko, co aż nazbyt długo tłumili oboje w sercu. Szczęście

rozwiąże im zapewne usta, resztę dopowie wejrzenie. Nie znając słów na określenie zupełnego szczęścia, lepiej podobno złożyć pióro, aniżeli skazić obraz, malując go słabemi i nieudolnemi barwy.

XII.

Na drugi dzień po Zaduszkach, majorowa siedziała jak zwykle w oknie z robotą w ręku. Trzecia godzina wybiła niedawno, dzień był szary i pochmurny. Mrok zapadać zaczął wcześniej niż zawsze o téj porze. Majorowa złożyła zatém wcześniej robotę, dobyteła z szufladki zużyte już karty, i zaczęła układać kabałę.

— To będzie na intencyą Felusia, pomyślała w głębi duszy.

Kabała wychodziła szybko i szczęśliwie; powtórzona trzykrotnie, nie chybiła ani razu.

— Szczególna rzecz, idzie jak z płatką, myślała

sobie majorowa, jeszcze tak nigdy nie bywało. Kto wie! może też pan Bóg ulituje się nad nim, i da mu przynajmniej spokojność. Dobrze i to, gdy nie może być szczęścia! Biedne chłopczysko!

— Proszę pani, a toć to jakiś powóz zatrzymał się przy kołowrocie, zawołała wbiegając Nastusia.

— Kto by to był? rzekła majorowa, rzecz dziwna! nie spodziewam się nikogo, a do tego takim powozem. Nastusiu, a przystaw tam do ognia kawę i śmietankę z garnuszkim, dodała zwracając się do dziewczęc'a, a pošlij co rychlój Janka po kilka świeżych bułek do miasta.

Nastusia wybiegła spiesźnie spełnić polecenie.

Powóz tymczasem stanął przed dworkiem. Feliks wyskoczył zeń naprzód, i podał rękę wysiadającemu panu Rolskiemu. Majorowa dla osłabionego wzroku, poznać ich zrazu nie mogła, wyszła jednak do sieni, wierna starodawnój gościnności. Feliks rzucił się w objęcia matki. Pan Rolski ucałował jój rękę.

— Jakież szczęśliwy wypadek sprowadza pana do mego domku? rzekła majorowa uprzejmie.

— Zdziwiał to panią, odrzekł pan Rolski, boć zaledwie parę tygodni minęło jak tu byłem. Natrętny

ze mnie gość podobno, ale pocóżeś mnie pani popsula tak uprzejmem przyjęciem?

— O! Panie! odparła, czyliż nie masz prawa do wdzięczności matki, gdy tyle czynisz dla jęj dziecka?

— Cóż ja dla niego czynię? więcęj on dla mnie doprawdy. Ależ mi się oto zbuntował, i chce mnie znowu porzucić.

— Byćże to może, Feliksie?

— Tak matko droga, dowiesz się zaraz powodu, odparł syn. Pan Rolski wszystko opowie.

— Oto Feliks błaga naprzód o przebaczenie, rzekł pan Rolski z uśmiechem, nie dotrzymał danego słowa. O! ale też pani za wiele od niego żądałaś, ja sam nie byłbym lepszym!

— Feliksie, czyż to być może? rzekła matka bledniejąc, domyślała się bowiem, o co rzecz idzie.

— Powiedział Zosi, że ją kocha, i to oddawna, rzekł pan Rolski z uśmiechem.

— A twoja przysięga? a owa dumą, którą tak wysoko w tobie cenilaś, rzekła biorąc rękę syna, który klęczał pochylony u jęj kolan.

— Uczynił to bez ubliżenia, własnej godności, przerwał pan Rolski; ja sam upoważniłem go do tego, i przyrzekłem pośrednictwo u pani.

— To być nie może! Nie, nigdy!.... on ubogi.....

— Był nim, ale już nie jest; Zosia za to uboższa nierównie niż była.

— Jakto?

— Zaraz się pani dowiesz.

To mówiąc pan Rolski wydobyl testament z pugilaresu, i opowiedzial wszystko szczegółowo.

— Boże! niezmierna twoja sprawiedliwość, zawołała matka, wznosząc oczy do nieba.

— Zapewne, odparł pan Rolski, dziękuj pani Bogu, a nadewszystko za to, że ubóstwo nauczyło dzieci twoje być ludźmi i uszanować własną godność; gdyby byli wychowani w dostatkach, kto wie, czy dziś byłiby takimi.

— A więc przebaczasz mi matka? zapytał Feliks.

— Przebaczam, odparła, przebaczam i błogosławię. Godzien jesteś szczęścia, boś umiał na nie zasłużyć ofiarą i cierpieniem.

Feliks rzucił się do nóg matki. Ona przycisnęła go do piersi.

— O! i pani godną jesteś pociechy z dzieci, rzekł pan Rolski, boś umiała je wychować. I z głęboką czcią ucałował rękę majorowej.

— A Antoś, czy nic jeszcze o tém nie wie? zapytała.

— Pisałem do niego wczoraj, odparł Feliks, że ważny interes wzywa go tu jak najspieszniej. Przyjedzie zapewne jutro rannym pociągiem.

— Ale nie donosiłeś o co idzie?

— Nie, powiesz mu sama matko; chciałem ci pozostawić tę pociechę.

— Poczciwy Antoś, odparła, jakże on będzie szczęśliwy! A od niejakiego czasu posmutniał jakoś nieborak i zmizerniał.

— Domyślam ja się powodu, rzekł pan Rolski z uśmiechem.

— Jakiego? zapytała matka ciekawie.

— Cierpi z téj saméj przyczyny, co cierpiał biedny Feliks.

— Ależ to być nie może! ja nie wiem o niczém, rzekła matka. Felusiu, czy ty się czego domyślasz?

— Domyślam się matko, wiem nawet o co rzecz idzie. Antoś kocha Anielę.

— Mój Boże! rzekła majorowa, ja ich wychowałam, ja nie spuszczałam ich z oka i myśli, a oni bez mojej wiedzy rozrządzili sercami swemi.

Na te słowa, w oku majorowój zabłysła łza, podczas, gdy na ustach miły spoczywał uśmiech.

— Tu się ograniczają prawa matki, rzekł pan Rolski, tu wpływ jój nic działać nie może.

— Prawda, prawda, odparła, przecież to już ludzie. O! ale dla matki, dzieci zawsze dziećmi.

— Dziękuj pani, że przynajmniej synowie jój szczęśliwy uczynili wybór, boć i Anielka nie ustępuje Zosi.

Feliks spojrział z niedowierzaniem; pan Rolski zrozumiał wejrzenie młodziana.

— O! już ja wiem, rzekł z uśmiechem, że dla ciebie jedna tylko Zosia na świecie! Ależ i Anielka ma zalety. Dla Antosia nawet, usposobienie jój nierównie jest właściwsze. Mniej silna wprawdzie, ale za to tkliwa, kochająca, słowem prawdziwa kobieta.

— A Zofia, to znów dzielna niewiasta, o jakiej mówi ewangelia, odparł Feliks z dumą.

— Nie przeczę, rzekł pan Rolski, ale przyznajże sam, że nie każdy mógłby z nią znaleźć szczęście; pojęła to dobrze sama, i dlatego odmówiła tyłu innym, a czekała na ciebie. Jakoż zaprawdę, ty jeden jesteś jój godzien, teraz zwłaszcza, gdy przeciwność zahartowała twą duszę.

Rozmowę przerwała podana przez Nastusię kawa z świeżemi bułeczkami. Majorowa drżąca jeszcze od

niespodziewanego szczęścia, zajęła się gorliwie uczeniem gości.

Reszta dnia zeszła na rozlicznych projektach. Pan Rolski układał sprzedaż dwóch wiosek Zofii na zaspokojenie Feliksa i Antoniego. Wyłączył tylko od sprzedaży Łużew, gdzie mieszkali niegdyś jej rodzice. Feliks nie chciał słuchać o niczém, godził się na wszystko zawczasu.

— Zamieszkacie zapewne w Łużewie, rzekł pan Rolski do Feliksa.

— Wszędzie z nią będzie dla mnie niebo, odparł młodzian z zapalem.

— A i pani porzucić musisz swoją kolonią, dodał pan Rolski zwracając się do majorowej.

— Nie wiem jeszcze, zobaczę, odparła, radabym się wprawdzie zbliżyć do dzieci, aleć to zawsze człowiekowi najlepiej na własnych śmieciach.

— O matko, nie znasz Zofii! zawołał Feliks z zapalem, ona nic a nic nie podobna do drugich. My cię nie puścimy od siebie. Jak ją poznasz, przekonasz się sama, że nam dobrze będzie razem.

— Dostyc będzie czasu naradzić się nad tém moje dziecko.

— Sądzę, że nie ma koniecznego powodu zwłó-

czyć ślubu, rzekł pan Rolski. Przed adwentem, może się wszystko zakończyć.

Oko Feliksa błysnęło dziwną radością.

— Mieli przecież czas poznać się dostatecznie, odparła majorowa.

— I przekonać się, że mogą być szczęśliwi, dodał pan Rolski. Żeby tylko Antoś mógł najspieszniej przybyć, jechalibyśmy jutro zaraz wszyscy razem do Gradowa; przybyłem tu z umysłu wygodnym powozem.

— Jutro, przerwała majorowa, nie wiem czy aby Antoś zdąży. Co do mnie, jestem gotowa, boć kiedyż matka nie gotowa, jak idzie o szczęście dzieci?

Feliks przycisnął do ust jęj rękę.

— A przecież pani sama chciałaś poświęcić jego szczęście, rzekł pan Rolski z uśmiechem.

— Tak, odparła matka, gotowam była poświęcić je dla utrzymania jego godności, boć ta droższa jeszcze nad szczęście!

— Nie dziwię się, rzekł pan Rolski, że pani takich wychowałaś synów. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, mówi przysłowie.

I podał jęj rękę z uszanowaniem.

Nazajutrz z rana przybył Antoni. Radość jego była niewymowna. Po rychłym obiedzie, wszyscy razem puścili się ku Gradowu. O godzinie ósmej wieczorem byli już na miejscu.

Gdy powóz zaturkotał na dziedzińcu, Zofia, która właśnie siedziała w salonie obok ciotki, ujęła rękę Anieli, i pospieszyła ku drzwiom od przedpokoju.

— Zosiu, Zosiu! tak nie wypada, rzekła pani Rolska, umiérze zachować twą godność!

— Nie na tém ja ją zasadzam, moja ciociu, odparła żywo, dawno otrząsałam się już z owych drobnych formułek, boć te zawadzają tylko do szczęścia.

— Ależ są rzeczy, moje życie, które trzeba poświęcić dla świata.

— Świat żąda od nas kłamstwa, a ja poprzysięgam sobie nigdy w życiu nie skłamać, ani słowem, ani czynem.

To mówiąc wybiegła na ganek wraz z Anielą.

— Szalona głowa! przewrócona ze wszystkiém, bąknęła pani Rolska, i poprawiła się na kanapie.

Zofia tymczasem zeskoczyła lekko ze schodów, padła w objęcia majorowój, która ją ze łzą rozrzewnienia przycisnęła do serca.

Antoni pobiegł do Anieli, poznawszy ją przy świe-

tle kagańca, padajacém na jój twarz bladą. Uściskała jój rękę, ona oddała mu uściśnienie.

— I my będziemy szczęśliwi! nieprawdaż? zapytał młodzian.

— O tak! i my będziemy szczęśliwi, odparła nieśmiało Aniela.

— Moje dzieci, moje kochane dzieci, powtarzała majorowa, przyciskając kolejną do serca Zofię i Feliksa, którzy wprowadzili ją na ganek.

— I to twoje dzieci, matko, rzekła Zofia, wskazując Antoniego i Anielę.

Majorowa uściskała ich z równém uczuciem.

Stara Walentowa stojąc na boku obok Bartłomieja, ocierała łzy fartuchem.

— Mój Boże! mówiła półgłosem, czemuż tego nie doczekała nieboszczka!

Pan Rolski wprowadził majorowę do sali. Pani Rolska powstała poważnie z kanapy, powitała ją z chłodną grzecznością, i wskazała jój miejsce obok siebie.

Gospodarz domu pragnął całą duszą nagrodzić chłodną obojętność żony, wyprowadził ją wreszcie na bok pod okno.

— Kamilko, rzekł z przymileniem, jak mnie ko-

chasz, bądźże téż serdeczniejszą w obejściu. To nie kobieta z wielkiego świata, z nią trzeba inaczej!

— Przecież w niczem nie uchybiła, odparła żona.

— Ależ to nie dosyć nie uchybić! przerwał, trzeba przecież umieć ująć za serce. Zrób to dla mnie, jak mnie kochasz.

— A ty, czy kiedy zrobisz to, o co cię proszę?

— Jakto nie? alboż ci co kiedy odmówiłem?

— A czy nie prosiłam cię ze łzami, żebyś mnie w przeszłym miesiącu wziął z sobą do Warszawy?

— Już jak cię kocham pojedziemy w listopadzie, musisz przecie, sprawić sobie suknię i czepek na wesele Zosi.

Oko pani Rolskiej zajaśniało radością, na lica wystąpił rumieniec.

— Mój ty jedyny Edziu, rzekła z uśmiechem, bądź pewien, że wszystko z serca uczynię, co ci może być miłym. Nie sądź przecie, żeby za suknią, i wyjazd do Warszawy, dodała głaszcząc go pod brodę.

— Nie, moja Kamilko, znam cię, wiem że dobra z ciebie kobietka.

To mówiąc pan Rolski pocałował żonę w czoło. Pani Rolska powróciła na swoje miejsce, które przed chwilą zajmowała na kanapie, przymiliła się do majorowej, która chłodno i obojętnie przyjmowała jej grzeczności przesadne, a zatem nieserdeczne, i nie zobowiązujące. Zaczyna niewiasta, miała dar poznawania ludzi: za pierwszym rzutem oka, doświadczenie życia i przebyte koleje, rozwinęły jeszcze ową wrodzoną zdolność. Wreszcie, jakkolwiek nie posiadała wysokich nauk, miała przecież zdrowy praktyczny rozum, który wraz z głębokim uczuciem wewnętrznej godności, był jej zawsze skazówką, tak w pomyślniej jako i w złej doli. Gdyby więc nie szczere współczucie dla pana Rolskiego, byłaby niewątpliwie dała poznać jego żonie, że zna wartość monety, jaką odbiera. Jednak uszczęśliwiona matka niespodziewanym losem dzieci, znalazła w sercu dość chrześcijańskiego uczucia, aby pobłażać cudzym błędom i udać że ich nie spostrzega; wszystko więc szło jak najskładniej, i nic nie zamąciło ogólnej radości i serdecznej uciechy.

Reszta wieczoru zeszła na miłej pogadance, towarzystwo rozdzieliło się w końcu na części. Feliks, Antoni, Zofia i Aniela, otoczyli wiankiem podeszłą

matkę. Majorowa nie posiadała się ze szczęścia, Zofia ujęła ją zupełnie za serce, a obejściem serdecznem zniszczyła od razu małe uprzedzenie, jakie bez wiedzy matka Feliksa, mogła mieć w głębi duszy, dla córki téj, którą mąż jój kochał niegdyś tak gorąco. Aniela tkliwa, kochająca, pełna niewieścich przymiotów, i niewieściego wdzięku, niemniej przypadła jój do serca.

— Moje chłopcy, rzekła do synów z łagodnym uśmiechem, rozporządziliście sercami bez mojej wiedzy, ależ nie mam za to do was najmniejszego żalu, bo zaprawdę, trudno było lepszy uczynić wybór.

— Przekonamy cię matko, żeś się na nas nie zawiodła, odparła Zofia z uczuciem. Wymagamy tylko koniecznie wraz z Feliksem, żebyś porzuciła niepotrzebne względy, i zamieszkała razem z nami.

— Gdzież matce lepiej być może, jeżeli nie między dziećmi? odparła majorowa ze łzą w oku.

— A cóż dla nas zostanie? zapytała Aniela.

— Bądź spokojna, mój aniołku, rzekła matka, podzielę ja się między was, nie uczynię żadnemu krzywdy. Mój Boże! czemuż biedny mąż nie doczekał tego, czemuż nie może patrzeć na ich szczęście?

— Alboż on nie patrzy na nas z góry? odparła Zofia.

Majorowa skinęła głową i westchnęła z głębi serca.

Pani Rolska tymczasem przeglądała przyniesione z poczty żurnale i *Illustration*, w towarzystwie Angielki i Francuza. Dzieci papłotały między sobą po angielsku i francuzku. Pan Rolski rozmawiał z sędzią o cukrowni, rad, że otrzymał list z poczty, w którym pan G., biegły w cukrowniczym zawodzie, donosił mu, że przyjmuje zarząd fabryki w Gradowie i przybędzie niezwłocznie. Wszyscy więc byli zadowoleni, każdy po swojemu, to téż gdy wybiła godzina jedenasta, a goście równie jak i domownicy rozeszli się do przeznaczonych im pokoi, wszyscy zasnęli niebawem, marząc o szczęściu i nadziei.

Nazajutrz z rana, majorowa, która zajmowała dawny pokoić Zofii, wstała o świcie z łóżka i ubrała się przy pomocy staréj Walentowéj. Pocziwa sługa zwijała się skrzętnie i ochoczo, jakby jéj ubyło z jakie piętnaście lat życia.

— Oj! dobrzeć to się wielmożna pani zasługiwała Panu Bogu, mówiła Walentowa, kiedy jéj oto dał takich synów; a podobni do nieboszczyka, jak wykapał.

— Toście wy znali mego męża? zapytała majorowa.

— A jakże nie? proszę wielmożnej pani, przecieżem ja od maleńkiego wychowała się w domu nieboszczyków chorążstwa. Niech tam Pan Jezus świeci ich duszy. Dopiero jak panna Maryanna, a późniejsza matka panny Zofii, poszła za mąż, tak mnie téż zabrała z sobą do Łuzewa, i nie odstąpiłam jój już aż do śmierci, skonało niebożątko na mojem ręku.

— Doprawdy? odparła majorowa, miała to być zacna i dobra kobieta.

— Istny anioł! oj, ale Pan Jezus nie pożałował jój krzyża, zagryzło się niebożątko jako żywo.

Majorowa westchnęła i cień smutku przebiegł po jój bladém czole.

Walentowa oddaliła się w milczeniu; majorowa uklękła do modlitwy, i z głęboką pobożnością odmawiać jąła poranne pacierze. Jeszcze nie skończyła się modlić, gdy Zofia weszła do jój pokoju. Matka powstała z kolan, i z gorącym uczuciem przycisnęła do piersi przyszlą synowę.

Zasiadły obiedwie przy płonącym na kominie ogniu, i przez parę godzin rozmawiały z żywém za-

jęciem. O godzinie dziewiątej przyszła znowu stara Walentowa z oznajmieniem, że wszyscy zgromadzili się oddawna w jadalnej sali na kawę.

Majorowa i Zofia, zimną wodą ochłodziły oczy, na których widoczne jeszcze były łez ślady.

W ciągu dnia naradzono się nad oznaczeniem czasu ślubu. Zofia oświadczyła stanowczo, że nie przystanie nigdy, aby się miał odbyć przed styczniem, daremne były prośby i nalegania Feliksa, majorowa poprzestała odrazu na życzeniu Zofii.

— O co ci idzie, moja Zosiu? mówił pan Rolski, dom masz przecie urządzone zupełnie, niczego w nim nie brakuje.

— Prawda, odparła, ale przyrzekłam Anielci, że pójdziemy w dniu jednym do ołtarza. Pan Antoni musi przecie nająć i urządzić mieszkanie, a na to potrzeba czasu.

— A więc ty już stanowczo, umyśliłeś pozostać w Warszawie, mój Antosiu? zagadnął pan Rolski.

— Stanowczo, odparł Antoni. Panna Aniela zgadza się na to chętnie. Obznajmiłem się już ile tyle z sądownictwem, pójdę więc dalej rozpoczętą drogą.

— Spodziewam się że cię niedługo powitamy sędzią trybunału, rzekł pan Rolski. Dobrze robisz

mój drogi, niech każdy pilnuje swego powołania. Co do mnie, nie opuściłbym wsi, za nic w świecie, ale nie uprzedzam się za mojem zdaniem, i pojmuję, że drugim może być dobrze w mieście.

— Nie uprzedzasz się Edwardzie? przerwała żona, alboż ja cię od roku nie namawiam, żebyś mnie na zimę wysłał do Warszawy? Dzieci podrastają, potrzeba im przecież wyższych nauk i talentów.

— Ej pozory, pozory! jéjmość dobrodziejce co innego w myśli: nudno w Gradowie, niema się gdzie ustroić i pokazać. Znam ja cię dobrze Kamilko.

— Ty mnie znasz? o! że nie, to nie! Wy mężczyźni nie potraficie nas nigdy pojąć i ocenić naszego poświęcenia.

— Przypomniały ci się żonko dawne słowa Zosi. Ale ona teraz zmieniła podobno zdanie. Nieprawdaż?

Zosia uśmiechnęła się i w milczeniu spojrzała na Feliksa.

— Kobieta nigdy nie przyzna się do błędu, rzekł pan Rolski, zwracając się do Zofi.

— Dlaczego nie, mój wuju, odparła, co do mnie biję się w piersi, i mówię: moja wina!

Feliks z uczuciem przycisnął do ust jéj rękę.

— A zatem ślub stanowczo po nowym roku? zagadnął pan Rolski.

— Po nowym roku, odrzekła Zofia.

— Nie mamże racyi, odezwiała się pani Rolska, że wy mężczyźni nie macie na nic wyrozumienia? Zofia przecież potrzebuje wyprawy, musi po ślubie oddać wizyty w sąsiedztwie, musi się pokazać jako młoda mężatka. Wszystko to razem, tak sprawunki jak i robota sukien, zabierze z jakie parę miesięcy czasu, znam ja się na tém dobrze.

— O nie wątpię, odparł pan Rolski, że się moja Kamilka zna na tem doskonale.

Zofia z uśmiechem patrzyła na Feliksa.

Po kilkodniowym pobycie w Gradowie, majorowa odjechała do domu. Feliks przyrzekł panu Rolskiemu pozostać aż do czasu przybycia pana Stetler. Zofia odjechała do Łuzewa, wraz z Anielą i Walentową. Antoni pojechał do Warszawy.

Pani Grodzicka ze łzami w oczach, powitała wychowankę, lecz niedługo się z nią cieszyła w Łuzewie, Zofia bowiem wraz z Anielą pojechała do majorowej na dni kilka, Feliks jednak nie wiedział bynajmniej o owych odwiedzinach.

XIII.

Nadszedł styczeń, tak szczerze upragniony w kółku znanych nam osób. W kilka dni po trzech królach dworek w Łuzewie, ożywił się nagle: przybyła bowiem majorowa w towarzystwie dwóch synów, państwo Rolscy z dziećmi, Angielką i Francuzem. I stary Bartłomiej przybył zarówno z wielką pociechą Walentowój. Sedzia przywiózł z sobą młodszą córkę Marynię, z pensyi pani K... i trzech małych synków. Słowem Łuzew od lat dawnych nie pamiętał takiego zgiełku i wrzawy.

Zofia z jaśniejącem od radości okiem, przyjmowała w domu licznych gości. Pani Grodzicka pomagała jój w tém szczerze.

Pan Rolski w milczeniu obejrzał tajemnicze biórko, nie wspomniał przecież ani słowa o zaszłych niedawno wypadkach, nie chcąc sprawiać przykrości Zofii. Spokojność panowała w domu, Walentowa nawet przestała się bać zupełnie, nie zaniechała jednak odmawiać codziennie pacierzy za dusze zmarłe.

Nazajutrz po przyjeździe rodziny, ślub odbył się w gombińskim kościele. Zofia w towarzystwie majorowej, pana Rolskiego i Feliksa, zwiedziła grób rodziców. Oboje ukłękli u stóp kamiennego pomnika, pomodlili się pobożnie, a następnie udali się do kościoła. Obiedwie narzeczone jaśniały wdziękiem i radością. Szczęście upiękniło Zofią, blask dziwny nadając jej oku: na licu Anieli zakwitł lekki rumieniec. Feliks i Antoni, zapomieli o świecie całym, patrząc na przyszłe małżonki wejrzeniem pełnem miłości i nadziei. Majorowa co chwila składała ręce, a oczy wznosiła do nieba, dziękując Bogu za niespodziewaną pociechę, jaką podobało mu się opromienić jej podeszłe lata, i zagładzić ciężką niedolę całego życia, a myśl jej ściagała ciągle pamięć zmarłego męża, który nie mógł dzielić jej szczęścia i rodzicielskiej radości.

Pani Rolska z zadowoleniem przystroiła się w różową jedwabną suknię i czepeczek z różami; przykro jej tylko było, że nie miał kto ocenić jej wdzięków i stroju, nikogo bowiem z obcych nie było na ślubie, obecni zaś, zanadto zajęci byli własnem szczęściem, aby mieli zwracać uwagę na podobne drobnostki.

Walentowa ustroiła się w suty czepiec, ostatni dar Zofii, i suknią nową, podarowaną od niej z umysłu na wesele. Stara sługa, ocierała co chwila łzy, płynące po jej rumianej twarzy, i ustawicznie wspominała nieboszczkę. Bartłomiej także przybrał się w nową kapotę siwój barwy, nową jedwabną chustkę zawiązał na szyi. Co chwila zażywał tabakę, a nieudana radość jaśniała mu w oku, i rozchmurzała czoło.

Pani Grodzicka także, z uczuciem poglądała na Zofię. Wewnętrzne przekonanie mówiło jej, że i ona przyczyniła się niemało do jej szczęścia, hartując od dzieciństwa giętki jej umysł, i zwracając go nieustannie do rzeczywistego życia.

Oblicze Zofii przez cały dzień, dziwną jaśniało powagą, zdało się że patrzy w przyszłość bez trwogi, pewna że znajdzie szczęście, i nie dozna zawodu.

W głębokiem uczuciu, jakie odbijało w ciemnem jej oku, nie było uniesienia, ani chorobliwego zapалу, ale była prawda.

— Pójdźmy przez życie śmiało i odważnie rzekła do męża po powrocie z kościoła, wspierając rękę na jego ramieniu, ale nie poprzestajmy na własnem szczęściu, żyjmy dla drugich, wskazujmy innym drogę.

— Idźmy wytrwale, odparł Feliks, abyśmy stanawszy u kresu, nie żalowali zmarnowanego życia. Bóg nam dał wiele, umiejmy użyć Jego darów.

I dłonie ich zjednoczyły się w pełnym współczucia uścisku.

Jakby dla uzupełnienia uroku dnia tego, i ziemia pokryła się białym puchem. Słońce zabłysło chłodne, zimowe, ale świetne. Wszystkie oblicza rozjaśnione bijącym z zewnątrz blaskiem, piękniejsze były niż zwykle, a szczęście jednych, magnetycznym wpływem udzieliło się wszystkim!!

XIV.

Minął dzień ślubu, minęło parę dni następnych. Państwo Rolscy dla śniegu, który nagle zasłał pola i drogi, nie mogli wyjechać do Gradowa: musieli nawet odesłać powozy, i czekać na przybycie sanek, bo droga stawała się coraz bardziej nieprzebytą. Sędzia bawił zarówno z dziećmi. Nikomu jednak nie przykryło się w Łużewie, Zofia uprzedzała wszystkich życzenia i myśli. Dnie schodziły na rozmowie, wieczory na grze w ówika, na którego przyjeżdżał i ksiądz proboszcz z Gębina. Walentowa gawędziła w swojej izdebce z starym Bartłomiejem, odgarniając kozuski od śmietanki. Pan Rolski palił fajkę,

rozprawiał z sędzią i Feliksem o cukrowni. Majorowa z niewymowną rozkoszą patrzyła na szczęście dzieci.

Przybyły wreszcie sanki z Gradowa, śnieg padać przestał. Piętnastego stycznia w poranku, rozjechali się goście z Łuzewa, pozostała tylko majorowa i Aniela z Antonim. Nie było jednak pusto, bo szczęście zamieszkało ciche progi.

— Wiecie co, drogie dzieci — rzekła Majorowa po odjeździe państwa Rolskich — nim Antoś odjedzie z żoną do Warszawy, odwiedzmy razem Michałówkę, odwiedzmy grób poczciwego ojca, niech i on będzie świadkiem naszego wspólnego szczęścia.

— Dobrze matko droga — zawołał Feliks z zapalem — jakże to szczęśliwa myśl! pojedziemy jutro rano, szkoda że dziś już za późno, — dodał spoglądając na zegar, który skazywał drugą z południa, — gdyby nie to, moglibyśmy jechać natychmiast.

— Niepodobna mój Feliksie — rzekła matka — mamy sześć mil z okładem, zarwalibyśmy nocy, a śnieg zawiał i tak zapewne drogi.

— Ależ jutro pojedziemy o świcie — dodał Antoni — zadziwi się pan Mielecki, jak go znienacka

najędzie tyle gości. O mój Boże! co to za szczęście, zwiedzić owe ciche gniazdko, gdzie nam było tak dobrze!

— Oprowadzę cię Zosiu po wszystkich kącikach — rzekł Feliks całując z uczuciem rękę żony, — a w każdym pozostało tyle wspomnień z dzieciństwa i młodości!

— Miło mi będzie widzieć miejsca, gdzieś tak był swobodnym i szczęśliwym — rzekła z tkliwém współczuciem.

— O nie byłem szczęśliwszym niż teraz — odparł. — Prawda, miałem naówczas ojca, ale za to Bóg mi dał ciebie!

— Żeby aby posłużyła pogoda — rzekła Aniela.

— Choćby téż i śnieg padał, mniejsza o to — odparła Zofia — dla mamy i ciebie, są kryte sannie, ja nie lękam się zamieci, młoda jestem zdrowa, stawię jęj śmiało czoło, i wy także, nieprawda? — dodała zwracając się do Feliksa i Antoniego.

— Nieinaczéj — odparł Feliks — wiem ja o tém że i w życiu nie zawsze będzie pogoda, a jednak przy dobrej woli, miłości i zgodzie, wszystko się przetrwać musi.

— I przy pomocy Boskiej, — dodała Zofia.

— Prawda, prawda — rzekł Feliks — a więc bądź co bądź, pojedziemy jutro o świcie.

— Bądź co bądź — odparli wszyscy wesoło.

Przed wieczorem Zofia zaczęła czynić przygotowania do wycieczki. Walentowa pomagała jej, szczęśliwa że i ona odwiedzi domek, gdzie znany jej i pamiętny major, przepędził żywot cichy i pocziwy. Krzątała się więc jak mogła, nagotowała kawy podostatkiem, przewarzyła śmietankę, i zosobna ponalewała w butelki.

— Trzebaby napiec kapłonów — rzekła do Zofii, a niechby i indyczkę, toćby pono nie zawadziło, kto tam wie, jak przyjmie terazniejszy dziedzic tyle gości.

— Spodziewam się — odparła z uśmiechem Zofia — że będziemy dobrze przyjęci.

Walentowa kręciła głowę z niedowierzaniem.

Wieczór zbiegł szybko, nazajutrz sucho było i mroźno. Pierwszy brzask zrumienił niebo od wschodu, gdy sanki pozachodziły dzwoniąc, na dziedziniec.

O siódmój wyjechali wszyscy z Łużewa. Majorowa z Anielą i panią Grodzicką, wsiadły do krytych sani, Antoni towarzyszył im na koźle. Zofia i Feliks puścili się odkrytymi saneczkami; stara Walen-

towa, usłała sobie jakie takie siedzenie na przodzie, i umieściła się jak mogła, tuląc do siebie butelki z kawą i śmietanką, w obawie żeby nie popękały od mrozu.

Sanki jedne i drugie puściły się lotem strzały, po zasłanej śniegiem drodze. Mróz ciął twarz i oczy jadącym, oni przecież mało na to zważali. Niekiedy i kamień ukryty pod śniegiem, stanął im na drodze, nie było przecież żadnego wypadku, oprócz sztuku i chałasu.

Już ujechali blisko milę od domu, gdy słońce ukazało się na niebie w całym majestacie i ozłociło świat Boży.

Po wypoczynku w Kutnie, podróżni nasi, z radością w oku, i bijącym sercem, ruszyli gościńcem ku Łęczycy.

Oblicze Feliksa dziwnie jaśniało, gdy ścigał okiem znaną dobrze okolice. Z rozkoszą niepojętą tulił do piersi rękę Zofii.

— Patrz Zosiu — mówił — na lewo widać górę, tam bywaliśmy z rodzicami na świętą Małgorzatę, raz nawet odbyliśmy pieszą pielgrzymkę. Co to było uciechy! powstaliśmy właśnie z szkarlatyny, podczas której Matka ofiarowała nas opiece świętej.

— Pojmuję twą radość Feliksie— odparła Zofia i ja z równą prawie uciechą jechałam niedawno do Łuzewa. Prawda, że ja tam nie zostawiłam tylu miłych wspomnień. Tam straciłam Ojca, potem matkę, tam napatrzyłam się jęj łez!... a jednak miło mi było, gdym miała ujrzeć owe miejsca.

— Wspomnienie zawsze wspomnieniem, rzekł Feliks, zawsze miłe, czy to odbija przybytą boleść, czy szczęście!

— Zapewne, odparła żona, toć ja nie pojmuję samolubów, którzy zamykają się w chwili obecnej, nie sięgając okiem naprzód, nie oglądając się za siebie.

— Korzystać z obecnej chwili, pamiętać przeszłość, działać dla przyszłości, oto powinność człowieka, rzekł Feliks.

— To będzie zasadą naszego życia, dodała Zofia. I oczy ich spotkały się, i ręce uścisnęły, i długo patrząc w siebie nawzajem, nie zwrócili oka na otaczającą ich okolicę.

Sanki tymczasem sunęły szybko, słońce zniżając się coraz bardziej, rzucało rumiany blask zachodu na nieścignione okiem łączyckie błonia.

— O mój Boże! zawołał nagle Feliks, to Tum, a tam dalej widać już naszą Michałówkę. Patrz na to gniazdo bocianie Zosiu, i na tę studnię z żurawiem, poniżej widzisz mały dworek z wysokim dachem?

— Widzę, widzę, odparła Zofia.

Feliks umilkł, oko jego dziwnym zabłysło ogniem, serce biło gwałtownie. Zofia nie śmiała ani słówkiem przerwać uroczystego milczenia.

Wioska tymczasem, w miarę zbliżania, coraz wyraźniejszych nabierała kształtów. Suche gałęzie drzew, czerniejące zpod śniegu, odznaczały się wydatnie. Z kominów chat dym prosto szedł w górę sinemi kłębam i otaczał wioskę jakby obłokiem.

Przy krzyżu na rozstaju, sanki skręciły na lewo, i sunęły wąską drożyną ku wiosce; wjechały w opłotki.

— O mój Boże! czemuż obcy będzie świadkiem naszego wrażenia! rzekł Feliks, zwracając się do żony.

— Samolub z ciebie Feliksie, nie chcesz z drugimi dzielić się szczęściem.

— Nie Zosiu, ale boleśnie odkrywać serce przed tymi, którzy go pojąć nie zdołają.

Zofia milczała.

Sanki wjechały w bramę, którą mały chłopczyk otwierał z pośpiechem. Stały przed gankiem.

Na ganku stał Paweł w granatowej sukmanie, i wysokiej baraniiej czapce, przewiązywaną czerwona wstążką którą zdjął z siwej głowy, podczas gdy Feliks drżący od pomieszania, zeskakiwał z sanek.

Łza błyszczała w zapadłym oku starca, podniósł w milczeniu rękę, błogosławiąc zcicha Feliksa i Zofią, i podał im chleb z solą.

Feliks rzucił się w objęcia starego go spodarza ły gorące zalały twarz młodziana.

— Pawle! rzekł zmienionym głosem, witacie mnie jakbym w własne powracał progi, a jednakże tak nie jest!

— Bogać nie, bogać nie! odparł starzec, Matko Najświętsza, chwała Tobie niech będzie, spojrzaj na nas sieroty z wysokiego Nieba!

Zofia ujęła rękę Feliksa, wprowadziła go do pierwszego pokoju. Wszystko tam było jak dawniej. Też same wizerunki zdobiły ściany, zegar ścienny znaczył jak niegdyś godziny, w pośrodku pokoju stał stół prosty dębowy. Nic a nic nie zmieniło się dla oka.

— Boże mój! to sen, zawołał Feliks. Zosiu! co

to jest? powiedz na Boga, powiedz matko, dodał wracając się do majorowej, która w téj chwili weszła wraz z Antonim i Anielą.

— To nasza Michałówka, rzekła Zofia wzruszonym głosem, ujmując rękę małżonka, to nasz domek w którym przy pomocy Boga, żyć będziem wiernie i pocziwie, jak żyli zacni twoi rodzice.

Feliks ujął z zapałem rękę żony, i wraz z nią upadł na kolana przed matką.

— Matko! pobłogosław nam, zawołał z głębokiem uczuciem, a łzy stłumiły dalsze jego słowa.

Majorowa skreśliła krzyżyk po nad głowami dzieci, a oczy pobożnie wzniosła do góry.

— Oj, rozraduje się dusza nieboszczyka w niebie, jak spojrzy na dolę swoich sierot, rzekł Paweł potrząsając głową. Sprawiedliwość Boża, musi się stać na ziemi, niedarmo ja to powiedziałem że nasi państwo wrócą jako żywo do Michałówki!

— Prawda, pamiętam, rzekł Feliks, alez jak to się stało?

— Zofia chciała ci sprawić niespodziankę, odparła matka, nazajutrz po naszym poznaniu powierzyła mi swój zamiar.

— Tylko serce kochające prawdziwie, zdobyć się

może na myśl podobną, zawołał cisnąc żonę w objęcia. Zosiu! Zosiu! czemuże ja ci się wyplączę?

— Szczęściem twojem Feliksie, odparła, nic innego nie żądam.

Stara Walentowa stała opodal przy kominie i ocierała oczy rogiem od fartucha.

— Mój Boże! czemuż to nieboszka widzieć tego nie może! przebaknęła stłumionym głosem.

— Będziecie szczęśliwi, ufam w Bogu, rzekła majorowa, bo macie kochające serca, myśl prostą, a pobożną. Idźcie dalej, drogie dzieci, rozpoczątajcie drogę, idźcie stale i wytrwale, nie zrażajcie się niczem, a wiercie mi, że nie ma gdzieindziej szczęścia, jedno w zgodzie, prostocie i miłości!

— Matko! my będziemy godni ciebie, zawołały jednocześnie dzieci, okrążając jakby wiankiem szanowną postać majorowej.

Ona pełna wiary i ufności, spojrzała w niebo w milczeniu, a łza szczęścia padła jak perła z sędziwego jej oka, i stoczyła się po zwiędłym licu, które w tej chwili opromienił blask nadziejskiej otuchy.



